

COLIN FORBES

TERMINAL

Przełożyła

MAŁGORZATA DORS

Tytuł oryginału

TERMINAL

przeł. Małgorzata Dors.

Warszawa : Amber, 1994.

isbn 83-7082-330-0

Jane - za jej pomoc i wyrękę

Od autora

Kliniki szwajcarskie należą do najlepszych na świecie - zatrudniają personel o bardzo wysokich kwalifikacjach i są wyposażone w supernowoczesną aparaturę medyczną. Zapewniają opiekę, jakiej pacjent nie znajdzie nigdzie indziej. Klinika Berneńska, która odgrywa znaczącą rolę w tej powieści, w rzeczywistości nie istnieje.

Wszystkie postacie są wytworem fantazji autora.

Terminal - najbardziej zwięzłe wyrażenie myśli; śmiertelna choroba; złącze w obwodzie elektrycznym; końcowy przystanek kolejowy lub lotniczy...

Prolog

Żadna noc nie powinna być aż tak zimna. I żadna kobieta nie powinna wycierpieć tyle, co Hanna Stuart, która biegła w dół zaśnieżonego zbocza. Krzyczała, dopóki nie zdławił jej głosu duszący kaszel. Z tyłu dobiegało ujadanie goniących ją groźnych dobermanów.

Była ubrana tylko w futro narzucone na nocną koszulę i odpowiednie na tę porę roku buty z gumową podeszwą, dzięki którym nie ślizgała się po zdradliwym gruncie. Potykając się, biegła w kierunku ogrodzenia z drutu okalającego teren. Nie zatrzymując się, zerwała z twarzy to coś, odrzuciła je na bok i kilka razy głęboko wciągnęła lodowate powietrze.

Wprawdzie noc była ciemna, ale biel śniegu powodowała, że Hanna widziała, dokąd biegnie. Jeszcze tylko kilkaset jardów i dotrze do siatki oddzielającej ją od autostrady, od świata zewnętrznego, od wolności. Wdychała głęboko świeże powietrze i przyszło jej w tym momencie do głowy, że teraz jest jeszcze gorzej, niż gdy miała to coś na twarzy. Na dworze panował mróz i Hanna miała wrażenie, że łyka płynny lód.

- O Boże, nie! - sapała, z trudem łapiąc oddech.

Nagle coś upadło - pocisk w kształcie granatu pękł przed nią z sykem. Przebiegając unosząc się chmurę, rozpaczliwie próbowała wstrzymać oddech. Okazało się to niemożliwe. W rezultacie oddychała szybciej, wypełniając płuca tym paskudztwem, i ponownie zaczęła się dusić.

Za psami biegli umundurowani ludzie w dziwacznych maskach na twarzach. Hanna Stuart nie oglądała się, nie widziała ich, lecz czuła, że ją gonią.

Skupiła się tylko na próbie dobiegnięcia do wielkiej bramy w ogrodzeniu z drutu. Była zamknięta, ale Hanna wiedziała, że pod stopami ma prowadzącą do niej zaśnieżoną ścieżkę. Dzięki tej

świadomości przyspieszała kroku - z niewielkim skutkiem
wprawdzie, ale jednak. Wciąż się dusząc, dosięgła wreszcie bramy
i uczepliła się jej. Szarpała, próbując ją otworzyć.

Gdyby autostradą jechał jakiś samochód, gdyby zobaczył ją
kierowca. Gdyby udało jej się otworzyć tę przeklętą bramę, to
może x: nawet by przeżyła. Tak wiele tych "gdyby"... Panika, nad
którą starała się panować, teraz zawładnęła nią zupełnie.

Oszalała ze strachu, wypatrywała na pustej drodze zbawczych
światel samochodu. Ale nic się nie poruszało w panującej
ciemności. Nic z wyjątkiem psów, które były coraz bliżej, i
uformowanych w półokrąg ludzi podążających za zwierzętami.

Hanna zakasłała po raz ostatni. Zakrwawione dłonie uczeplone
siatki rozluźniły chwyt. Na oblodzonej bramie zostały tylko
czerwone plamy, gdy osunęła się i upadła, uderzając twarzą w
pokrytą lodem ziemię.

Kiedy prześladowcy znaleźli się przy niej, była już martwa
-niewidzących oczu nie pokrywały powieki, a na skórze zaczęły się
pojawiać ślady zatrucia cyjankiem. Dwóch ludzi wniósło ciało na
noszach z powrotem na górę. Psy uwiązano. Jeden z mężczyzn
kawałkiem gazy usunął z bramy ślady krwi i podążył za innymi.

To wydarzenie miało miejsce w Szwajcarii w roku 1984. Na
bramie widniała metalowa tabliczka z wygrawerowanym napisem
KLINIK BERN. Wachthund. KLINIKA BERNEŃSKA. Uwaga, zły pies.

Rozdział 1

Tucson, Arizona. 10 lutego 1984. 24 stopnie Celsjusza.

Przesycone żarem powietrze pulsowało; surowe, skaliste góry
Tucson zdawały się drgać w upalnej mgielce. Siedząca za
kierownicą swego niedawno sprowadzonego z Anglii jaguara doktor
Nancy Kennedy dała upust frustracji i wcisnęła pedał gazu.

Wprawnie wyrównała bieg, a autem zarzuciło, gdy energicznie
skręcała z międzystanowej autostrady numer 10 na serpentynę
wiodącą do Gates Pass. Siedzący obok niej Bob Newman zdawał się

nie aprobować takich ekstrawagancji. Zaczął kasłać, gdy otoczyła ich wzbita przez samochód chmura kurzu. Miał ochotę krzyknąć, może nawet wrzeszczeć.

- Czy musisz prowadzić tę swoją najnowszą zabawkę tak, jakbyś brała udział w rajdzie w Brands Hatch? - zapytał.

- To typowe brytyjskie umniejszanie faktów?

- Za to typowo po amerykańsku obchodzisz się z nowym samochodem. Przecież powinnaś go dotrzeć - odciął się.

- A co ja niby robię?

- Wyciskasz z niego ostatnie poty. Nie musisz nas zabijać tylko dlatego, że zamartwiasz się o dziadka, który leży w szwajcarskiej klinice.

- Czasami zastanawiam się, dlaczego zaręczyłam się z Anglikiem - rzuciła.

- Bo nie mogłaś mi się oprzeć. O Boże, ale gorąco...

Newman miał czterdzieści lat, gęste, płowe włosy, cyniczne niebieskie oczy, które zbyt często oglądały ciemniejszą stronę życia.

Miał też wydatny nos, wyrazistą szczękę oraz usta znamionujące stanowczość, ale i poczucie humoru. Wiedział, że są dwadzieścia cztery stopnie, bo zauważył wskazanie elektronicznego termometru przed bankiem w Tucson. Miał na sobie jasne spodnie, białą rozpiętą pod szyją koszulę, a na kolanach trzymał złożoną marynarkę w drobną kratkę. Był mokry od potu. Na jego wilgotnej skórze osiadał kurz. Była godzina jedenasta i właśnie trochę się pokłócili.

Może już czas na następną sprzeczkę? Zaryzykował.

- Nancy, jeśli chcesz się dowiedzieć, dlaczego tak pośpiesznie wywieziono twego dziadka do Szwajcarii, to wiedz, że obrałaś złą drogę. Ta nie prowadzi do Kliniki Berneńskiej.

- O, cholera!

Nancy wcisnęła hamulec tak gwałtownie, że Bob wyleciałby z samochodu przez przednią szybę, gdyby nie to, że oboje mieli zapięte pasy. Na sekundę przed tym manewrem zjechała z drogi na

pobocze. Zamaszyście otworzyła drzwi, jak burza wyskoczyła na drogę, i splótszy ręce stanęła przy niskim murku tyłem do Boba.

Westchnął. Naturalnie nie zgasiła silnika. Bob wyłączył go, wrzucił kluczyki do kieszeni i z przewieszoną przez ramię marynarką dołączył do Nancy, obserwując ją kątem oka.

Dwudziestodziewięć latnia Nancy Kennedy wyglądała wyjątkowo atrakcyjnie, kiedy się złościła. Jej gładka skóra nabierała ł, rumieńców, a kruczoczarne włosy opadały na ramiona. Bob uwielbiał błdzić palcami w gęstwinie jej włosów i głaskać delikatnie kark. Potem nic już nie było w stanie ich powstrzymać.

Nancy miała metr siedemdziesiąt wzrostu, zaledwie dziesięć centymetrów mniej niż Bob. Gdy wchodziła do restauracji, jej nogi budziły pożądanie, a nadzwyczaj zgrabna figura przyciągała spojrzenia wszystkich mężczyzn. Zagniewana odchyliła głowę, wyraźnie ukazując regularne rysy twarzy, wysoko osadzone kości policzkowe i ostry podbródek świadczący o uporze.

Zawsze go to zadziwiało. Widywał ją w szpitalnym fartuchu, kiedy niestrudzenie i z nadzwyczajnym opanowaniem zajmowała się pacjentami. Ale prywatnie Nancy zachowywała się tak, jakby wstąpił w nią diabeł. Bob podejrzewał, że poza wyglądem zewnętrznym właśnie to rozdwojenie jej osobowości tak go do niej przyciągało.

- O czymż to myśli sławny dziennikarz? - zapytała zjadliwie i nie bez pewnej ironii.

- Staram się ustalić jakieś fakty, dowody, a nie skupiać się na nierealnych domysłach... - Spojrzał na roztaczający się przed nimi widok i poprawił się - szalonych, ekstrawaganckich, wysnutych na ślepo hipotezach.

Za murkiem widać było szosę, która wiła się w dół w coraz bardziej przerażających zakrętach. Góry wyglądały tu jak pogranicze piekła - gigantyczne, porysowane żłobieniami stożki żużlu pozbawione najmniejszego śladu roślinności.

- Mieliliśmy spędzić wspaniały dzień w Muzeum Pustyni - rzuciła zjadliwie. - Mają tam do obejrzenia żeremia bobrów i ich komory

mieszkalne...

- A ty cały czas będziesz mówić i myśleć o Jesseem

Kennedym...

- Wychowywał mnie po śmierci rodziców, którzy zginęli w wypadku samochodowym. Nie jestem zachwycona tym, że Linda po kryjomu wywiozła go do Szwajcarii właśnie wtedy, kiedy ja miałam praktykę w Londynie. Cała ta sprawa brzydko pachnie....

- Nie lubię Lindy - powiedział Bob.

- Ale podobają ci się jej nogi; nie możesz oderwać od nich oczu...

- Jestem koneserem dobrych nóg. Twoje są prawie tak samo świetne.

Pchnęła go lekko, odwróciła się i oparła o murek. Na twarzy Nancy malowała się powaga.

- Bob, naprawdę się martwię. Przecież Linda mogła zadzwonić do mnie, kiedy stwierdzono u niego białaczkę. Miała mój telefon.

Fakt, że jest moją starszą siostrą nie upoważnia jej do tego, by tak sobie poczyniała. No i ten jej mąż, Harvey...

- Harveya też nie lubię - odparł Bob beztrąsko, ściskając nie zapalonego papierosa w ustach. - Wiesz, jaki jest jedyny sposób, by poznać prawdę? Wprawdzie ani przez myśl mi nie przeszło, że coś może być nie w porządku, ale nie uspokoisz się, dopóki nie zostaniesz przekonana.

- No to przekonaj mnie, panie dziennikarzu, władający płynnie pięcioma językami!

- Zbadamy tę sprawę systematycznie, tak jakbym pracował nad jakimś wielkim tematem. Jesteś lekarką i bliską krewną człowieka, o którym próbujemy się czegoś dowiedzieć, tak więc związani ze sprawą ludzie będą musieli ze mną rozmawiać, jeśli ty będziesz przy tym obecna. Zajmę się domowym lekarzem, ale najpierw zadam parę pytań specjalistom, który zrobił badanie krwi i orzekł białaczkę. Wiesz, gdzie możemy go znaleźć?

- Nazywa się Buhler i pracuje w Centrum Medycznym Tucson.

To w śródmieściu. Nalegałam, żeby Linda zaznajomiła mnie ze

wszystkimi szczegółami. Mówię "nalegałam", bo musiałam niemal wydzierać z niej te informacje.

- To niczego nie dowodzi - skomentował Newman. - Może martwiła się, że nie załatwiła wszystkiego tak, jak zrobiłabyś to ty jako lekarka. Mogła też czuć się dotknięta twoim przesłuchaniem.

- Chyba zabieramy się do sprawy od końca - zaproponowała. - Nie rozumiem dlaczego nie chcesz najpierw porozmawiać z Lindą, potem z naszym lekarzem, a następnie ze specjalistą w Centrum Medycznym.

- Od końca, ale celowo. Dzięki temu zdobyte zeznania będziemy mogli skonfrontować z tym, co powiedzą następni. To jedyna metoda umożliwiająca wykrycie ewentualnych rozbieżności. Wciąż uważam, że to daremny trud, ale - rozłożył ręce - chcę tylko, byś się uspokoiła i żebyśmy mogli wrócić do zwykłego trybu naszych zajęć.

- Ale to dziwne, że Linda nie zadzwoniła do mnie, kiedy miałam praktykę w Londynie...

- Już to mówiłaś. Teraz zabierzmy się do roboty. Przede wszystkim pojedźmy do tego Centrum, zanim Buhler wyjdzie na lunch. I nie sprzeczasz się ze mną - ja prowadzę. Wskakuj z prawej strony.

- Nie wiedziałaś, Nancy? No tak, oczywiście, przecież byłaś w Londynie, kiedy Buhler został zabity...

Znajdowali się w Centrum Medycznym i rozmawiali ze szczupłym mężczyzną około pięćdziesiątki, ubranym w bawełnianą koszulkę i spodnie. Doktor Rosen zaprosił ich do swego gabinetu i Newman przyglądał mu się teraz popijając kawę. Rosen miał energiczny, bystry sposób bycia, a jego zachowanie znamionowało profesjonalistę. Widać było, że pragnie udzielić Nancy wszelkiej pomocy.

- Jak został zabity? - spytał Newman obojętnie.

- Zabity to chyba niewłaściwe słowo...

- Ale tego właśnie słowa pan użył - przypomniał Newman.

-F...:V Może mógłby pan nas trochę oświecić w kwestii szczegółów.

Jestem pewien, że Nancy chciałaby je poznać...

Doktor Rosen zawahał się. Przez chwilę prawą ręką gładził swe rzadkie włosy, jakby szukając odpowiednich słów. Bob mrugnął do Nancy, która zamierzała coś powiedzieć, ale powstrzymała się.

- To było bardzo tragiczne wydarzenie. Prowadził swego nowego mercedesa i zjechał z drogi niedaleko Gates Pass. Był już martwy, gdy go tu przywieźliśmy....

- Musiał dużo zarabiać, skoro mógł sobie pozwolić na mercedesa - wtrącił Bob.

- Mówił mi, że poszczęściło mu się kiedyś w Vegas. Taki był, panie Newman, skoro już trafiła mu się zabójcza fortuna... Znów użyłem tego słowa, ale proszę nie dopatrywać się w tym żadnego znaczenia. Chciałem powiedzieć, że skoro wpadło mu w ręce dużo pieniędzy, to nie zamierzał ich wypuścić.

- Powiedział pan "bardzo tragiczne" i podkreślił pierwsze ? słowo. Czy to znaczy, że on miał rodzinę Rosen obrócić się na krześle, popatrzył przez szybę, a potem z powrotem odwrócił się do Newmana, który miał wrażenie, że doktor czuje się skrępowany rozmową na ten temat. Lekarz splótł dłonie, pochylił się nad biurkiem i spojrzał na swoich gości.

- Buhler jechał z dużą prędkością i zjechał z drogi, ponieważ był pijany. Ta wiadomość zbulwersowała nas wszystkich, bo nikt nie podejrzewał go o alkoholizm....

- To, że ktoś zjechał z drogi, bo wypił o jednego za dużo, nie znaczy, że jest alkoholikiem - dowodził Newman. - Może dokończy pan tę historię?

- Buhler nie miał żadnej rodziny, nie był żonaty, chyba że uznać pracę za żonę. Nie udało nam się znaleźć jakichkolwiek krewnych. A kiedy policja przeszukała jego mieszkanie, znalazła

szafki pełne butelek po whisky. Dowody były niezbite - Buhler pił potajemnie. Dlatego powiedziałem, że to było bardzo tragiczne...

- I to właśnie on zrobił badanie krwi dziadka i orzekł białaczkę? - przerwała Nancy.

- Tak. Młody doktor Chase osobiście przyniósł Buhlerowi próbki do sprawdzenia. Niestety, diagnoza nie pozostawiała żadnych wątpliwości, jeśli o to pani chodzi, Nancy.

- Nie chodziło mi o to, tylko dlaczego doktor Chase? Przecież od lat naszym lekarzem był Bellman....

- To, co mówię, jest ściśle poufne, Nancy. Niektóre fakty zdradzam jedynie ze względu na naszą długoletnią znajomość.

Chciałbym, żebyś się tak nie przejmowała wysłaniem Jessea do tej kliniki w Szwajcarii. To pani Wayne zmieniła waszego lekarza - nigdy nie lubiła Bellmana. Mówiła, że lepszy będzie ktoś młodszy.

- Linda wybrała doktora Chasea! - krzyknęła zaskoczona. - A więc ktoś zupełnie nowy i niedoświadczony poradził jej wysłać Jessea do Europy!

- Cóż... - Rosen ponownie się zawahał i zerknął na Newmana, który patrzył na niego obojętnie. - Frank Chase szybko osiąga szczyble kariery. Jest bardzo znany. Niedługo będzie miał mnóstwo bogatych pacjentów. On umie postępować z ludźmi.

- A te wyniki - nalegała Nancy - próbki krwi, które Buhler badał. Są tu w szpitalu?

- Uległy zniszczeniu.

- To nieprawda - sprzeciwiła się Nancy.

- Chwileczkę. Proszę! - Rosen podniósł pojednawczo dłoń.

- Niech mi pani pozwoli skończyć. Buhler był ekscentrykiem. Jak już powiedziałem, jego całym światem była praca. Miał zwyczaj wożenia papierów ze sobą, by móc w każdej chwili do nich zajrzeć i przemyśleć sprawę. W czasie wypadku wyniki pani dziadka były w jego samochodzie. Wybuchł niewielki pożar i wszystkie dokumenty spaliły się.

- Ile lat ma doktor Frank Chase? - zainteresował się Newman.

- Trzydzieści dwa. Przed nim jeszcze długa droga na szczyt, jeśli o to panu chodzi, ale pnie się do góry.

- Czy moglibyśmy dostać adres doktora Chasea?

- Naturalnie. Mieszka za miastem na Sabino Canyon Road.

- Nieźle - skomentowała Nancy. - To grunty klubu Skyline Country. Jeśli mieszka odpowiednio daleko, jest sąsiadem Lindy.

Rosen bez słowa wziął do ręki notes i z włoską starannością zapisał adres. Newman przeczytał, widząc go do góry nogami, i uznał, że jak na pismo lekarza jest ono wyjątkowo czytelne.

W zachowaniu Rosena było coś, co go zastanawiało - lekarz obrzucił go kilkoma uważnymi spojrzeniami, jakby nie mógł podjąć decyzji w jakiejś kwestii, która wyraźnie go niepokoiła. W końcu wyrwał kartkę, złożył ją starannie i podał Newmanowi, co wywołało zdumienie Nancy.

Potem lekarz wstał, wyszedł zza biurka, by się pożegnać.

Odprowadził gości do drzwi, puszczając Nancy przodem. Uścisk jego ręki był ciepły i dodawał otuchy.

- Naprawdę uważam, że nie macie państwo powodu do zmartwienia - powiedział. - Szwajcarscy lekarze są bardzo dobrzy.

Dopiero kiedy Newman był już w połowie korytarza prowadzącego do wyjścia, Rosen zawołał go z powrotem. Bob przeprosił Nancy, zaproponował, by zaczekała na niego w samochodzie, i zawrócił. Gdy znalazł się w gabinecie Rosena, lekarz zamknął za nim drzwi i podał mu wizytówkę.

- Tutaj są moje telefony: domowy i do pracy. Czy moglibyśmy się spotkać dziś wieczorem? Tylko my dwaj na jakieś pół godziny, wypijemy drinka? Zna pan lokal, który nazywa się Tack Room?

- Tak. Nancy kiedyś mnie tam zabrała. Miło tam... - Wsunął wizytówkę do portfela.

- MOBIL zakwalifikował ten lokal do kategorii pięciogwiazdkowej. To co, o siódmej? Świetnie. Może lepiej będzie nie wspominać o tym Nancy. Kilka tygodni przed wywiezieniem Jessea z Tucson gościł u nas wybitny lekarz szwajcarski. Siostra Nancy, Linda, była na jednym z jego wykładów.

- A jakie to ma znaczenie?

- Tak się składa, że to szef Kliniki Berneńskiej...

Rozdział 2

- Gdzie ty do diabła byłaś, Nancy? - krzyknął Newman. - Smażę się w twoim jaguarze dokładnie od czterdziestu trzech minut.

Dobrze przynajmniej, że wywietrzył mi z płuc ten odór.

- A ile siedziałeś u Rosena? - odcięła się. - Może to ja musiałabym czekać na ciebie czterdzieści trzy minuty...

- Tylko trzy - syknął Newman.

- A skąd niby miałam wiedzieć? Odwiedziłam przy okazji dawną przyjaciółkę na wydziale i miała dla mnie sporo nowinek.

Przecież byłam przez rok w Londynie, zapomniałeś już? A w ogóle, to czy mógłbyś ustąpić mi miejsca za kierownicą?

- Ja poprowadzę...

Włożył kluczyki do stacyjki i zapalił. Nancy mruknęła coś pod nosem i siadła obok niego tak energicznie, że jej klasyczna plisowana spódnica podwinęła się do góry, odsłaniając długie nogi. Zatrzasnęła r, za sobą drzwiczki. Gdy Newman płynnym ruchem odjechał sprzed

Centrum, zapytała:

- Jaki odór miałeś na myśli, gdy mówiłeś, że pozbyłeś się go z płuc?

Y

- Odór środków dezynfekcyjnych. Smród szpitalnych specyfików... i - Nienawidzisz wszystkiego, co ma związek z medycyną, prawda? Sama nie wiem, co ty we mnie widziałeś tamtej nocy, kiedy poznaliśmy się przy Walton Street. Lokal nazywał się Bewicks, nieprawdaż?

- To moja ulubiona londyńska restauracja. Widziałem wtedy

twoje wspaniałe nogi. Często je pokazujesz...

- Ty draniu! - uderzyła go w ramię. - A cóż takiego pikantnego Rosen chciał ci powiedzieć, że nie nadawało się dla moich delikatnych uszu?

- Ze względu na to, że nie jestem lekarzem ani Amerykaninem, chciał podkreślić, że ta rozmowa miała charakter ściśle poufny. To bardzo ostrożny człowiek, kieruje się zasadami etyki i tego typu względami. A teraz prowadź do willi doktora Franka Chasea...

Trzymając w dłoniach kartkę, którą Rosen wręczył Newmanowi, Nancy patrzyła prosto przed siebie i odzywała się tylko po to, by udzielać Bobowi wskazówek. Sabino Canyon Road zaczynała się w gęsto zaludnionej okolicy na północno - wschodnich przedmieściach Tucson i biegła w kierunku gór Catalina. Na jej początku mieszkali ludzie zamożni, dalej, w głębi kanionu, rozciągała się oaza bogaczy.

Newman zauważył, że im dalej jechali, tym większe domy i rozleglejsze posiadłości ukazywały się ich oczom. Góry przed nimi i znów drgały w upalnej mgiełce. Jednak łańcuch Tucson bardziej przypominał gigantyczne dinozaury z przetrąconym kręgosłupem zamienione w skały. Podobnie jak tereny klubu Skyline Country, góry Catalina były pełne życia, roślinności i sprawiały wrażenie gościnnych.

Przejeżdżając obok posiadłości Wayneów, Newman przyspieszył, na wypadek gdyby Linda wyglądała przez okno. Nancy popatrzyła na niego rozbawiona.

- Skąd ten nagły zapach?

- Żeby Linda nie mogła zadzwonić do Chasea i uprzedzić go o naszej wizycie.

- Och, Robercie, ty nigdy nie pominiesz okazji, by zrobić jakąś sztuczkę - docięła mu.

Zawsze kiedy była na niego zła albo chciała mu dopiec, zwracała się do niego "Robert", bo wiedziała, że nie lubi swego imienia.

Odpłacił jej milczeniem. Jaguar wspinał się coraz wyżej.

Tucson rozciągało się już za nimi w dole, w niecce utworzonej przez trzy łańcuchy górskie.

- Zwolnij, Bob - ostrzegła. - Dojeżdżamy. Ten dom po lewej musi należeć do Chasea.

Posiadłość otaczało ogrodzenie, a ogromny, dwupiętrowy dom w kształcie litery L miał dach pokryty zieloną dachówką. Newman wjechał przez otwartą bramę. Alejka rozdawała się - jedna jej odnoga prowadziła przed frontowy ganek, druga - do podwójnego garażu. Żwir zachrząścił pod kołami zatrzymanego samochodu.

Przed domem znajdował się "ogród". Był to spory plac wysypany żwirem, z którego wyrastały złowieszczo wyglądające wysokie kaktusy. Przypominały drzewa, bo z głównego pnia wyrastały strzeliste odgałęzienia, które pięły się ku niebu, jak gdyby chciały sprowadzić je na ziemię. Stojący przy garażu mężczyzna nacisnął jakiś guzik. Newman, który już wyłączył silnik, usłyszał dźwięk automatycznie zamykających się drzwi do garażu. Potem w bocznym lusterku dostrzegł, że nieznajomy zbliża się do nich spokojnym krokiem.

Rosen twierdził, że ma trzydzieści dwa lata. Ubrany był w obcisłe niebieskie dżinsy i koszulę w dużą kratę rozpiętą pod szyją. Twarz miał kościstą, opaloną, a okalała ją czupryna gęstych, brązowych włosów. Tylko tyle Newman zdołał zauważyć w lusterku, ale natychmiast poczuł instynktowną niechęć do tego człowieka. Gdy nieznajomy podszedł i oparł dłoń o długich palcach na drzwiczkach samochodu, Newman podniósł na niego wzrok. Miał starannie wypielęgnowane paznokcie i wokół niego intensywnie pachniał płyn po goleniu.

- Czy doktor Frank Chase?

- Tak, to ja.

Słowa te zawisły w gorącym powietrzu jak wyzwanie. Piwne oczy wpatrywały się w Newmana, jakby widziały w nim potencjalnego kandydata na stół operacyjny. Newman uśmiechnął się uprzejmie.

- Chyba nie poznał pan jeszcze doktor Nancy Kennedy. Jest siostrą Lindy Wayne i wnuczką Jessea Kennedyego. Zamierza

rozpocząć dochodzenie w sprawie pospiesznego wywiezienia jej dziadka o pięć i pół tysiąca mil stąd bez porozumienia z nią. Ma pan piękną posiadłość, doktorze Chase...

- Panno Kennedy, obawiam się, że nie było żadnych wątpliwości, iż pani dziadek jest chory na białaczkę.

Chase powiedział to, opierając chudą, kościstą dłoń na leżaku, na którym siedziała Nancy. Znajdowali się na tyłach domu, tuż obok basenu w kształcie muszli ostrygi. Mówiąc to, uśmiechał się ze współczuciem, ale Newman zauważył, że jego oczy pozostały chłodne i uważnie obserwowały Nancy.

- Widzi pani - kontynuował Chase - przebadał go najlepszy I specjalista w całym stanie. Doktor Buhler...

- Który, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, zginął w wypadku samochodowym - przerwała zimno Nancy. - I który dzięki jeszcze wspanialszemu zbiegowi okoliczności miał przy sobie wyniki badań; w rezultacie tej sytuacji wyniki przestały istnieć. Były w gruncie rzeczy jedynym dowodem choroby dziadka.

- Szczęśliwy zbieg okoliczności? - powtórzył Chase z nieco sztywnym uśmiechem na ustach. - Chyba niezupełnie rozumiem.

Jego dłoń delikatnie ścisnęła rękę Nancy. Oto mamy typowy lekarski gest wobec pacjenta, pomyślał Newman, wyciągając się na swoim leżaku i sącząc burbona.

- Doktor Kennedy - ciągnął Chase już bardziej oficjalnym tonem - zdaję sobie sprawę, że jest pani zdenerwowana. Była pani bardzo przywiązana do dziadka...

- Jestem bardzo przywiązana do mego dziadka...

Nancy wyszarpnęła dłoń i łyknęła spory haust burbona. Newman wstał i rozprostował nieco ramiona, jakby mu zdrętwiały od długiego siedzenia. Uśmiechnął się jowialnie, gdy Chase rzucił mu ostre spojrzenie.

- Czy ma pan coś przeciwko temu, żebym trochę pospacerował po pańskiej posiadłości? - spytał. - Pan i Nancy będziecie mogli sami omówić tę sprawę.

- To chyba dobry pomysł - zgodził się Chase. - Proszę się

nie krępować.

Zarówno obowiązkowy w takich posiadłościach basen, jak i otaczające go patio, wyłożono marmurowymi kafelkami. Ściany domu były otynkowane i pomalowane na ciemnozielony kolor o odcieniu mułu. Ogromne okna były zwrócone na Tucson, trzyczęściowe szklane drzwi otwierały się na patio. Przechodząc obok nich, Newman zerknął do środka.

Przy najdalszej ścianie salonu stała największa wieża hi-fi, jaką kiedykolwiek widział. Meble też z daleka pachniały dużymi pieniędzmi. Zanim skręcił za garażem, Newman obejrzał się za siebie.

Chase siedział tyłem do niego i pochylony w stronę Nancy, która słuchała go obojętnie, coś jej z przejęciem wyjaśniał.

Newmana zaintrygował fakt, że pierwszą czynnością, jaką wykonał Chase po ich przyjeździe, było zamknięcie garażu. Być może rozpoznał Nancy; w końcu w domu Wayneów mnóstwo było zdjęć przedstawiających ją i Lindę. Koszula lepiła się Bobowi do pleców, gdy ostrożnie kroczył po żwirze, który przypominał w dotyku nagrany piasek.

Trzymając szklaneczkę w jednej dłoni, drugą uniósł klapkę osłaniającą puszkę kontrolną wiszącą na ścianie. Były tam dwa przyciski, zielony i czerwony. Nacisnął zielony. Rozległ się znany mu już dźwięk otwierających się drzwi; mechanizm, który tym zawiadywał, musiał być niezawodny i bardzo kosztowny. Newman stał wpatrując się w samochody. Czerwone ferrari i także maserati. Krwistoczerwone i nowiuteńkie. Tylko osiem kół i taka fortuna!

- Interesuje się pan samochodami, panie Newman?

- Uwielbiam samochody, doktorze. Widzę, że pan też -odparł beztrosko.

Chase zaszedł go od tyłu cicho jak kot. Przecież nawet trampki, które miał na nogach, powinny spowodować, by żwir zachrzęścił.

Patrzył na Newmana, a na jego twarzy nie było już uśmiechu.

W prawej ręce trzymał szklaneczkę burbona. Jednym haustem

wypił połowę jej zawartości, a wierzchem drugiej dłoni otarł usta.

- Zawsze skrada się pan wokół cudzych domów i wścibia nos w nie swoje sprawy? Widzę, że wyłazi z pana typowy korespondent zagraniczny. Nawiasem mówiąc, wydawało mi się, że pan i Nancy jesteście zaręczeni, ale jakoś nie zauważyłem pierścionka na trzecim palcu jej lewej dłoni...

Newman uśmiechnął się i rozłożył ręce w pojednawczym geście.

Chase nie zareagował, wykrzywił tylko usta w szyderczym pół-uśmiechu i czekał wpatrując się w Newmana. Bob zwlekał z odpowiedzią; włożył między wargi papierosa.

- Wszystko po kolei, dobrze? Z pewnością ma pan coś do ukrycia, skoro może sobie pozwolić na dwa nowiuteńkie sportowe samochody...

- Nie podoba mi się pański ton.

- Ja również nie szaleję za pańskim, ale jakie to ma znaczenie, skoro przepadają za panem zamożni pacjenci? Wracając do Nancy, e... to jesteśmy zaręczeni na próbę...

- Na pana miejscu nie zapalałbym tego papierosa, Newman.

Powinien pan zapoznać się ze statystyką.

- Myśli pan, że zanieczyszczę tu powietrze? - spytał zapalając. - Wie pan, że w Anglii wielu lekarzy rzuciło palenie i nawołuje do tego innych? Albo to, że krzywa oznaczająca procent lekarzy alkoholików w Anglii idzie w górę? - Popatrzył na szklaneczkę w ręku Chasea. - To pan powinien zapoznać się ze statystyką.

- Słyszałem o małżeństwach na próbę... - zaczął Chase, uśmiechając się coraz bardziej szyderczo. - Ale próbne zaręczyny to chyba coś zupełnie nowego w układach męsko - damskich...

- No widzi pan, poszerzyłem pańskie horyzonty. Hej, Nancy.

Myślę, że powinniśmy już wracać... Chyba że masz jeszcze jakieś pytania do tego niezwykle uprzejmego lekarza rodzinnego...

Nancy w milczeniu, z zaciśniętymi ustami, odczekała aż wyjadą na Sabino Canyon Road. Wyjęła Newmanowi papierosa z ust,

zaciągnęła się kilka razy i oddała mu go z powrotem. Oznaczało to, że jest maksymalnie wkurzona.

- Protekcyjny sukinyń! Bóg wie, co Linda widzi w kimś takim! Nasz poprzedni lekarz domowy, doktor Bellman, był takim miłym człowiekiem!

- Nie mam nic przeciwko Frankowi Chaseowi - stwierdził obojętnie Newman biorąc zakręt. - To hiena - rzuca się na mięso, gdzie tylko się da. Trzyma bogate staruszki za rękę, wysłuchując opowieści o ich wymyślonych dolegliwościach.

Ale to jeszcze nie czyni z niego spiskowca. Teraz jedziemy do twojej siostry? Wolałbym porozmawiać z nią na jej własnym terenie niż w pubie. U siebie ludzie zwykle ukazują taką twarz, jaką mają naprawdę. Tamtym razem, gdy przyszła z Harveyem na kolację do mojego hotelu, odegrała przedstawienie. Zaprezentowała ogólnie znaną wersję Lindy.

- Czy wiesz, że tam, przy basenie Chase nie zasugerował mi najważniejszej rzeczy, którą powinien był mi podsunąć, gdyby naprawdę chciał, bym nie martwiła się o Jessea?

- Tak się składa, że nie było mnie tam przez cały czas, więc nie wiem.

- Nie zasugerował, żebyśmy pojechali do Kliniki Berneńskiej i odwiedzili Jessea. A w ogóle to myślę, że powinienes porozmawiać z Lindą. Zostawię was samych. Tylko uważaj, żeby cię nie uwiodła...

- Wiesz, Bob, wszystko zaczęło się, kiedy Jesseowi, bo tak go nazywaliśmy, przytrafił się ten paskudny upadek z konia.

-Ogromne ciemne oczy patrzyły na Newmana spod skromnie na wpół przymkniętych powiek. - Wolisz, żeby nazywać cię Bob, prawda? Wiem, że Nancy nazywa cię Robertem, kiedy chce ci dokuczyć. Moja siostrzyczka ma w zanadrzu mnóstwo takich sztuczek. Smakuje ci herbata? Zrobiłam, tak jak lubisz?

Linda Wayne siedziała na kanapie tuż obok Newmana. Spódnica odsłaniała jej kształtne kolana i skrzyżowane długie nogi w cieniutkich czarnych pończochach. Linda miała na sobie kaszmirowy

sweterek, który choć zakrywał ją pod samą szyję, jednak świetnie podkreślał figurę. Prowadząc Boba do ogromnego salonu, prawą pierś lekko musnęła jego przedramię. Poczuł jędrne ciało pod kaszmirem, który zupełnie nie był odpowiednią tkaniną na upał, lecz świetnie pasował do rzeźkiego chłodu w klimatyzowanym salonie.

Włosy Lindy, podobnie jak Nancy, były kruczoczarne, gęste i długie do ramion. Jej gęste, ciemne brwi sprawiały, że leniwie poruszające się oczy wydawały się jeszcze większe. Głos miała chrapliwy, a seks emanował z niej niczym drogie perfumy. Newman przyłapał się na tym, że obserwuje zarys jej nóg i nie bardzo pamięta, co Linda przed chwilą powiedziała.

- Pytałam o herbatę - powtórzyła. - Czy ma odpowiednią barwę?

- Doskonałą...

- To Earl Grey. Kupiłam ją w San Francisco. Uwielbiam te wasze angielskie herbaty. Ostatnio pija się w Stanach dużo tego napoju.

- Ale już nie jeździ się tyle konno. - Szybko przełknął łyk herbaty. Nienawidził Earl Greya. - Co więc Jesse robił na koniu?

- Jeździł codziennie, tak jak kiedyś Bob. Potem położyliśmy go w łóżku na górze i wezwaliśmy lekarza...

- Franka Chasea.

- Właśnie... - Zrobiła krótką przerwę i zaczęła mówić szybciej. - Bellman, nasz poprzedni lekarz, nie nadążał za nowoczesnymi osiągnięciami w medycynie. Pomyślałam, że ktoś młodszy będzie uważniej je śledził. I miałam rację, podejmując taką decyzję, bo on dokładnie przebadał Jessea, łącznie z badaniem krwi. To właśnie w ten sposób dowiedzieliśmy się, że Jesse ma białaczkę.

Możesz sobie wyobrazić, jaki przeżyliśmy szok,...

Przysunęła się do Boba i wzięła go za rękę. Wyglądała, jakby przepelniało ją uczucie.

- To był bardzo daleki skok - rzucił Bob.

Sprawiła wrażenie, że nie bardzo rozumie, i ostrożnie powiedziała:

- Bob, nie bardzo wiem, co chcesz przez to powiedzieć...

- Z Tucson w Arizonie do Berna w Szwajcarii.

- Aha, rozumiem - odetchnęła swobodnie i uśmiechnęła się ciepło. - Jesse kochał góry i lubił Szwajcarię, Rozmawiał o tym z Frankiem, to jest z doktorem Chaseem. Lekarz po prostu dostosował się do wyraźnego życzenia dziadka, mając ponadto na względzie dobro pacjenta.

- Ty też? Nie, nieważne. Nie, dziękuję za herbatę.

"Doktor po prostu dostosował się do wyraźnego życzenia dziadka mając na względzie dobro pacjenta".

Wypowiedź Lindy zabrzmiała nienaturalnie - normalnie nigdy by się tak nie wyraziła. Ale Frank Chase użyłby dokładnie takich samych słów. Ten fakt potwierdzał jedynie to, czego Newman wcześniej się domyślał. W czasie, kiedy jechali od Chasea do Lindy, ta hiena zadzwoniła do niej, by zdać sprawozdanie z ich wizyty i pouczyć Lindę, co ma mówić.

Linda delikatnie ścisnęła mu dłoń, by skupić na sobie całą uwagę Boba, i kontynuowała swym miękkim, kojącym głosem.

- Bob, proszę cię, zrób wszystko, żeby uspokoić moją siostrzyczkę. W sprawie Jessea i tak nic nie może zrobić, chyba tylko się pomartwić...

- Siostrzyczka może polecieć do Berna i przekonać się, co się tam, u diabła, dzieje...

Nancy stała w drzwiach i szorstkim, uszczypliwym tonem dodała:

- A jak już skończysz, zwróć Bobowi jego rękę - ma tylko dwie....

- Właściwie nie ma punktu zaczepienia, Nancy - powiedział z naciskiem Newman. - Zajmując się jakąś sprawą jako zawodowy dziennikarz szukam faktów, jakichś dowodów! A w tym wypadku nie widzę nic, co wskazywałoby na jakiegokolwiek nieprawidłowości.

Było właśnie popołudnie i jedli późny lunch w Oberży

Przemysłowców, gdzie, jak chciał Bob, zatrzymali się na noc.

Dzięki temu mogli czuć się swobodnie, a jednocześnie mieli pod ręką Lindę Wayne.

Nancy uderzyła widelcem w stół tuż obok talerza z na wpół zjedzonym stekiem.

- Fakt numer jeden - nie zasięgnięto opinii innego lekarza.

- Zdaniem Rosena, Buhler, który zbadał krew, był najlepszym specjalistą. Chyba ufasz opinii Rosena?

- Tak, to prawda. Ale zostawmy to na chwilę. Fakt drugi -nie przypominam sobie, by kiedykolwiek Jesse mówił, że chciałby mieszkać w Szwajcarii. Pojechać tam turystycznie, owszem. Ale, na Boga, on zawsze tak się cieszył z powrotów do domu!

- Chory człowiek często chce zapomnieć o rzeczywistości...

- Fakt trzeci - wyliczała Nancy. - Akurat kiedy Jesse ma wypadek, bo spada z konia, Linda wzywa zupełnie nowego lekarza.

Fakt czwarty - jedyny lekarz, który może potwierdzić, że dziadek ma białaczkę, czyli Buhler, umiera. A wyniki badań giną razem z nim w ogniu! Tak więc wszystko opiera się jedynie na słowie doktora Chasea, człowieka, którego nazwałeś hieną.

- Nie lubię go, ale to nie znaczy, że jest Czyngiz Chanem.

Słuchaj, dziś wieczorem mam się spotkać z Rosenem. Jeśli nic z tego nie wyniknie, to zostawiamy tę sprawę w spokoju, dobrze?

Muszę zająć stanowisko co do tej lukratywnej posadki korespondenta europejskiego, którą oferuje mi CBS. Nie będą na mnie czekać bez końca.

- Masz ochotę na tę pracę? - spytała. S" - To jedyny sposób, żebyśmy mogli się pobrać. Chyba że zgodzisz się zamieszkać ze mną w Londynie albo gdzieś w Europie.

- Poświęciłam wiele lat mego życia na studiowanie medycyny i chcę mieszkać w Stanach. Gdziekolwiek indziej czułabym się wyobcowana, jak na bezludnej wyspie. A poza tym, Bob, ja, wybieram się do Berna. Pytanie brzmi, czy ty jedziesz ze mną? Kto wie, może kryje się w tym jakiś niezły temat...

- Nancy, przecież wiesz, że ja pisuję o szpiegostwie,

sprawach o znaczeniu międzynarodowym. Gdzie ty, na miłość boską, widzisz odpowiedni dla mnie temat w tej twojej sprawie z Bernem?

- Byłeś tam. Pracowałeś tam. Władasz prawie wszystkimi europejskimi językami: francuskim, niemieckim, włoskim, a na dodatek hiszpańskim. Mówiłeś, że masz tam przyjaciół. Chodzi tylko o to, czy chcesz mi pomóc?

- Zobaczę po rozmowie z Rosenem.

- Bob, co kobieta zdejmuje z siebie najpierw? Kolczyki, prawda? - Powoli odpięła złote kolczyki, obserwując go z filuterną miną. - Chodźmy do twojego pokoju...

- Jeszcze nie skończyłem steku. - Mówiąc to odsunął talerz i uśmiechnął się jowialnie. - Zresztą i tak jest za mało wysmażony.

Straciłem apetyt.

- Przecież miałeś ochotę na krwisty. A na to, co ci oferuję, zawsze miałeś ochotę...

Rozdział 3

Nowy Jork, lotnisko imienia Kennedyego.

10 lutego 1984. Minus 18 stopni Celsjusza.

Szczupła, atrakcyjna stewardesa szwajcarska, ubrana w jasnoniebieski mundurek, zwróciła uwagę na tego pasażera, gdy tylko wszedł na pokład samolotu, rejs SR -111, lecącego do Genewy i Zurychu. Mężczyzna był dobrze zbudowany i miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Odprowadziła go na miejsce przy oknie w kabinie pierwszej klasy i pomogła zdjąć kożuszaną kurtkę.

- Poradzę sobie... - Głos miał poważny i o chropowatym brzmieniu.

Podał stewardesie kurtkę, usiadł i zapiął pasy. Między grube wargi wsunął papierosa i patrzył za okienko gdzieś w ciemność.

Samolot miał wystartować o osiemnastej pięćdziesiąt pięć.

Stewardesa starannie powiesiła jego okrycie i uważnie przyjrzała się pasażerowi. Jej zdaniem był tuż po pięćdziesiątce. Miał gęstą szpakowatą czuprynę, ciemne brwi i ostre rysy twarzy.

Gładko ogolona skóra była lekko ogorzała od ostrego wiatru hulającego po ulicach Nowego Jorku. Ogiromną dlonią przytrzymał walizeczkę leżącą na sąsiednim fotelu po lewej stronie.

Dziewczyna wygładziła swój zadbany żakiecik, zanim odezwała się do pasażera:

- Bardzo pana przepraszam, ale nie wolno palić.

- Przecież nie zapaliłem tego cholernego papierosa, tak czy nie! Doskonale znam przepisy. Nie wolno palić, dopóki nie wyświetli się odpowiedni sygnał.

- Bardzo pana przepraszam.

Stewardesa wróciła do swoich obowiązków i wykonywała je automatycznie podczas startu i lotu wielkiego Jumbo 747 przez Atlanty, lecz myślami cały czas była przy wysokim Amerykaninie.

W końcu uznała, że to jego niebieskie oczy tak ją niepokoją. Miały charakterystyczny lodowaty odcień błękitu, jaki mają jedynie górskie jeziora.

- Myślisz o swoim chłopaku? - spytała jedna z koleżanek, gdy razem przygotowywały zamówione drinki.

- O pasażerze z piątki. Fascynuje mnie. Zwróciłaś uwagę na jego oczy? Są lodowate...

Szpakowaty mężczyzna sączył właśnie gorzki napój cytrynowy i wyglądał za okienko, gdy czyjaś ręka podniosła leżącą obok niego walizeczkę i położyła mu ją na kolanach. Spojrzał w bok i ujrzał małego, przypominającego ptaka człowieczka o rozbieganym spojrzeniu, który usiadł na wolnym siedzeniu i zaczął szczebiotać przyciszonym głosem.

- Czy to mój stary kumpel, Lee Foley? W podróży służbowej Do Zurychu?

- A, to ty - Ed Schulz. Wracaj na swoje miejsce.

- To wolny kraj i wolny samolot, jeżeli wykupiło się bilet.

A ja zapłaciłem za swój. Ty natomiast nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Zasłużony korespondent zagraniczny "Timea", i to wciąż w rozjazdach, zawsze uzyskuje odpowiedzi. Do tej pory powinieneś już to wiedzieć, Lee...

- Odszedłem z CIA i dobrze o tym wiesz. Pracuję teraz dla jednej z najlepszych agencji detektywistycznych w Nowym Jorku.

O tym też wiesz. Rozmowę uważam za skończoną.

- Może byś to nieco rozwinął.

- Raczej nie. - Foley przechylił się w stronę przejścia.

-Proszę pani, czy może pani tu podejść Kiedy stewardesa pochyliła się nad nim uprzejmie, wyjął z kieszonki dwa bilety lotnicze, mówiąc:

- Zarezerwowałem obydwie te miejsca. Można to sprawdzić w, biletach. Czy byłaby pani uprzejma usunąć stąd tego intruza?

Próbuje mi coś sprzedać.

Kiedy dziewczyna obejrzała bilety, wsunął je z powrotem do kieszonki, usiadł wygodnie w fotelu i znów skierował wzrok w ciemność za oknem. Jego zachowanie mówiło wyraźnie:

"uważam sprawę za skończoną i nie mam nic więcej do powiedzenia".

- Obawiam się, że to miejsce jest zajęte - powiedziała stewardesa do Schulza. - Bardzo proszę wrócić na swoje. Może mogłabym przynieść panu coś do picia?

- Jeszcze jedną dużą whisky - odparł Schulz. Wstając i patrząc na tył głowy Foleya, powiedział głosem pozbawionym normalnej dla niego szczebiotliwości:

- Do zobaczenia w Zurychu, kumplu! - i odszedł na tył samolotu.

- Mam nadzieję, że ten pasażer nie niepokoił pana - odezwała się stewardesa, która wcześniej wskazała mu miejsce.

- Już zrobiła pani, co do niej należało - rzucił nie spoglądając nawet na dziewczynę.

Roztrzęsiony Schulz usadowił się w swoim fotelu przy przejściu i uświadomił sobie, że jest mokry. Zimnokrwisty skurwysyn! Wylał spoczone czoło, poprawił krawat i zerknął na blondwłose stworzenie stojące tuż obok. Dziewczyna posłała mu ten sam ciepły, miły uśmiech, który go witała przy wejściu do samolotu.

Ma jakieś czterdzieści lat, ocenił. Obrączka na palcu.

Wiekowo w sam raz - Schulz miał czterdzieści pięć. Kobiety, gdy tylko wyrwą się z domu, lubią trochę poflirtować. Miał nadzieję, że ona leci do samego Zurychu. I że polecą na niego!

Niewypowiedziany "" żart zaprawiła odrobina goryczy. To przez to spotkanie z Foleyem.

Schulz podziękował stewardesie za świeżego drinka i zaczął wspominać.

Lee Foley. Kat CIA. Zwykle unikała się tego słowa. Używało się eufemizmu - agent do zadań specjalnych. Krążyły plotki, że dorobek świetnego w swym fachu Foleya obejmował dwadzieścia pięć osób - mężczyzn i kobiet. Obecnie mówiło się, że wystąpił z CIA i pracuje dla KMAD-u - Kontynentalnej Międzynarodowej Agencji Detektywistycznej. Schulzowi przyszło na myśl, że mógłby przestać do biura zaszyfrowany sygnał - ktoś czekałby na lotnisku, żeby śledzić Foleya. Zastanowi się nad tym później, gdy tylko się uspokoi.

- Mam nadzieję, że leci pani do Zurychu? - zwrócił się do blondynki. - Jestem Ed Schulz z czasopisma "Time". Znam w Zurychu miłą restauracyjkę, nazywa się Veltliner Keller...

Lee Foley nie bawił się we wspomnienia. Zrezygnował z jedzenia kolacji i zamówił kolejną szklaneczkę napoju cytrynowego. Nie dlatego, że był takim abstynentem; po prostu rzadko pijał alkohol, bo przyćmiewał umysł i zwalniał refleksy. Czy ktoś z tych, co traktowali alkohol jako środek na poprawę humoru wiedział, że w rzeczywistości działa on depresyjnie? Dla Foleya sposobem na relaks były papierosy i od czasu do czasu jakaś kobieta. Ale musiała to być kobieta z klasą - no i zdecydowanie nie prostytutka.

Ta myśl przywołała inną.

- Jeśli przyjdzie mi za to płacić, to całkiem z tego zrezygnuję.

Pamiętał, że powiedział tak pewien Brytyjczyk, gdy przechodzili koło burdelu na Reeperbahn w Hamburgu. To był Bob

Newman, dziennikarz. Ten facet, który ostatnio rozpracował sprawę Krugera w Niemczech, czym zdobył sobie nową porcję sławy. Teraz Ed Schulz nigdy nie zdoła pobić tego eksperta od chwytania szpiegów.

Foley zaczął się zastanawiać, gdzie może znajdować się teraz Bob Newman, ale szybko odrzucił tę nie związaną z tematem myśl.

"Skup się maksymalnie" było jedną z ulubionych maksym Foley'a. "I czekaj choćby wieczność, jeśli trzeba, aż nadarzy się odpowiednia okazja".

Teraz Foley właśnie czekał, obserwując spod na wpół przymkniętych powiek jedzącą kolację pasażerów wokół Schulza.

Kiedy podawano kawę, uznał, że nastąpiła właściwa chwila. Sięgnął do rozsuniętej uprzednio kieszonki i z plastikowej osłonki wycisnął rozpuszczalną kapsułkę.

Wstał i zaczął spokojnie iść w stronę dwóch stewardów krążących się obok Schulza, który siedział zwrócony twarzą do swego sąsiada i rozmawiał z nim. Schulz - jak nakazywał zwyczaj - rozwartą dłońią podtrzymywał pękaty kieliszek remy martini. Na stoliku przed nim stała filiżanka parującej czarnej kawy.

Foley potrącił lewym łokciem najbliższego stewarda. Gdy ten się odwrócił, sprawnie wrzucił kapsułkę do filiżanki Schulza.

W powietrzu unosiły się opary alkoholu, nikt więc niczego nie zauważył. Foley przeprosił stewarda i wrócił na swoje miejsce.

Zerknął na zegarek. Do Genewy zostało sześć godzin lotu.

Kawa zmieszana z rozpuszczoną zawartością kapsułki zapewni Schulzowi ośmiogodzinny sen. Dopiero w porcie docelowym, Zurychu, zdoła wyjść z samolotu, choć jeszcze chwiejnym krokiem.

Nie wyczuje w kawie obcego smaku. A samo przytknięcie kapsułką do filiżanki Foley wielokrotnie przećwiczył w domu.

Zresztą już wcześniej zmylił Schulza, bo w jego obecności pokazywał stewardesie bilety do Zurychu. Kiedy nadawał bagaż, kazał odprawiającej go dziewczynie skierować walizki do Genewy.

Foley zawsze kupował bilet na trasę dłuższą, niż

rzeczywiście zamierzał odbyć, albo jechał drogą okrężną, przesiadając się na inny samolot. Uważnie się rozejrzał, zanim wyjął dokumenty z walizeczki. Nikt już nie będzie mu dzisiaj przeszkadzał.

Nadszedł ten etap nocnego lotu, który tak dobrze znał. Wszyscy pasażerowie albo zasypiali, albo już spali ukołysani monotonnym odgłosem pracujących silników. Odmówił skorzystania z oferowanej mu przez stewardesę poduszki i otworzył walizeczkę.

Przez ostatnie parę godzin od czasu tego dziwnego telefonu do KMAD - u niewiele chodził po ziemi. Przed sobą miał teraz maszynopis długiej rozmowy telefonicznej z Fordhamem z Ambasady Amerykańskiej w Bernie. Dokument był zatytułowany "Sprawa Hanny Stuart, pacjentki zmarłej w Klinice Berneńskiej w Thun".

Pismo nie ujawniało faktu, że Fordham pełni w ambasadzie funkcję attache wojskowego. Wzrok Foleya spoczął na notatce przy końcu maszynopisu.

"Jesteśmy bardzo zaniepokojeni faktem, że plotki na temat wydarzeń i sytuacji w Klinice mogą wpłynąć na sytuację międzynarodową".

Foley rozłożył dokładną mapę Szwajcarii, koncentrując uwagę na kantonie berneńskim. Przesunął palcem wzdłuż autostrady biegnącej z Berna na południowy wschód do miasta Thun. W Genewie albo w Bernie będzie musiał wynająć samochód. Był przekonany, że do wykonania zadania cztery kółka okażą się niezbędne.

Rozdział 4

Gmund, Austria, 10 lutego 1984. Minus 17 stopni Celsjusza.

Zdaniem Manfreda Seidlera, tysiące mil na wschód od Tucson i Nowego Jorku słońce wschodziło znacznie bardziej ponuro.

Osobowo - towarowy samochód marki Renault wciąż znajdował się na terenie Czechosłowacji, lecz szybko zmierzał w stronę położonego na odludziu przejścia granicznego z Austrią w Gmundzie; zostało już niecałe dwa kilometry. Seidler popatrzył na

siedzącego obok kierowcę, sześćdziesięcioletniego Franza Oswalda, którego pomarszczona, szorstka skóra twarzy i krzaczaste wąsy sugerowały raczej siedemdziesiątkę.

Spojrzał na zegarek. Szósta dwadzieścia pięć. Było jeszcze całkiem ciemno i nie mógł dojrzeć końca pustych, ośnieżonych pól. Choć działało ogrzewanie, w samochodzie panował chłód; Seidler przyzwyczajony był do zimna. Martwiło go tylko zdenerwowanie Oswalda.

- Zwolnij - polecił. - Już dojeżdżamy. Jeszcze pomyślą, że próbujemy siłą przedrzeć się na drugą stronę. Nie możemy obudzić ich czujności.

- Nie możemy też się spóźnić. - Oswald zwolnił nieco, a to, co powiedział potem, tylko potwierdziło obawy Seidlera. - Zatrzymajmy się na chwilę - zaproponował. - Przyda mi się kropelka sznapsa przed tą przeprawą.

- Nie! Nie mogą poczuć od ciebie alkoholu! Zwróci ich uwagę jakiś drobiazg i zarządzą przeszukanie całego samochodu. A poza tym ja będę mówił.

- A jeśli wcześniej zmienili warty? Jeśli teraz stoi już nowa zmiana?

- Zawsze zmieniają strażników o tej samej porze.

Mówił szorstko, starając się, żeby jego głos brzmiał pewnie.

Ponownie spojrzał na starego Franza - odkąd pamiętał, zawsze tak nazywał go w myślach. Twarz Oswalda porastał siwy zarost.

Seidler potrzebował go do swoich ekspedycji, bo staruszek często przekraczał granicę z legalnymi ładunkami. Na przejściu granicznym znali go, tak jak i ten samochód. Teraz widać już było strażnicę.

- Włącz długie światła - rozkazał Seidler.

Staruszek tracił nad sobą kontrolę - zapomniał o sygnale dla Jana.

- No, przełącz je!

Chłodne powietrze wewnątrz samochodu zepsuła woń strachu.

Seidler wyczuwał kwaśny odór spoconego ciała kierowcy, na

którego czole zaczęły się pojawiać kropelki potu. Sam lepiej by się czuł, gdyby stary nie powiedział, że być może wcześniej zmieniono strażników. Mógłby skończyć na Syberii, gdyby przeszukano samochód. Nie! Nie na Syberii. Na torturach powiedziałby wszystko o poprzednich przesyłkach. To by ich rozwścieczyło. Postawiliby go z pewnością przed plutonem egzekucyjnym. Właśnie w tym momencie Manfred Seidler postanowił, że jeśli im się uda, będzie to ostatni raz. Na numerowym koncie w szwajcarskim banku miał już wystarczającą ilość pieniędzy.

Wyjął z kieszeni jedwabną chusteczkę i poleciwszy Franzowi siedzieć spokojnie, otarł mu pot z czoła. Zatrzymali się. W świetle wydostającym się przez otwarte drzwi strażnicy Seidler widział opuszczony ciężki szlaban, który zagradzał im drogę do Austrii.

- Zostaw to! - syknął, bo stary zamierzał zgasić silnik.

Strażnicy byli przyzwyczajeni do pracującego silnika. Kojarzyło im się to z pobieżnym sprawdzeniem samochodu, podniesieniem barierki i przepuszczeniem jadącego na drugą stronę. Do renault od strony Seidlera zbliżyła się umundurowana postać z przewieszonym przez ramię karabinem.

Manfred chciał otworzyć drzwiczki, ale klamka zamarzła.

Szybko opuścił okno. Do środka wtargnęło lodowate powietrze, mroząc nie osłoniętą skórę nad grubym szalikiem. Żołnierz pochylił się i zajrzał do środka. To właśnie Jan.

- Przepraszam, ale klamka zamarzła - powiedział Seidler biegłym czeskim. - Chyba trzeba sprawdzić drewnianą skrzynkę w bagażniku. Tę drewnianą - podkreślił. - Nie jestem pewien, czy wolno wywozić to, co w niej jest. Jeśli nie, to proszę ją wywalić...

Jan pokiwał głową ze zrozumieniem, a po chwili jego buty zaskrzypiały na zamrzniętym śniegu. Przerażliwie wolno szedł na tyły samochodu. Seidler zapalił papierosa, żeby uspokoić nerwy.

Od wolności dzielił ich już tak mały krok, że nie śmiał nawet spojrzeć na Oswalda. Wiedział, że popełnił błąd

psychologiczny, kładąc nacisk na słowo "drewniana". Podobnie jak w czasie poprzednich wypraw założył, że ludzie nie zwracają uwagi na to, co mają tuż przed oczami, ale w ten sposób podejmował ogromne ryzyko. Tuż obok drewnianej skrzyni stała znacznie większa tekturowa i właśnie tej Jan miał nie sprawdzać.

Całą siłą woli starał się powstrzymać od spojrzenia do tyłu; zapominając o otwartym oknie, zaciągnął się głęboko papierosem i nasłuchiwał odgłosu otwieranego bagażnika. Dzięki Bogu, że tam klamka nie zamarzła! Rozległo się szuranie - to Jan wyjmując skrzynię.

Do uszu Seidlera dotarł błogosławiony stukot zamykanego bagażnika.

Z lewej strony wdarł się do samochodu snop światła. Ze strażnicy musiał wyjść ktoś z latarką. Ale Manfred wciąż patrzył prosto przed siebie. W ciemnoszarym poranku słyszał jedynie odgłos pracującego silnika i szum wycieraczek tworzących dwa wachlarzyki czystego szkła na zaśnieżonej szybie.

Teraz zaskrzypiały buty na stwardniałym śniegu. W oknie pojawiły się z powrotem zaczerwienione od wiatru policzki Jana.

Karabin wciąż miał przewieszony przez ramię, drugim wprawdzie podtrzymywał skrzynkę. Pochylił się z obojętną miną i powiedział:

- To do następnego razu...

- Tak jak zwykle - odparł z uśmiechem Seidler, wciskając papierosa w popielniczkę. Taki drobny znak, że transakcja została dokonana.

Jan zniknął we wnętrzu strażnicy. Manfred zamknął akno -przemarzał do szpiku kości. Przy takim słabym ogrzewaniu może zdoła odtajać tuż przed Wiedniem. Szlaban wciąż jednak był opuszczony. Franz sięgnął do hamulca, lecz Seidler powstrzymał go.

- Na miłość boską, zostaw to! Nie możemy okazać zniecierpliwienia.

- Coś tu nie gra, czuję to przez skórę. Normalnie już powinniśmy być po drugiej stronie.

- Zamknij się! Nie widziałeś, że Jan ziewał? O tej porze ledwo się tam trzymają na nogach. Przecież siedzieli tu całą noc. W tej dziurze nic się nie dzieje. Nudzą się śmiertelnie. Popadli już w kompletne odrętwienie.

Seidler uświadomił sobie, że za dużo mówi. Zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie próbuje uspokoić samego siebie.

Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w poprzeczny słupek. Szlaban drgnął. O Chryste! Nerwy zaczęły mu puszczać.

Szlaban już nie drgał. Podnosił się. Franz zwolnił hamulec i ruszyli do przodu. Byli po drugiej stronie! Zatrzymali się jeszcze na moment, by austriacki strażnik mógł rzucić okiem na niemiecki paszport Seidlera, co uczynił bez najmniejszego zainteresowania. W chwilę później jechali uliczkami miasteczka Gmund.

- Czy pan wie, że zrobili panu zdjęcie na granicy? - powiedział Franz, gdy przyspieszyli na autostradzie prowadzącej z Gmund do odległego Wiednia.

- O czym ty, do diabła, mówisz?

- Sfotografował pana jakiś cywil. Nie zauważył pan błysku flesza? Miał taki śmieszny aparat z dużym obiektywem...

- Cywil? - zdziwił się Seidler. - Jesteś pewien? Ze strażnicy wyszedł ktoś z latarką...

- To nie była latarka. To flesz. Obserwowałem go kątem oka.

Pan patrzył wtedy prosto przed siebie.

Seidler, zbliżający się już do pięćdziesiątki mężczyzna o gęstych ciemnobrązowych włosach, kościstej twarzy, długim, znamionującym wścibstwo nosie, spokojnym spojrzeniu i szczupłej budowie ciała, zamyślił się. Martwił go fakt, że ten ktoś był cywilem. Nigdy do tej pory na granicy nie było nikogo prócz strażników. Tak, to zdecydowanie był ostatni kurs. Ledwie ta myśl rozluźniła go nieco, Franz znów powiedział coś niepokojącego.

- Nie będę już więcej panu pomagał - wychrypiał.

Akurat świetnie się składa, pomyślał Seidler, ale spojrzął ostro na Oswalda. Franz patrzył przed siebie, ale jego twarz

mówiła, że coś ukrywa i jest z siebie zadowolony. Seidler znał ten wyraz:

Franz cieszył się z jakiegoś przebiegłego chwytu, który miał w zanadru.

- Przykro mi to słyszeć - rzekł Seidler.

- Te wszystkie przejścia graniczne są ryzykowne - ciągnął Franz. - Byłem pewien, że zmienili strażę. Jest to tylko kwestią czasu, bo kiedyś rzeczywiście to zrobią. Nie będzie Jana, który odbierze swojego sznapsa, i przepuści pana na drugą stronę.

Przeszukają cały samochód...

Oswald powtarzał się, mówił zbyt wiele i przesadnie podkreślał powody, dla których podjął taką, a nie inną decyzję. No i głupio się uśmiechał. Bystry i przebiegły umysł Seidlera próbował odgadnąć prawdziwy powód takiego zachowania. Prawą ręką, którą miał schowaną w kieszeni, namacał sprężynowy nóż. Zawsze nosił go przy sobie w specjalnie wszytej w tym celu kieszonce.

Pieniądze! Franz uwielbiał je. Nikt nie mógł zapłacić mu więcej niż hojna ręka Seidlera.

Droga do Wiednia biegła przez odludny i ponury krajobraz.

Płaskie jak stół pola, monotonne i zaśnieżone, pozbawione zupełnie drzew, rozciągały się po obu stronach autostrady.

Było jeszcze ciemno, gdy przejeżdżali przez jedno z nielicznych skupisk ludzkich pomiędzy Gmund a Wiedniem. Miejscowość nazywała się Horn i biegła tam zaledwie jedna ulica zabudowana starymi, przypominającymi masywne stodoły budynkami. Ogromne, dwuskrzydłowe drzwi z drewna, tak wielkie, że mógłby przejechać przez nie ciągniony przez osły wóz z sianem, broniły dostępu do podwórek.

Co też, do diabła, chodzi Franzowi po głowie? Seidler, urodzony oportunistą, którego charakter i wychowanie sprawiały, że zawsze umiał sobie radzić w życiu, starał się rozwiązać tę zagadkę na wszelki możliwy sposób. Pochodził ze środkowej Europy - ojciec, sudecki Niemiec, mieszkał przed wojną w Czechosłowacji, matka zaś była Czeszką.

Seidler władał pięcioma językami: czeskim, niemieckim, angielskim, francuskim i włoskim. Czesi, a on przede wszystkim był Czechem, mają zdolności językowe. To uzdolnienie, w połączeniu z równie naturalną u Czechów sumiennością, oraz rozległe kontakty, jakie nawiązał w całej Europie, umożliwiały mu nie najgorsze życie.

Miał metr osiemdziesiąt wzrostu, mały wąsik i chlubił się zdolnością swobodnego prowadzenia konwersacji we wszystkich pięciu językach. Gdy zbliżali się do Wiednia, wciąż jeszcze zmagał się z zagadką, jaką zadał mu Franz. Poza tym zrodził się jeszcze jeden problem - przekazanie przesyłki spoczywającej w kartonowym pudle w bagażniku było zaplanowane co do minuty. Na lotnisku Schwechat czekał na Seidlera samolot, a jego pracodawcy pedantycznie pilnowali punktualności. Czy może sobie pozwolić na niewielką stratę czasu w Wiedniu, by sprawdzić Franza?

Pierwsze promyki ponurego, bladego światła przecisnęły się przez ciężkie chmury. Właśnie wtedy Franz zatrzymał samochód przed dworcem West, z którego odjeżdżała większość pociągów na zachód. Tutaj Seidler zwykle przesiadał się do własnego samochodu czekającego na parkingu. Nie byłoby wskazane pozwolić Franzowi odwiedzić się na lotnisko - im mniej wiedział o celu przesyłki, tym lepiej.

- Masz swoje pieniądze. Nie przepuść wszystkich na alkohol i dziwki - powiedział Seidler z zamierzoną nonszalancją.

Uwaga była rzeczywiście bardzo zabawna - śmieszył sam pomysł, że Franz Oswald mógłby wydać pieniądze w burdelu zamiast w tawernie. Staruszek wziął grubą kopertę i wsunął ją do wewnętrznej kieszonki. Gdy Seidler okrążał samochód, otwierał bagażnik i wyjmował dużą kartonową paczkę, chwytając mocno grubym sznur, Franz cały czas bębnił niecierpliwie palcami po kierownicy, co było zupełnie do niego niepodobne. Seidler zatrzasnął bagażnik i zbliżywszy się do okna od strony pasażera, powiedział:

- Być może będę miał teraz inną robotę. Bez ryzyka. I na

terenie Austrii - skłamał. - Skontaktuję się z tobą...

- Pan jest szefem.

Powiedziawszy to, Franz zwolnił hamulec i nie patrząc na swego pracodawcę odjechał. Seidler dostrzegł to coś zupełnie przypadkowo. Wygnieciony kraciasty kocyk zsunął się z tylnego siedzenia i odsłonił to, co było pod nim ukryte. Seidler zamarł.

Franz ukradł jedną sztukę zamówionego towaru. _ Robotnicy zaczynający pracę o świcie powolnym krokiem wychodzili z dworca drzwiami umieszczonymi w ogromnej szklanej ścianie. Człapali właśnie w dół po schodach, gdy Seidler podjął szybką decyzję. Akurat zrobił się korek w miejscu, gdzie wyjeżdżało się z podjazdu i renault Franza utknął w nim.

Seidler pobiegł do swego opla, szybko otworzył drzwiczki, wrzucił kartonowe pudełko na tylne siedzenie i siadł za kierownicą.

Starał się nie wpadać w panikę. Najpierw włożył kluczyki do stacyjki, włączył silnik, po czym ruszył z miejsca, w chwili gdy Franz wydostał się z korka i skręcał w Mariahilferstrasse. Jadąc za nim, Seidler widział wylaniające się z półmroku ponure, szare budynki. Wyglądało na to, że Franz jedzie do centrum, oddala się więc od miejsca swego zamieszkania.

Seidler czuł, że wzbiera w nim wściekłość. Prowadząc jedną ręką, drugą sięgnął do ukrytej kieszonki i sprawdził sprężynowy nóż. Teraz rozumiał ten głupawy uśmiezek na twarzy Franza.

Stary zamierzał sprzedać jeden egzemplarz towaru.

Pozostawało tylko pytanie: kto jest kupcem?

Seidler zaparkował i oszołomiony siedział w samochodzie.

Zastanawiał się nad tym, co właśnie zobaczył. Przed Ambasadą Brytyjską na Franza czekał szczupły, energiczny mężczyzna z przystrzyżonymi wąsikami.

Franz wysiadł ze swego renault i niosąc tekturowe pudełko podszedł do Anglika. Ujął on Oswalda pod ramię i szybko wprowadził do budynku. Tym razem to Seidler obserwujący całe zdarzenie bębnił palcami po kierownicy i co chwila zerkał na

zegarek. Na lotnisku czeka na niego samolot. Miał jednak świadomość, że musi zaczekać na Franza.

Dziesięć minut później stary się pojawił, ale już bez pudełka.

Wsiadł do samochodu, nie zerkając nawet w stronę Seidlera, który skulony, w czarnym berecie, którego Franz nigdy na nim nie widział, siedział za kierownicą swego opla. Sposób poruszania się staruszka oznaczał, że wizyta w ambasadzie była dla niego wielce satysfakcjonująca. Renault odjechało.

Seidler ruszył za nim, gdy Franz skręcił w wąską, pustawą uliczkę, przy której stały wysokie, stare domy. Biegące w dół schody prowadziły do suterenu. Seidler zerknął w lusterko wsteczne, przyspieszył, wyprzedził wolno jadące renault i zajechał mu drogę.

Franz wcisnął hamulce i zatrzymał się o kilka centymetrów od opla.

Czym prędzej wyskoczył z samochodu i puścił się truchtem po bruku szurając nogami.

Seidler dogonił go tuż przy schodkach prowadzących do jakiejś suterenu, zanim tamten zdołał przebiec sto metrów. Lewą ręką chwycił Franza za ramię i odwrócił do siebie. Uśmiechnął się i powiedział:

- Nie ma się czego bać... Chcę tylko wiedzieć, komu dałeś to pudełko... Jeśli powiesz, możesz iść do samego piekła... Nie obchodzi mnie to... Pamiętaj, mówiłem, że to ostatnia runda...

Nie przerywając tej przemowy, z całej siły wbił Franzowi nóż w klatkę piersiową. Zdziwił się, że ostrze z taką łatwością przebija ludzkie ciało. Franz zakrztusił się, zakasłał, oczy wyszły mu z orbit i zaczął ciężko dyszeć. Seidler z wściekłością popchnął go dłonią osłoniętą rękawiczką, aż upadł na wznak. Zsunął się po schodkach.

Z jego piersi wystawała rękajeść noża. Seidlera zaskoczył fakt, że wszystko obyło się bez żadnego hałasu. Najgłośniejszym dźwiękiem był odgłos czaszki rozbijającej się o kamienne stopnie,

gdy Franz spadał w dół. Wylądował plecami na bruku.

Rozejrzawszy się, Seidler zbiegł po schodkach i z wewnętrznej kieszeni marynarki Franza wyciągnął wypchany pieniędzmi portfel, mimo iż koperta z austriackimi szylingami, którą dał mu wcześniej, znajdowała się na swoim miejscu. Szybko wyjął z portfela plik szwajcarskich banknotów, każdy o nominale pięciuset franków -było ich ze dwadzieścia. Dziesięć tysięcy franków. Dla Franza była to prawdziwa fortuna.

Z daleka dobiegł odgłos nadjeżdżającego samochodu i Seidler zorientował się, że najwyższy czas uciekać. Wsunął banknoty do kieszeni i pobiegł do samochodu. Ruszał właśnie z miejsca, gdy w bocznym lusterku dostrzegł światła zbliżającego się pojazdu. Za rogiem przyspieszył i zapominając o tamtym samochodzie, myślał wyłącznie o tym, by dojechać na lotnisko.

Uwagę kapitana "Tommyego" Masona, oficjalnie pełniącego funkcję attache wojskowego w Ambasadzie Brytyjskiej w Wiedniu, zdziwiło nieco opuszczone z otwartymi drzwiczkami renault, zaparkowane pod dziwacznym kątem w stosunku do krawężnika tuż przy suterenie. Ledwie zdołał przejechać obok. Mason zatrzymał się i zgasił silnik.

Z cichej uliczki dobiegł go odgłos pracującego silnika. Sprawnie wyskoczył ze swego forda escorta, podbiegł do sutereny, by zajrzeć w dół. Wrócił do samochodu, zapalił go i prędko odjechał. Zdążył jeszcze zobaczyć tylne światła opla skracającego na autostradę. Gdy go dogonił, zwolnił nieco i jechał w bezpiecznej odległości. Na razie nie ma sensu nikogo alarmować. Zrobi to z samego rana.

Po raz pierwszy Mason zauważył opla przed ambasadą, w czasie gdy rozmawiał z Franzem. Wyjrzał wtedy dyskretnie z okna drugiego piętra i dostrzegł samochód, a w nim skulonego kierowcę w śmiesznym, czarnym berecie w stylu żabojadów. Przynajmniej kiedyś panowała na nie moda wśród Francuzów. Teraz już się nie widywało takich nakryć głowy.

Nie chciał wówczas niepokoić swego gościa, który ku jego

zdziwieniu przybył jednak na spotkanie. Jeszcze większe zaskoczenie, a nawet lekki przestrah Masona wywołała zawartość pudełka.

Gdy tylko facet wyszedł, Mason doszedł do wniosku, że nie zaszkodzi pojechać za nim, zwłaszcza że Czarny Beret też najwyraźniej miał podobny zamiar. Nigdy nie wiadomo, co można odkryć.

Kiedys w Londynie Tweed mówił coś na ten temat. Zabawne, że uwagi Tweeda, czasem rzucone ni stąd, ni zowąd, zapadały w pamięć.

Mason miał trzydzieści trzy lata, metr siedemdziesiąt wzrostu, zaspane oczy, krótki wąsik i szorstki głos. Cedził słowa i wyrażał się bardzo lakonicznie, co sprawiało, że był niemal chodzącą karykaturą attache wojskowego, a przecież właśnie to stanowisko zajmował. Wkrótce po jego przybyciu do stolicy walca wydano przyjęcie, w czasie którego ambasador ostrzył swój cierpki dowcip kosztem nowego pracownika.

- Wiesz, Mason, gdybym miał pokazać komuś zdjęcie typowego brytyjskiego attache wojskowego, to sfotografowałbym ciebie...

" - Sir... - odparł Mason.

Teraz Mason domyślał się, że facet w oplu zmierza na lotnisko, chyba że - Boże ucho! - jedzie w kierunku czeskiej granicy i dalej do Bratysławy. Każdy człowiek, który o tej godzinie zostawia za sobą trupa, zasługuje na odrobinę uwagi. Piętnaście minut później Mason upewnił się, że miał rację. Nie wolno przestać główkować i dociekać. Ciekawe, gdzie się ten gość wybiera w porze, kiedy większość ludzi nie zdążyła jeszcze zjeść śniadania.

Seidler przekroczył dozwoloną prędkość i co chwila zerkał na zegarek. Poza Franzem Oswaldem zabił tylko jednego człowieka, i to w wypadku, ale czuł się tak samo. Był wstrząśnięty, myślał tylko o jednym: bezpiecznie znaleźć się na pokładzie samolotu.

Z celnikami nie będzie problemu. Ale i tym razem kluczowe znaczenie miał czas, bo szef celników obecnej zmiany dostał już w

garść sporą sumkę. Przy sprawach zasadniczych pracodawca Seidlera nigdy nie wahał się wyłożyć odpowiednie fundusze.

Skręciwszy w stronę lotniska, Seidler minął główny budynek i jechał wprost na pas startowy. Josef, który nie był w nic wtajemniczony, czekał już, by odprowadzić do Wiednia wypożyczony samochód.

Seidler wyskoczył z opła, skinął do Josefa i zabrawszy duże kartonowe pudło ruszył pośpiesznie w stronę należącego do szefa odrzutowca. Przy schodkach stał mężczyzna, którego Seidler nigdy przedtem nie widział. Zapytał po francusku:

- Rodzaj zamówienia?

Rozdział 5

Londyn, 10 lutego 1984. Minus 13 stopni Celsjusza.

Tweed, niski, korpulentny mężczyzna w średnim wieku, wyglądał właśnie z okna swego biura w kwaterze głównej SIS przy Park Crescent, kiedy Mason zadzwonił z Wiednia.

Przez szkła okularów w rogowej oprawie patrzył na pobliski Regents Park poprzez ogrody Crescent. W rozmytym świetle poranka na tle zieleni widniały tam małe złociste kępki. Wczesnowiosenne krokusy. A to już coś - zapowiadały nieuchronny koniec zimy. Telefon na biurku zadzwonił.

- Zamiejscowa z Wiednia - obwieściła telefonistka z wewnętrznej centralki.

Jeśli z Wiednia, to wiadomo, że zamiejscowa, pomyślał Tweed.

Polecił połączyć rozmowę i usadowił się wygodnie w obrotowym krześle. Wymienili wstępne formułki identyfikacyjne. W głosie Masona słychać było pośpiech, co nie było w jego zwyczaju.

- Mam coś dla ciebie. Nie mogę wdawać się w szczegóły przez telefon...

- Mason, skąd dzwonicz? - spytał ostro Tweed.

- Z automatu na poczcie głównej. To w centrum Wiednia.

Telefon w ambasadzie podłączony jest do centralki. Właśnie

wracam z lotniska Schwechat. To...

- Wiem, gdzie to jest. Przejdź do rzeczy...

Tweed znów użył ostrego tonu, co było dość nietypowe dla niego. Jednak głos Masona zwiastował coś niezwykle pilnego.

Pracował dla SIS, ale pod płaszczykiem attache wojskowego.

Wreszcie Brytyjczycy nauczyli się czegoś od swych sowieckich kolegów - w ich ambasadach nikt nie był tym, za kogo się podawał.

- Mam coś dla ciebie. To dość przerażające. Obejdziemy się bez szczegółów na tej linii. Przywiozę to z sobą do Londynu. A najważniejsze, że pół godziny temu odleciał ze Schwechat prywatny odrzutowiec typu Lear ze szwajcarskimi oznaczeniami. Założę się, że do Szwajcarii...

Tweed słuchał nie przerywając. Mason znów był sobą - mówił zwięźle, używając krótkich, ścisłych określeń. Ani jednego zbędnego słowa. Tweed nie robił notatek, choć notes leżał przed nim na biurku. Gdy Mason skończył, zadał mu tylko jedno pytanie, zanim się rozłączył:

- Jak długo leci się z Wiednia do Szwajcarii?

- Godzinę i dziesięć minut. Jeśli zgadłem, to masz niecałe czterdzieści minut. Aha, i jest jeszcze trup...

- Do zobaczenia w Londynie.

Tweed dopiero po chwili odłożył słuchawkę, lecz zaraz potem podniósł ją z powrotem i poprosił o linię zamiejscową. Wykręcił kierunkowy do Szwajcarii - 010 41, potem kierunkowy do Berna -31 i jeszcze sześć cyfr. Mniej niż minutę zajęło mu połączenie się z Wileym, attache handlowym w Ambasadzie Brytyjskiej w Bernie.

Mówił szybko, wyjaśniając, o co mu chodzi.

- Postaw na nogi naszego człowieka w Genewie i tego faceta w Zurychu.

- Czas pracuje przeciwko każdemu, kto chce dostać się na lotnisko i obstawić je - protestował Wiley.

- Wcale nie. Cointrin jest oddalone zaledwie dziesięć minut drogi od centrum Genewy. A teraz, gdy skończyli tę nową szosę, to z Zurychu można dostać się do Kloten w dwadzieścia minut. A ty

sam możesz sprawdzić Belp...

- Może jak pojedę na łyżwach..., - No to pojedź... - rzucił

Tweed i rozłączył się.

Westchnął i podszedł do dużej ściennej mapy Europy Zachodniej.

Mason był nieporównywalnie lepszy od Wileya. Może trzeba by ich zamienić rolami, kiedy Mason wróci do Londynu. Wiedeń był oazą spokoju, a w Bernie coś zaczynało się dziać. I dlaczego nikt nie pamiętał o Belp? Nawet Howard chyba nie miał pojęcia, że Berno ma własne lotnisko w odległości piętnastu minut drogi czteropasmową autostradą na Thun i Lucernę. Trzy razy w tygodniu są loty z Belp na Gatwick w Londynie. Tweed właśnie przyglądał się mapie, gdy jego szef, Howard, wpadł jak burza do pokoju.

Oczywiście bez pukania.

- Dzieje się coś ciekawego? - spytał jowialnie.

Howard znał wszystkich ludzi, których należało znać, chodził do odpowiednich szkół i skończył uniwersytet, który zamykał koło, gdyż tam właśnie poznał tych właściwych ludzi. Był zdolnym administratorem, ale brakowało mu wyobraźni i nie lubił podejmować ryzyka. Wszyscy wiedzieli, że kiedy Tweed jest w złym humorze, prywatnie wyraża się o Howardzie "Tępa Pała".

- Być może w Bernie - odparł krótko Tweed.

- W Bernie? - ożywił się. - To chyba wiąże się z tą sprawą Terminalu, do której tak się przykleiłeś. Ale co, u licha, znaczy to słowo, jeżeli w ogóle coś znaczy?

- Nie mam pojęcia, czy ma jakieś znaczenie. Po prostu z różnych źródeł docierają do nas pogłoski na ten temat.

Postanowił, że nie wspomni Howardowi o tym, że Mason mówił o trupie. Jeszcze za wcześnie, żeby go ekscytować.

- Mam nadzieję, że nie angażujesz w to zbyt wielu ludzi - rzekł Howard. - Terminal - powtórzył. - Może trzeba by przyjrzeć się lotniskom. To by się zgadzało: lotnisko, terminal...

- Już się tym zajmuję.

- Brawo. Informuj mnie na bieżąco.

Wiley zadzwonił na Park Crescent punktualnie o czwartej po południu. Przeprosił, że nie telefonował wcześniej, ale linie w ambasadzie były zajęte. Tweed domyślił się, że czekał aż wszyscy, łącznie z ambasadorem, pójdą do domu. W Bernie była teraz piąta, bo między czasem szwajcarskim a londyńskim jest godzina różnicy.

- Miałem szczęście - poinformował Tweeda. - A przynajmniej tak mi się wydaje. Jeśli oczywiście to był ten samolot, który cię interesuje... - Opisał dokładnie maszynę, a Tweed pochrząkiwał niecierpliwie. W końcu kazał mu przejść do rzeczy. - Z samolotu wyszedł człowiek, który niósł duże kartonowe pudło i załadował je do czekającej ciężarówki pokrytej płótnem. Na boku miała wymalowany napis CHEMIEKONZERN GRANGE AG...

- Poczekaj, zapiszę. No dobrze, mów dalej...

- To dziwna historia. Pojechałem za tą ciężarówką. Człowiek z samolotu siedział obok kierowcy i kierowali się na Berno. Po drodze skręcili w bok, ale wiedziałem, że to ślepa uliczka, więc zaczekałem na nich. Udawałem, że zepsuł mi się samochód i stałem na mrozie grzebiąc pod maską. O Boże, ale było zimno...

Mason pominąłby ten szczegół. Ale tym razem Tweed czekał cierpliwie. O czwartej po południu miał wyostrzony umysł. Światła samochodów też ostro odcinały się od zapadającego na zewnątrz zmroku. Na razie Tweed czuł się lekko rozczarowany raportem Wileya. Nie bardzo jednak wiedział dlaczego.

- Jakieś piętnaście minut później wyjechała z tej uliczki inna ciężarówka. Niewiele brakowało, żebym ją przeoczył, ale zauważyłem tego samego człowieka obok kierowcy. Pojechałem za nimi; zmierzali do centrum miasta. Niestety zgubiłem ich na przedmieściach. To zabawne, ale mam wrażenie, że ta sama ciężarówka mijала mnie trochę później, tyle że tym razem jechała w przeciwnym kierunku - wyjeżdżała z miasta.

- To wszystko?

- Chwileczkę. Dostrzegłem nazwę namalowaną na samochodzie. I dam sobie uciąć głowę, że na obu wozach była taka sama.

Tweed właśnie zapisywał nazwę, kiedy do pokoju ponownie

wszedł Howard, jak zwykle bez pukania. Kończył notować, gdy szef okrążył biurko i zajrzał mu przez ramię - kolejny irytujący nawyk. Tweed podziękował Wilejowi i odłożył słuchawkę.

Nie miał wątpliwości, że Howard wracał właśnie z jednej ze swych licznych wycieczek do centrali telefonicznej, gdzie sprawdzał, czy dzieje się coś ciekawego. Wiedział też, że szef często zostaje po godzinach i węszy w pustych gabinetach swoich pracowników.

Dlatego właśnie Tweed miał zwyczaj trzymać pod kluczem wszelkie ważne materiały; na biurku zostawiał tylko banalne sprawy.

- Coś nowego? - dopytywał się Howard.

- Nie jestem pewien. Jeszcze nie podjąłem decyzji, ale być może będę musiał sam pojechać do Berna. Wiesz, że wszyscy ludzie są zajęci. Keith Martel ma robotę i w ogóle wszyscy coś robią...

- Każdy pretekst jest dobry - skomentował Howard, sucho brzęcząc monetami w kieszeni. - Lubisz Berno. Jest coś nowego? -powtórzył.

- Dziś rano Mason mówił, że coś dla mnie ma - "to dość przerażające", tak się wyraził. Myślę, że przyniesiono mu to coś do ambasady. Ma z tym przyjechać za kilka dni, musi więc to być poważna sprawa, może nawet bardzo poważna...

- O Chryste! Znowu szykujesz jakiś kryzys.

- Kryzysy mają to do siebie, że szykują się same - zauważył Tweed. - A przed chwilą dzwonił Wiley... - Tak jakbyś nie wiedział, pomyślał. - Mason mówił mi rano, że jechał za pewnym człowiekiem, być może zamachowcem, z Wiednia na lotnisko Schwechat. Ten ktoś wsiadł na pokład prywatnego szwajcarskiego odrzutowca. Postawiłem ludzi na trzech lotniskach, chociaż w Szwajcarii jest ich dużo więcej. Wiley doniósł mi, że podobny samolot wylądował w Belp...

- Belp? A gdzie to jest, do diabła? Śmieszna nazwa...

- Popatrz na szpilkę w mapie. Belp to lotnisko berneńskie.

- Nie wiedziałem, że w ogóle tam jakieś jest.

Tweed nic nie powiedział, tylko znad okularów przyglądał się Howardowi przy mapie.

- A więc chodziło o lotnisko - obwieścił z satysfakcją w głosie Howard. - Terminal! To zaczyna być interesujące...

Zawsze lepiej było mieć Howarda po swojej stronie, albo przynajmniej na neutralnym stanowisku, i pozwolić mu myśleć, że przyczynił się do rozwiązania sprawy. Tweed kontynuował spokojnie:

- Wiley widział, jak z samolotu wysiada człowiek z dużym kartonowym pudłem. Odjechał małą ciężarówką. Wiley zapamiętał napis na bocznej ścianie. Na razie mam kilka szczegółów tej układanki - może zacząć tworzyć jakiś wzór.

- Albo poważny kryzys...

Po raz pierwszy Howard powiedział coś, co można było uznać za żart. Obrócił się na pięcie i strzepnął niewidoczny paproch ze służbowego prążkowanego garnituru. Lubił ubierać się modnie, a jego płaszcz z wielbłądziej wełny zawsze miał taką długość, jaką nakazywała najnowsza moda.

- A więc, jaki napis był na tej ciężarówce?

- KLINIK BERN...

Rozdział 6

Tucson, Arizona, 10 lutego 1984. 13 stopni Celsjusza.

Słońce schowało się już za górami i Tucson skąpane było w purpurowym blasku; zachodowi towarzyszył spadek temperatury.

Zwracając się do doktora Rosena, Newman wznioł toast; siedzieli w sali Tack Room, najbardziej chyba ekskluzywnej restauracji w całym stanie. Stoliki oświetlał migotliwy blask świec.

- Na zdrowie! - powiedział. - Widziałem się z Frankiem Chaseem, z Lindą Wayne też rozmawiałem. I nic. Ani cienia dowodu, że za wystaniem Jessea Kennedyego do Kliniki Berneńskiej coś się

kryje.

- Czy wiesz, że przewieziono go stąd bezpośrednio do Berna prywatnym odrzutowcem?

- O tym Linda nie mówiła...

- A słyszałeś o profesorze Armandzie Grangeu, wybitnym szwajcarskim specjalście?

- Nie. A powinienem?

- Dziwne, że Linda ci o nim nie wspomniała. Grange podróżował po Stanach z cyklem wykładów, chociaż, moim zdaniem, po prostu polował na pacjentów. A Linda od pierwszej chwili uznała go za swego guru.

- Guru? - powtórzył Newman, patrząc na Rosena. Twarz lekarza wyrażała uprzejmość, ale i przebiegłość. - Myślałem, że tym słowem określa się jakiegoś indyjskiego fakira, który obiecuje zbawienie pod warunkiem przestrzegania jego nauk...

- To prawda - potwierdził Rosen. - Grange pracuje nad przedłużaniem życia metodą odnowy komórek. Szwajcarzy praktykują to od lat. My jeszcze nie mamy do tego przekonania. Może jesteśmy staroświeccy. Naturalnie Grange znalazł w Stanach sporo zwolenników swojej teorii - samych bogaczy, oczywiście.

Newman odwrócił się nieco i uważnie przyjrzał swemu gościowi.

- Przykro mi, ale nie jestem pewien, czy rozumiem. Pan próbuje mi coś powiedzieć, prawda?

- Chyba tak.

Rosen pozwolił, żeby Newman dołął mu trunku. Z dala od Centrum Medycznego lekarz zdawał się pozbywać zahamowań.

Newman pomyślał, że wpłynęła na to relaksująca atmosfera restauracji.

- To, co mówię, może nie jest w stu procentach zgodne z etyką - ciągnął Rosen - może być nawet uważane za krytykę kolegi po fachu, ale przecież rozmawiamy o cudzoziemcu. Podejrzewam, że wszyscy pacjenci w klinice Grangea to bogacze, których spotkał w czasie swej podróży po Stanach. On oferuje od razu dwie marchewki

- jedną dla krewnych, drugą dla poważnie chorego pacjenta. -

Uśmiechnął się ponuro. - Wie pan co, Newman?

Chyba za dużo mówię...

- Słucham uważnie. Czasami dobrze jest zrzucić ciężar z piersi.

Newman patrzył na Rosena badawczo. Był to jeden z chwytów dziennikarza, dzięki któremu ludzie otwierali się przed nim i zwierali z rzeczy, o których nigdy nie powiedzieliby kolegom czy żonom - szczególnie żonom.

- Linda Wayne - kontynuował Rosen - chwyciła się Grangea jak tonący brzytwy. On był odpowiedzią na jej modlitwy -bardzo chciała wyekspediować Jessea gdzieś daleko, najdalej jak się da. Marchewka Grangea to właśnie uwolnienie rodziny od opieki nad najukochańszymi chorym krewnym. Drogo sobie za to liczy, ale, jak już wspominałem, zajmuje się wyłącznie bogaczami.

A ta druga marchewka, dla chorego, to właśnie odmłodzenie komórek, szansa na przedłużenie życia. Myślę, że wszystko razem to genialny pomysł.

- I ktoś taki jak Jesse Kennedy połakomił się na tę marchewkę?

- Trafił pan w samo sedno, i to mnie niepokoi. - Rosen sęczył przez moment swego drinka, a Newman przezornie nie odzywał się. - Gdyby Jesse miał białaczkę, to stawiłby czoło temu faktowi i w żaden sposób nie dałby się namówić na odnowę komórek. Wiedział pan, że wykonał kiedyś zadanie dla CIA?

Dziesięć lat temu nasi ludzie szkolili niemieckich pilotów w tajnej bazie lotniczej na pustyni. Z CIA przyjechał jakiś twardziel i miał współpracować z Jesseem. Nie pamiętam jego nazwiska. Linda kręciła się koło niego. No, teraz to naprawdę za dużo mówię...

- A co właściwie zrobił Jesse?

- Miał zwyczaj codziennie jeździć konno po pustyni. Ci z CIA dali mu aparat fotograficzny. Któregoś ranka sfotografował niemieckiego pilota, przekazującego jakąś kopertę nieznanemu w

samochodzie na międzystanowej autostradzie numer 10, która ciągnie się od Los Angeles aż na Florydę. Ów nieznajomy gonił potem Jessea z pistoletem w ręku... - Rosen uśmiechnął się, na jego twarzy malowała się nostalgia. - Głupio postąpił. Koń Jessea stratował go; nagle pojawił się agent z CIA i niemiecki pilot zniknął na zawsze. Agent zastrzelił tego obcego. Jesse opowiedział mi tę historię po wielu latach...

- Powiedział pan: "Gdyby Jesse miał białaczkę..." - Zwykle przejęzyczenie. Myśli pan, że ktoś taki jak Jesse ostatkiem sił powłókłby się do Szwajcarii, skoro kochał pustynię?

Człowiek, który zaczął od zera i wynegocjował z bankiem pożyczkę na sumę dwunastu milionów dolarów?

- Ale jak on tego dokonał?

- Miał intuicję. Należał do ludzi, którzy umieją przewidywać przyszłość jak z kryształowej kuli. Kiedy przed dwudziestoma laty przyjechał tu z Teksasu, wyczuł, że pewnego dnia Tucson się rozrośnie. Wykupił prawa do ziemi poza granicami miasta, a kiedy jej cena poszła w górę, wykorzystał to zabezpieczenie na kupno nowych gruntów. Potem kupował coraz więcej...

- A więc - podsumował Newman - po śmierci Jessea Linda dostaje osiem milionów dolarów, a Nancy cztery?

- Wszyscy znają treść jego testamentu - Jesse nie robił z niego żadnej tajemnicy. A gdyby coś przytrafiło się Nancy, wtedy Linda dziedziczy całe dwanaście milionów. Pewnie teraz pan rozumie, dlaczego ta sprawa mnie martwi - tu chodzi o wielkie pieniądze. - Rosen bawił się pustą szklaneczką. - Nie, dziękuję - powiedział. - Nie piję więcej niż dwie. Wie pan, Newman, pomyślałem, że pan jest właściwym człowiekiem do zbadania całej tej tajemniczej sprawy. Przecież to pan rozpracował Krugera w Niemczech - czytałem pańską książkę na ten temat. Chyba nieźle pan na niej zarobił...

- Nie cztery miliony - odparł krótko Newman - A, teraz rozumiem. Czułem, że nie może się pan zdecydować, by poślubić Nancy. Chodzi o pieniądze i przynajmniej, że dobrze to o panu

świadczy. Dalej uważam, że powinien pan pojechać do Berna...

- Mówi pan jak Nancy. Ona się przy tym upiera...

- Jeśli ktoś jej się sprzeciwia, tym bardziej chce postawić na swoim - uśmiechnął się Rosen. - A może już pan sam się o tym przekonał?

- Cóż, trochę się sprzeczailiśmy. O Jezu, niech pan zobaczy, kto przyszedł...

- To Harvey Wayne, mąż Lindy. Zajmuje się elektroniką, jak zresztą pewnie pan wie. Ten też chętnie zgarnia każdego dolara...

Rosen urwał, kiedy tłusty mężczyzna o ziemistej cerze podszedł do nich; miał chyba niewiele więcej niż czterdzieści lat. Ubrany był w kremową marynarkę i ciemne spodnie; na jego ustach gościł ten służalczy uśmieszek, którego Newman tak nie cierpiał. Położył rękę na ramieniu Anglika.

- Cześć, druhu! Doszły mnie słuchy, że ty i moja ładniutka szwagierka wybieracie się wkrótce do Berna. Pozdrów ode mnie tego starego bałwana, Jessea...

- Doszły cię słuchy o czym?

W głosie Newmana czuć było chłód. Odwrócił głowę i spojrzał na swe ramię, skąd Harvey niechętnie cofnął dłoń. Rozłożył przed Rosenem ręce w geście rezygnacji i wzruszył ramionami.

- Czy powiedziałem coś nie tak?

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - powtórzył Newman.

- Mam nadzieję, że nie zamęczasz doktora Rosena tak jak Franka Chasea. - Harvey spojrzał w stronę wejścia i znów się uśmiechnął. - Mamy towarzystwo. A ty okazję do otrzymania odpowiedzi z pierwszej ręki...

Linda w odstaniającej ramiona sukni i z wyzywającym uśmiechem wkroczyła na salę. Utkwiła wzrok w Newmanie i zmierzała wprost do jego stolika. Obok niej szła Nancy, kilka centymetrów niższa od siostry, ubrana w kremową bluzkę i ciemnoniebieską spódnicę. Wszystkie głowy zwróciły się w stronę tych dwóch kobiet.

Newman, z dość ponurym wyrazem twarzy, wstał z krzesła.

- Poszukajmy jakiegoś spokojnego miejsca - zwrócił się do Nancy. - Musimy porozmawiać, i to natychmiast...

W westybulu kłócili się przyciszonymi głosami, tak by recepcjonista nie mógł ich słyszeć. Newman zaczął całkiem ostrożnie.

- Jestem pewien, że ten lizus Harvey coś przekręcił. Powiedział mi właśnie, że wybieramy się do Berna...

- Mam już bilety, Bob. - Mówiąc to Nancy wyjęła dwa pakieciki i wręczyła je Newmanowi. - To najkrótsza trasa.

Najpierw American Airlines z Tucson do Dallas. Tam godzina przerwy. Potem ośmiogodzinny lot, też American Airlines, do Londynu. I ostatni skok, samolotem Dan - Air wprost na Belp. To lotnisko pod Bernem.

- Tak się składa, że słyszałem o Belp - odparł ze złudnym spokojem.

- Wylatujemy jutro...

- Widzę, co jest w bilecie...

- Ktoś musiał podjąć decyzję - oznajmiła z zadowoloną miną.

- A przed chwilą wydusiłam z Lindy, że Jesse nie leciał normalną trasą. Odwieziono go prywatnym odrzutowcem.

- I co z tego?

- Jesse nie szastał pieniędzmi. Gdyby rzeczywiście wyraził zgodę, by tam polecieć, to podróżowałby na wózku samolotem rejsowym, a nie wynajmował prywatny. Nie uważasz, że zrobiłam kawał dobrej roboty?

- Zrobiłabyś o wiele lepiej, do jasnej cholery, gdybyś przedtem skonsultowała to ze mną. Jak ci się wydaje, jak ja się czułem, kiedy ten twój wszawy szwagierek obwieścił mi taką nowinę w obecności Rosena?

- Naprawdę to zrobił? Linda musiała zadzwonić do niego do pracy. Został dłużej w biurze. A ona zaplanowała tu dla nas pożegnalną kolację.

- Mnie może nie brać pod uwagę.

- Robercie! Wszystko jest już załatwione - wybuchnęła.

-Jestem spakowana. A ty mówiłeś, że możesz się zebrać w dziesięć minut nawet przed podróżą do Tokio...

- Pod warunkiem, że będę chciał tam pojechać. Postuchaj, Nancy i nie przerywaj mi. Nie ma ani cienia dowodu, że coś jest nie w porządku z wywiezieniem Jessea do Kliniki. Rozmawiałem z doktorem Chaseem. I dwukrotnie z Rosenem. I gapiłem się na nogi Lindy, kiedy ona mówiła do mnie...

- Czy właśnie dlatego nie chcesz jechać? Żeby nie stracić ich z oczu?

- Zaczynasz być złośliwa. Nancy, nie możesz oczekiwać, że zatańczę, jak mi zagrasz. Takim postępowaniem nie można zbudować żadnego związku, a już na pewno nie małżeństwa.

- Do diabła, Bob...

- Słuchaj, Nancy, ta kłótnia ciągnie się właściwie już od trzech miesięcy, od dnia, kiedy się poznaliśmy w Londynie.

- Dzwoniłam wtedy do Jessea i dowiedziałam się od Lindy, że wywieziono go do Szwajcarii. Ja naprawdę mam przeczucie, że coś jest nie w porządku. Nie zapominaj, że jestem lekarką.

- A ja zagranicznym korespondentem, który musi mieć dowody. I do tej pory nie znalazłem nic, co usprawiedliwiłoby twój niepokój. A ty ni stąd, ni zowąd stawiasz mnie przed faktem dokonanym. Występujesz z propozycją nie do odrzucenia.

Mówiąc to pomachał biletami przed jej kształnym nosem. Nancy ujęła go za rękę. Wtuliła twarz w jego ramię, szepcząc mu do ucha:

- Bob, proszę, pojedź ze mną do Berna, żebyśmy mogła się uspokoić. Zrób to dla mnie.

- Tak już lepiej...

- Powinam była od tego zacząć. Masz rację, źle zrobiłam kupując bilety bez porozumienia z tobą. Przepraszam. Naprawdę.

Uwolnił z uścisku jedną dłoń i począł głaskać ją po karku.

Recepcjonista używał wszelkich możliwych chwytów, by sprawiać wrażenie, że niczego nie widzi. Nancy przytuliła się do Boba i mruzczyła zadowolona. Bob uwolnił drugą rękę, podniósł

głowę Nancy i pocałował ją namiętnie w usta.

- Nancy, muszę wrócić do Rosena i zadać mu jeszcze jedno pytanie. Przecież jutro lecimy do Berna...

Harvey Wayne właśnie odszedł i Newman usiadł na wprost Rosena. Lekarz spojrzął za oddalającym się Harveyem.

- Zamęczał mnie. Koniecznie chciał się dowiedzieć, o czym rozmawialiśmy. A jak tam sprzeczka?

- Tak, jak się spodziewałem. - Po chwili dodał już szorstkim, zdecydowanym tonem: - Czy wie pan, skąd pochodzi większość pacjentów Kliniki Berneńskiej?

- Odniosłem wrażenie - bo niestety nie wiem na pewno - że przeważnie ze Stanów. No i trochę z Ameryki Południowej - tam jeszcze niektórzy mogą sobie na coś takiego pozwolić. A jakie to ma znaczenie?

- To może być klucz do całej sprawy.

Rozdział 7

11 lutego 1984

Samolot DC10 leciał nad niewidocznym z wysokości trzydziestu pięciu tysięcy stóp Atlantykiem z prędkością pięciuset mil na godzinę. Zmierzał w kierunku północno - wschodnim, do Europy.

Siedzieli w kabinie pierwszej klasy - Nancy spała z głową wspartą na ramieniu Boba. Newman odsunął ją delikatnie, by mógł wstać z siedzenia. Nie obawiał się, że ją obudzi - jeśli Nancy już spała, to twardo jak kamień.

Wyjął z kieszonki notes i wypisał hasło wyraźnie drukowanymi literami, tak aby nie zaszła żadna pomyłka. Wstając przywołał stewardesę i położywszy palec na ustach wskazał Nancy. Potem ujął dziewczynę pod ramię i poprowadził w kierunku kabiny pilota.

Dopiero kiedy znaleźli się w kuchni, powiedział:

- Chciałbym, żeby natychmiast przekazano tę wiadomość do Londynu. Proszę zapytać o koszt, a ja tu zaczekam.

Nie upłynęła minuta, gdy atrakcyjna stewardesa zjawiła się z

powrotem. Uważnie przyjrzała się Newmanowi. Nie powinna spoufalać się z pasażerami, ale... Nie mogła się oprzeć jego błazeńskiemu, beztroskiemu sposobowi bycia. No i mieszkała w pobliżu lotniska. Był Anglikiem, a kobieta, z którą leciał, nie miała obrączki na palcu. Dziewczyna powinna przecież wykorzystać każdą okazję najlepiej jak potrafi, myślała. Podała mu cenę przekazania wiadomości - nie spieszył się z odliczaniem pieniędzy.

- Radiooperator już nadaje pańską wiadomość, panie Newman...

- Jest pani bardzo uprzejma.

- Mam dwa dni wolnego w Londynie...

- Da mi pani swój telefon?

- Nie powinnam...

- Ale da mi go pani...

Podał jej swój notes i długopis, a gdy zapisywała cyfry, włożył papierosa do ust. Dopisała jeszcze imię; czytając je do góry nogami, Newman zobaczył, że brzmiało "Susan". Wyjął z rąk dziewczyny notes i ledwie zdążył go schować, steward odsunął kotarę. Newman skłonił się.

- Dziękuję, że zechciała mi pani pomóc - powiedział na użytek stewarda, który nie wiadomo dlaczego zaczął czyścić okulary. - Kiedy wiadomość trafi do Londynu?

- W ciągu kilku minut, proszę pana...

- Jeszcze raz dziękuję.

Puścił do niej oko i odsunąwszy kotarę wrócił na miejsce.

Nancy już nie spała; przeciągała się, akcentując przy tym swój krągły biust. Przeniósł na nią pełne sympatii spojrzenie i usiadł.

- Ty świntuchu - powiedziała. - Rozgadałeś się z tą stewardesą.

Objęła go wścizzo i dodała:

- Nagle zaświtała mi myśl, że powinnam zatrzymać cię dla siebie póki czas. Niebezpiecznie puszczać cię samopas.

- O jakiej stewardesie mówisz?

- Tej ze wspaniałymi nogami, która wskazała nam miejsca, tej

samej, z której nie mogłeś spuścić oczu, i która ciebie pożerała wzrokiem. Dyskretnie, oczywiście.

- Nastąpiła zmiana planów - rzucił ni stąd, ni zowąd.

- Jaka?

- Lepiej wypij filiżankę kawy, żeby się dobrze rozbudzić.

Potem ci powiem.

Wezwał stewarda, który skończył już polerować okulary, i złożył zamówienie. Następnie usadowił się wygodnie i milczał, dopóki Nancy nie opróżniła filiżanki do połowy.

- Zrobiłam, co kazałeś. Powiedz teraz, co to za zmiana?

- Nie lecimy Dan - Air-em z Gatwick do Belp. Pojedziemy autobusem na lotnisko Heathrow i stamtąd liniami Swissair do Genewy. W ten sposób ukryjemy fakt, że w rzeczywistości wybieramy się do Berna.

- Bob! - wyprostowała się tak nagle, że prawie rozlała kawę.

- Strasznie poważnie to traktujesz. Więc naprawdę uważasz, że dzieje się tam coś dziwnego. Cicha woda z ciebie.

Czasem mi się wydaje, że nigdy cię do głębi nie poznam.

Zmieniłeś się...

- Jeśli już zajmujemy się tą sprawą, to musimy zrobić to profesjonalnie.

- To nie jest prawdziwy powód - sprzeciwiła się. - Rosen powiedział ci coś, co zmieniło twój pogląd na tę sprawę. Po jakiego diabła więc kłóciliśmy się wtedy w restauracji?

- Rosen nic mi nie powiedział. Po prostu zajmujemy się tym wedle moich zwyczajów. I będziesz miała rację, jeśli uznasz, że stawiam cię przed faktem dokonanym - odparł sucho.

- Akurat o to cię prosiłam - przyznała. - Tylko wciąż ci nie dowierzam. Ale może to jest nawet miłe.

Spojrzała na Newmana. Siedział wygodnie oparty, oczy miał zamknięte i najwyraźniej zaczynał drzemać - do tego zdolny był wszędzie i o każdej porze.

W kabinie pilota radiooperator zgniół kartkę z wiadomością Newmana - przed chwilą ją przekazał. Wydawała się zupełnie

niewinna, szybko więc o niej zapomniał. Była krótka, zwięzła i adresowana do firmy Riversdale Trust Ltd na numer skrzynki pocztowej w Londynie.

Z pokładu samolotu linii American Airlines... przylot na lotnisko Gatwick o.... dalej na lotnisko Heathrow na samolot Swissairu do Genewy, powtarzam, do Genewy. Newman.

Manfred Seidler walczył o życie. Stosował każdy chwyt, jaki tylko przyszedł mu do głowy, żeby zmylić tych, którzy ewentualnie mogli próbować go wysledzić. Posługując się fałszywymi dokumentami, wynajął samochód w agencji Hertza, tuż obok hotelu Bellevue Palace w Bernie.

Dojechał nim jedynie do Solothurn i tam go zwrócił. Na dworcu kolejowym wsiadł do pociągu jadącego do Bazylei. Jeśli mimo wszystko ktoś zdołałby dotrzeć za nim aż tutaj, to - przy odrobinie szczęścia - mógłby uznać, że zmierza teraz do Zurychu. Seidler podtrzymywał w sobie to złudzenie, kupując dwa bilety: jeden do Zurychu, drugi do Bazylei. Obu zakupów dokonał w odstępie dwóch minut i w różnych okienkach kasowych. Gdy ekspres wjeżdżał na dworzec główny w Bazylei, Seidler stał już przy drzwiach z walizką w ręku.

Z budki na ogromnym dworcu zadzwonił do Eryki Stahel.

Telefonując przyglądał się każdemu pasażerowi, który przechodził w pobliżu. Zdawał sobie sprawę, że jego nerwy są w nie najlepszym stanie, a w takiej sytuacji łatwo o błąd. Chryste! Czy ona nie ma zamiaru odebrać? W końcu, jakby w odpowiedzi na swe błaganie, usłyszał głos dziewczyny w słuchawce.

- Mówi Manfred...

- O, w kominie to zapisać! Życie wciąż przynosi jakieś niespodzianki.

Pomyślał z wściekłością, że w głosie Eryki nie było zadowolenia, a już na pewno ani cienia entuzjazmu. Z kobietami trzeba delikatnie.

Dołożył więc starań, by jego głos zabrzmiał miło, śmiało i stanowczo.

Gdy okaże najmniejszy ślad zdenerwowania, dziewczyna odmówi współpracy. Trochę wiedziała o tym, jak zarabia na życie.

- Potrzebuję miejsca, gdzie mógłbym odpocząć, odprężyć się.

- Naturalnie masz na myśli łóżko. r.

I. W jej dźwięcznym głosie kryła się nuta sarkazmu. Seidler zastanawiał się, czy aby nie jest teraz z jakimś mężczyzną. Nie dzwonił do niej już od kilku miesięcy, a teraz to by była katastrofa.

- Potrzebuję cię - powiedział. - Do towarzystwa. Nie chodzi mi o łóżko.

- Czy aby na pewno rozmawiam z Manfredem Seidlerem? - spytała nieco łagodniejszym tonem. - Skąd przyjechałeś?

- Z Zurychu - skłamał bez zająknięcia. i,- A gdzie teraz jesteś?

- Zmęczony i głodny w budce telefonicznej na Hauptbahnhof.

Nie musisz nic gotować. Pójdziemy do restauracji. Do najlepszej w mieście.

- Zakładałeś, że jestem w domu i czekam na twój telefon? r,

- Eryko - rzekł stanowczo - dzisiaj jest sobota. Przecież nie pracujesz w soboty. Po prostu miałem nadzieję...

- Lepiej już przyjeźdź, Manfredzie.

Eryka Stahel miała niewielkie mieszkanie na drugim piętrze niedaleko Munsterplatz. W padającym śniegu Seidler szedł z walizką w rękę, nie zwracając uwagi na dworcowe taksówki. Oczywiście mógł sobie na nie pozwolić, ale wiedział, że taksówkarze mają dobrą pamięć.

I bardzo często u nich szwajcarska policja najpierw szuka informacji.

Była dziesiąta rano, kiedy przycisnął dzwonek. Pomimo zniekształceń przez mikrofon, głos Eryki nic się nie zmienił i wyglądało tak, jakby na niego czekała.

- Kto tam?

- Manfred. Strasznie zmarzłem...

- Wejdz!

Rozległ się dźwięk brzęczyka, co znaczyło, że Eryka odblokowała frontowe drzwi, które Seidler pchnął, rozejrzawszy się uprzednio po ulicy. Ominął windę i wszedł po schodach. Gdyby ktoś oczekiwał go na górze, to jadąc windą wpakowałby się w potrzask. Stał się nadzwyczaj czujny, nerwy miał napięte do ostatnich granic, nikomu więc nie ufał.

Drzwi mieszkania Eryki były lekko uchylone. Seidler sięgnął, by je pchnąć, zastanawiając się przy tym, co zastanie po drugiej stronie.

Drzwi otwierały się do środka. Stała tam Eryka - nie dostrzegł na jej twarzy jakiegoś szczególnego wyrazu. Dziewczyna miała zaledwie metr sześćdziesiąt wzrostu, dwadzieścia osiem lat i była elegancką brunetką o wysokim czole i dużych, czarnych, pełnych powagi oczach.

- Wchodź prędko. Wyglądasz na zziębniętego i przestraszonego... no i głodnego. Śniadanie czeka na stole, dzbanek gorącej kawy też. Daj walizkę i bierz się za jedzenie...
- powiedziała spokojnym, rzeczowym tonem, zamykając drzwi i wyciągając rękę po bagaż.

Seidler uznał, że był dla niej zbyt szorstki, uśmiechnął się więc z ulgą. Znalazł schronienie!

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zostawię walizkę w sypialni. Zaraz będę taki jak zawsze...

- Wiesz, gdzie jest sypialnia. A przynajmniej już powinieneś.

Zachowywała się zwyczajnie, ale obserwowała go uważnie.

W sypialni Manfred zamknął za sobą drzwi, położył walizkę na jednym z dwu łóżek i rozejrzał się. Szukał jakiejś skrytki i na jej znalezienie miał zaledwie chwilę.

Przystawił krzesło do wysokiej szafy i przesunął po jej górnym blacie palcem. Był pokryty cienką warstwą kurzu, ale poza tym cały pokój był idealnie wysprzątny. Niskie kobiety rzadko ścierają kurz z wysokich szaf... Zszedł i otworzył walizkę.

Pod koszulami leżała ukryta mała dyplomatka. Podniósł jej

wieko i wyjął kilka kopert. Wszystkie zawierały pliki pieniędzy
-Seidler opróżnił swoje konto w Bernie w piątek, tuż przed
zamknięciem banku. W jednej z kopert znajdowało się dwadzieścia
pięć stufrankowych banknotów, które wyjął z portfela zmarłego
Franza Oswalda w Wiedniu. I; Ściskając koperty, wspiął się znów
na krzesło i rozłożył je równomiernie na szafie, najdalej jak
mógł od brzegu. Żeby jakoś wyjaśnić obecność dyplomatk, włożył
do niej dwie koszule. Zamknął walizkę i wsunął ją pod łóżko przy
oknie.

- Żarłoczny lokator spragniony jest gorącej kawy i twoich
wspaniałych rogalików - powiedział wesoło, wchodząc do wygodnego,
ładnie umeblowanego salonu, który służył również jako jadalnia.

- Nie do wiary! - Jej ciemne oczy szukały jego spojrzenia.

-Przeistoczyłeś się nagle w pogodnego, łagodnego, towarzyskiego
człowieka? Dość już tego szwendania się po ulicach, Manfredzie?

Eryka nałała mu filiżankę kawy. Wypił ją jednym łykiem,
choć niemal poparzył sobie gardło. Potem usiadł i pochłonął
trzy rogaliki podczas gdy dziewczyna mu się przyglądała.
Podobnie jak Seidler, nie miała już rodziców ani żadnych bliskich
krewnych. Ciężką pracą dorobiła się stanowiska osobistej
asystentki szefa banku.

Pochodziła ze skromnej rodziny i pewnie tylko w Szwajcarii
miała szansę wspiąć się tak wysoko jedynie dzięki własnej pracy i
pilności.

- Jest mi całkiem dobrze samej - zwierzyła się kiedyś
koleżance. - Mam dobrą pracę, którą lubię, i kochanka. - Miała
na myśli Manfreda, ale nie sprecyzowała o kogo chodzi. - Cóż
więcej mi potrzeba? Mogę się doskonale obejść bez domowych
obowiązków, chodzenia po supermarketach z wrzeszczącym
dzieciakiem przy boku i bez męża, który po trzech latach
małżeństwa zaczyna się oglądać za atrakcyjnymi sekretarkami w
swoim biurze. i

- Zadowolony jesteś, że nie musisz już węszyć się po
ulicach, Manfredzie? - powtórzyła.

- Wyrzyj za okno! Pada jak diabli. No i pracowałem ostatnio bardzo ciężko. Teraz mam ochotę zaszyć się w jakiejś norze, gdzie nikt mnie nie znajdzie. I gdzie nie będzie dzwonił telefon - dodał szybko.

Przynajmniej raz Seidler mówił prawdę. Postąpił bardzo sprytnie, wybierając Bazyleę na schronienie - stykały się tu granice trzech państw: Szwajcarii, Francji i Niemiec. Gdyby musiał nagle uciekać, wystarczyłoby na dworcu głównym wsiąść do pociągu. Następna stacja, oddalona o kilka minut jazdy, była już w Niemczech. Na tym samym dworcu mógł jedynie przejść przez barierkę na drugą stronę i już był na ziemi francuskiej. Tak, Bazylea to dobre miejsce, żeby się zastanowić nad kolejnym ruchem, albo poczekać na jakieś nowe wydarzenie. W życiu Manfreda Seidlera ciągle coś się działo.

No i była tu Eryka. Seidler, który większość czasu spędzał na robieniu pieniędzy, zajmując się nielegalną, niemal kryminalną działalnością, i który miał już na swym koncie morderstwo, cenił sobie fakt, że Eryka jest porządną dziewczyną. Dowartościowywało go przebywanie w jej towarzystwie. Nagle uświadomił sobie, że dziewczyna coś mówi i ocknął się z zadumy.

- Przepraszam, zamyśliłem się...

- Awansowałam, odkąd się ostatnio widzieliśmy...

- Jeszcze wyżej? Przecież byłaś asystentką dyrektora...

- Teraz jestem asystentką prezesa banku. - Pochyliła się nad stołem, a on wpatrywał się w kuszące wzniesienia pod kwiecistą bluzką. - Manfredzie - ciągnęła - czy ty - bo wiem, że obracasz się w różnych kręgach - czy obito ci się o uszy określenie terminal"?

"

Dobre samopoczucie Seidlera, które dał mu pełny żołądek, ciepłe mieszkanie (Eryka mogła sobie pozwolić na odpowiednie

ogrzanie domu) i bliskość dziewczyny, ulotniło się. Jedno słowo i cały koszmar wrócił. Z trudem starał się ukryć przerażenie.

- Być może - zaczął wymijająco - ale powiedz, gdzie je słyszałaś?

Zawahała się - ciekawość walczyła w niej z uczciwością i ta pierwsza wygrała. Wzięła głęboki oddech i ujęła jego rękę w swą małą dłoń.

- Weszłam z kawą na zebranie zarządu. Słyszałam, jak mój szef mówił do pozostałych: "Czy ktoś z was zdołał dowiedzieć się czegoś o sprawie terminalu, może chociaż, co znaczy samo określenie, czy też jest to po prostu kolejna plotka na temat Złotego Klubu?" - Złoty Klub? A co to jest?

- Cóż, oficjalnie nic takiego nie istnieje. Domyślam się, że to grupa bankierów, którzy mają jakieś wspólne poglądy na temat polityki państwa. Określa się ją mianem Złotego Klubu.

- I twój szef należy do tej grupy?

- Wprost przeciwnie. Nie zgadza się z ich poglądami, jakiegokolwiek one są. Złoty Klub ma swoją siedzibę w Zurychu.

- W Zurychu? Nie w Bernie? - dociekał.

- Na pewno w Zurychu.

- Jak nazywa się twój szef? - spytał obojętnie.

- Powiedziałałam już zbyt wiele na temat mojej pracy...

- I tak bez trudu mogę się tego dowiedzieć - zauważył.

- Wystarczy, że zadzwonię do ciebie do banku, a ty odpowiesz "Biuro pana..." Są też inne sposoby. Zresztą sama wiesz.

- Chyba masz rację - zgodziła się. - Poza tym to i tak nie ma znaczenia. Pracuję dla doktora Maxa Nagela. No więc jak, czy "terminal" to dworzec kolejowy? Bo oni tak obecnie myślą...

- I zgadli za pierwszym razem. Ale nic więcej nie wiem.

- Dworzec kolejowy, a nie lotnisko? - dopytywała się. - W Bazylei jest lotnisko.

- Na pewno nie ma to nic wspólnego z lotniskami - zapewnił.

Wstał i otarł usta serwetką. zaproponował, że sprzątnie ze stołu, ale potrząsnęła głową i podeszła do niego, zarzucając mu

ręce i na szyję. Całując ją, Manfred otoczył Erykę ramionami i sięgnął do guzików na plecach.

- Ten Złoty Klub - szepnął. - Czy ma jakiś związek ze złotymi sztabkami?

- Nie. Mówiłam ci. To tylko nazwa. Sam wiesz, jacy bogaci są bankierzy w Zurychu. Ta nazwa świetnie do nich pasuje.

Seidler odpiął dwa górne guziki i sięgnął pod bluzkę do zapięcia stanika. Przesunął dłoń w dół, lecz nie znalazł go. Rozpiął następne dwa i stwierdził, że Eryka nic nie ma pod bluzką. Najwyraźniej I., zdjęła bieliznę, kiedy on brnął w śniegu ze stacji.

Spędził w sypialni wspaniałe chwile, ale potem zaczął się zamartwiać tym, co usłyszał od Eryki. Czyżby decydując się na schronienie w Bazylei wybrał najgorsze miejsce na świecie? Czy wdepnął do jaskini lwa? Będzie musiał się ukrywać. No i czytać gazety, zwłaszcza te z Genewy, Berna i Zurychu, plus miejscowe.

Może w nich znajdzie coś, co wskaże mu drogę ucieczki od tego koszmaru.

Rozdział 8

Londyn, 13 lutego 1984. Minus 14 stopni Celsjusza.

W biurze Tweeda o dziesiątej rano panowała atmosfera pełnej przerażenia tajemniczości. Poza Tweedem w pokoju byli jeszcze:

Howard, który wrócił właśnie z weekendu na wsi, Monika, stara panna w średnim, ale trudno było poznać, w jakim dokładnie wieku, którą Tweed nazywał swą prawą ręką, i Mason, którego najwyraźniej zachcianka Tweeda sprowadziła nagle z Wiednia.

"Przedmiot", kupiony przez Masona od Franza Oswalda i przywieziony do Londynu, spoczywał teraz zamknięty u Tweeda w stalowej szafce na dokumenty. Nikt nie chciał zbyt długo się temu przyglądać.

Howard, ubrany w garnitur w drobną kratkę, w którym zwykle jeździł za miasto, szalał z wściekłości. Uważał, że Tweed

wykorzystał jego nieobecność, by puścić w ruch rozmaite niebezpieczne mechanizmy. Jakby tego było mało, Tweed wrócił właśnie z Downing Street, gdzie przez ponad godzinę rozmawiał sam na sam z panią premier.

- Poprosiłeś ją o ten dokument? - spytał zimno.

Tweed zerknął na napisany na papierze z nagłówkiem 10 DOWNING STREET list, który celowo położył na swoim biurku.

Dokument ten powierzał prowadzenie dochodzenia jemu osobiście.

Znajdował się w nim nawet kodycył, na mocy którego miał prawo bezzwłocznie spotkać się z panią premier w razie znaczącego rozwoju wypadków.

- Nie - odparł Tweed, stojąc wraz z innymi i polerując okulary podniszczoną jedwabną chusteczką. - To był jej pomysł.

Nie sprzeczałem się... naturalnie...

- Naturalnie - powtórzył Howard sarkastycznie. - Skoro więc zrobiłeś takie zamieszanie, jakie są twoje dalsze zamiary? i - W tej sprawie nie obejdziesz się bez pomocy z zewnątrz. - Tweed włożył okulary na nos i mrugnął w stronę Howarda. - Jak sam wiesz, brakuje nam obecnie ludzi. Trzeba szukać pomocy, gdzie się da.

- Jakieś nazwisko czy dwa uspokoiłoby mnie trochę...

- Nie jestem pewien, czy to mądre posunięcie. Człowiek, na którym można polegać, będzie współpracował tylko pod warunkiem nieujawniania jego tożsamości. Dopóki ja jestem jedyną osobą, która go zna, on wie kogo się czepiać, jeśli coś nie wyjdzie. A ja biorę na siebie pełną odpowiedzialność.

- A więc już kogoś wynająłeś - rzekł Howard z pretensją w głosie.

Tweed wzruszył ramionami i popatrzył na leżący na biurku list.

Howard chętnie by go teraz zabił. Tweed zwykle nie zachowywał się w taki sposób, ale gotów był na wszystko, by chronić swego informatora. Uznał jednak, że nieładnie zachował

się wobec Howarda, zwłaszcza że inni byli przy tym obecni.

- Mamy już jednego trupa - poinformował szefa. - W Wiedniu zamordowano jakiegoś mężczyznę. Mason będzie mógł powiedzieć coś więcej na ten temat.

- Boże Wszechmogący! - wykrzyknął Howard. - W co ty nas pakujesz?

- Czy mogę wyjaśnić tę sprawę, sir? - wtrącił Mason, który stał wyprostowany, pełen elegancji.

Uznał zdawkowe skinienie Howarda za przyzwolenie i zwięźle, ale szczegółowo, opisał spotkanie z Franzem Oswaldem. Szef słuchał w milczeniu, lecz jego ściągnięte usta wyrażały niezadowolenie oraz niepokój, a to uczucie akurat Tweed podzielał. Nie podobało mu się, że sytuacja rozwijała się w taki właśnie sposób.

- A czy przed śmiercią powiedział ci, jak wszedł w posiadanie tego przedmiotu?

Howard znów skinął, tym razem w kierunku zamkniętej szafki.

Słuchając Masona, uspokoił się nieco; nie lubił tego człowieka, lecz szanował go - odbyli podobną drogę do zajmowanego stanowiska.

Niestety, Mason podlegał Tweedowi. Podobnie zresztą jak ta cholerna stara panna, Monika, która nie odezwała się dotąd ani słowem. Howard wiedział jednak, że potrafi powtórzyć później całą rozmowę słowo w słowo.

- Nie, sir, nie powiedział mi tego - odrzekł Mason. - Pytałem go, ale zdecydowanie odmówił wdawania się w szczegóły. Mam jednak zdjęcie człowieka, który wsiadł na pokład samolotu w Schwechat - ten mój nowy aparat jest niezrównany i zawsze mam go przy sobie. Fotografowałem z dużej odległości, przez teleobiektyw, ale wyszło całkiem niezłe.

- Pokaż. Masz je przy sobie?

Mason zerknął na Tweeda, co ponownie rozwścieczyło Howarda.

Policjant skinął przyzwalająco, choć wolałby, żeby Mason nie prosił o pozwolenie. Dobrze jednak, że zachowywał zdwojoną

ostrożność w tej sprawie. Tweed popatrzył na Howarda przyglądającego się fotografii.

- Domyślasz się, kto to jest? - dopytywał się Howard.

- Gdzie widziałem tę twarz - odparł Tweed. - Przypomnę sobie...

- Niech sprawdzą w archiwum - zasugerował Howard. -Posłuchaj teraz, Mason, podam ci pewne słowo i chcę, żebyś bez namysłu powiedział, z czym ci się kojarzy. Pierwsze co przyjdzie ci do głowy. Nie zastanawiaj się. Gotów? Terminal...

- Obwód elektryczny - rzucił Mason.

- Ciekawe. - Howard zwrócił się do Tweeda. - Szwajcarzy przestawiają obecnie całą gospodarkę na korzystanie z prądu, żeby uniezależnić się od dostaw ropy. Nowe budynki są już ogrzewane energią elektryczną. Wiedziałeś o tym?

- Tak. Być może trafnie to skojarzyłeś... - przyznał.

- Możliwe, że chodzi tu o jakiś sabotaż na wielką skalę?

-zapalił się Noward. - Wróg czeka tylko na odpowiednią chwilę, żeby uderzyć w najbardziej neralgiczne punkty szwajcarskiego systemu dostarczania energii.

- Całkiem możliwe. Ale na pewno będziemy wiedzieć, kiedy zbadamy sytuację w Szwajcarii. Muszę wysłać tam kogoś, kogo nie zna ani szwajcarska policja, ani wywiad wojskowy. Mason świetnie się do tego nadaje. Ambasador zgodził się przyspieszyć mu urlop -trzy tygodnie...

- Dobry pomysł - zgodził się Howard.

Poczuł się trochę lepiej, bo wniósł swój wkład w sprawę. Uznał, że czas okazać odrobinę dobrej woli. Skinął więc w kierunku listu ! na biurku Tweeda.

- Z jej poparciem dysponujemy nieograniczonymi środkami -dodał. - Jednak ta sprawa bardzo mnie martwi. Kto by pomyślał, że Szwajcarzy mogą się wpakować w jakąś międzynarodową aferę?

Tak, Mason, o co chodzi?

- Proszę o pozwolenie udania się na śniadanie, jeżeli już nie jestem panu potrzebny. Jedzenie, jakie serwują linie

lotnicze, powoduje u mnie rozstrój żołądka. Od wczoraj wieczorem nic nie miałem w ustach.

- No to leć coś zjeść! - odparł Howard ochoczo, wciąż zachowując dobry humor. - Chyba że Tweed jeszcze ma coś do ciebie.

- Załatwię ci lot do Zurychu - zwrócił się Tweed do Masona.
- Stamtąd pojedziesz pociągiem do Berna - to zaledwie półtorej godziny jazdy. Ale najpierw zjedz śniadanie. I dziękuję, Mason. Nie jestem jeszcze pewien, co to za sprawa, na którą się i natknąłeś, ale to coś bardzo znaczącego. Czuję to w moich schorowanych kościach...

- Howard jest przysłowiowym wrzodem - powiedziała Monika, gdy została sama z Tweedem. - To w górę, to w dół, jak cholerne jo-jo...

- To przez jego żonę, Ewę - stwierdził Tweed, rozpierając się na fotelu. - Spotkałem ją tylko raz. Jest bardzo wyniosła, arystokratyczna. I robiła wszystko, co w jej mocy, żebym czuł się źle w jej towarzystwie...

- Bo się ciebie boi - podsumowała trafnie Monika.

- Ależ to idiotyczne - sprzeciwił się Tweed.

- Ona jest bardzo ambitna i kieruje Howardem. Gdy się dowie, że dostałeś carte blanche, wścieknie się. Znam ten typ. No i w dodatku ma pieniądze - odziedziczyła mnóstwo udziałów w ICI. Coś takiego daje kobiecie poczucie władzy.

- Biedny Howard - powiedział Tweed ze szczerym współczuciem.

Popatrzył na Monikę, kobietę łagodną z natury, której głęboka lojalność czasem go martwiła. W innych okolicznościach może zastanowiłby się nad poślubieniem jej, ale w obecnej sytuacji było to naturalnie niemożliwe.

- Jestem umówiony - rzekł wstając. - Będę jak wróczę...

- Nie zostawisz żadnego kontaktu? - spytała złośliwie.

- Tym razem nie.

Zatrzymał się przy drzwiach. Monika pamiętała, żeby nie podawać mu płaszcz. Tweed nie cierpiał nadszkakiwania.

- Moniko, gdy Mason wróci, poproś, żeby na mnie zaczekał.

Powiedz mu, że jednym z zadań będzie zebranie materiałów na temat profesora Armanda Grangea, szefa Kliniki Berneńskiej...

Lee Foley szedł wzdłuż Piccadilly z rękoma w kieszeniach wełnianego płaszcza. Twarz miał ściągniętą i bladą. O Chryste, ależ pogoda w tym Londynie - przenikający, wilgotny ziąb. Nic dziwnego, że kiedyś Brytyjczycy podbili świat. Jeśli ktoś potrafił żyć w takim klimacie, to mógł też znieść każdy inny w jakimkolwiek zakątku ziemi.

Foley spojrzął na zegarek. Czas miał zasadnicze znaczenie - jego kontakt miał czekać pod wskazanym numerem. Obojętnym wzrokiem rozejrzał się dokoła, zanim zszedł do stacji metra Piccadilly. Nie widział powodu, żeby ktoś miał go śledzić, ale to była właściwa chwila, żeby się o tym upewnić.

Stojąc już w budce telefonicznej sprawdził ponownie czas, odczekał, aż zegarek wskaże dokładnie jedenastą, po czym wykręcił londyński numer; gdy usłyszał sygnał wybierania, wcisnął dziesięciopensową monetę. Po chwili w słuchawce rozległ się znajomy głos.

Przedstawił się, a potem słuchał jakiś czas.

- Pozwól, że teraz ja będę mówił - przerwał. - Zdążę jeszcze na ranny samolot do Genewy. Zatrzymam się w hotelu des Bergues.

W odpowiednim czasie pojedę do Berna. Zarezerwuję tam pokój w hotelu Savoy niedaleko dworca kolejowego; numer telefonu znajdziesz w książce. Będziemy w ciągłym kontakcie. Informuj mnie o wszystkim. Rozłączam się...

Była 12.30, kiedy Tweed wrócił do swego gabinetu. Powiesił płaszcz na kołku i usadowił się za biurkiem. Monika przeglądająca wraz z Masonem jakieś dokumenty zmarszczyła brwi. Szef powinien był powiesić płaszcz na wieszaku - nic dziwnego, że zawsze jest taki wymięty. Przewornie jednak powstrzymała się od przewieszenia płaszcza. Tweeda nie było ponad dwie godziny.

- Zarezerwowałam Masonowi miejsce na lot Swissairu numer SR 805. Odlot z Heathrow o 14.45. W Zurychu będzie o 17.20 czasu

miejscowego...

- Zdąży bez trudu - zgodził się Tweed. Na jego twarzy malowało się roztargnienie. - A co wy tam robicie?

- Przejrzeliśmy setki zdjęć. I znaleźliśmy tego faceta, którego Mason widział wsiadającego do samolotu na lotnisku Schwechat.

To Manfred Seidler.

- Jesteś pewien?

- Zdecydowanie - potwierdził Mason. - Popatrz sam.

Podał Tweedowi zdjęcie, które sam zrobił, a które ludzie z sekcji fotograficznej wywołali w podziemiach budynku przy Park Crescent.

Monika popchnęła w stronę szefa teczkę Seidlera otwartą na trzeciej stronie, gdzie przyklejona była jego fotografia.

- Biedny stary Manfred - mruknął Tweed pod nosem. - Wygląda na to, że tym razem wpakował się w coś, co przerasta jego siły.

- Znasz go? - spytał Mason.

- Znałem. Spotkałem go na kontynencie. Jest, jak nazywaliśmy to kiedyś, obwodowym...

- Ma to coś wspólnego z obwodem elektrycznym? - wtrąciła Monika. - Pamiętasz, jak Howard zapytał Masona, z czym mu się l., Kojarzy Terminal?

Tweed popatrzył na nią przez szkła okularów. Monika dostrzegła, że w tym określeniu kryje się pułapka; sam nigdy by na to nie wpadł. Zastanowił się przez moment.

- Może być w tym jakieś powiązanie - przyznał w końcu. -i Ale nie jestem pewien. Seidler zawsze kolekcjonował, lecz i sprzedawał drobiazgi, których inni nie traktowali poważnie. Czasem wcale nie były to takie znowu błahostki. Ma rozległą sieć kontaktów i z tego żyje. Od czasu do czasu trafia na coś naprawdę znaczącego.

Nie mam pojęcia, gdzie jest teraz. Mógłbyś się tego dowiedzieć, Mason.

- Wygląda na to, że będę zajęty. Poszukiwanie Manfreda

Seidlera, zbieranie informacji o tym profesorze Grangeu. Tutaj nic o nim nie ma.

- Komputer nie znalazł go w swych rejestrach - dodała

Monika.

- Komputer? - Przez moment Tweed miał dziwny wyraz twarzy.

Zaraz jednak się rozluźnił. - Mason, gdy tylko wyjdiesz z tego budynku, masz pilnować swoich tyłów. A zwłaszcza po dotarciu do Szwajcarii.

- Masz coś konkretnego na myśli?

- Jednego człowieka już zamordowano - Franza Oswalda.

Ludzie gotowi są zabijać z powodu tego, co mam zamknięte w szafce... - Spojrzał na Monikę. - A może zabrał to już kurier z Ministerstwa Obrony?

- Jeszcze nie.

- Oni chyba są niespełna rozumu. - Tweed bębnił po biurku swymi grubymi palcami. - Im szybciej przebadają to ich eksperci...

- Charlton jest bardzo ostrożny - przypomniała Monika. -Ma bzika na punkcie bezpieczeństwa. Założę się, że przyśle kuriera dopiero po zmroku.

- Pewnie masz rację. Nie ruszę się z biura, dopóki się tego nie pozbędziemy. Poza tym, Mason - podjął wątek - mamy niewiadomą w postaci władz szwajcarskich - policji federalnej i wywiadu wojskowego - trudno przewidzieć, jak się ustosunkują. Mogą być wrogo nastawieni...

- A po cóż by mieli być, na Boga? - sprzeciwiła się Monika.

- Martwi mnie ten prywatny odrzutowiec, który Mason widział na Schwechat. Samolot miał wymalowaną szwajcarską flagę, biały krzyż na czerwonym tle. Pamiętaj Mason, nikomu nie ufaj. I jeszcze jedno. Zarezerwowaliśmy ci pokój w hotelu Bellevue Palace w Bernie.

Mason gwizdnął.

- Nieźle. Zostałem uznany za VIP - a. Howard będzie wściekły, jak się dowie...

- Ten hotel ma dobrą lokalizację - rzucił Tweed. - Być może dołączę do ciebie później.

Monice z trudem przychodziło zachowanie obojętnego wyrazu twarzy. Wiedziała, że Tweed ma już rezerwację w Bellevue Palace aktualną za kilka dni; sama ją zrobiła. Tweed, zawsze tajemniczy, tym razem kamuflował wszystko bardziej niż kiedykolwiek. Nawet agentowi nie zdradził swych planów. Na miłość boską, chyba nie podejrzewał Masona?

- Co to znaczy, że ma dobrą lokalizację? - zainteresował się Mason.

- Leży w samym centrum - odparł krótko Tweed, ucinając rozmowę na ten temat. - A więc przystępujemy do działania -ciągnął patrząc gdzieś daleko przed siebie. - Do rozwiązania tej zagadki. Bardzo chciałbym wiedzieć jedną rzecz - gdzie jest teraz Manfred Seidler?

Bazylea, 13 lutego 1984. Minus 17 stopni Celsjusza.

Seidler wciąż czuł się zaszczytny. Cały weekend spędził w mieszkaniu Eryki Stahel i zaczynał już mieć wrażenie, że ściany zbliżają się do siebie i zgniotą go. Usłyszał, jak ktoś wkłada klucz do zamka i sięgnął po dziewięć milimetrowego lugera, którego ukrył przed Eryką.

Dziewczyna weszła z torbą artykułów spożywczych w rękę, ale nie zobaczyła lugera, bo Manfred schował go pod poduszką. Nogą zamknęła za sobą drzwi i popatrzyła na leżące na stole gazety.

Z samego rana podreptała do kiosku i przyniosła je Manfredowi.

Teraz przybiegła z biura, żeby mu coś ugotować; miała tylko godzinę przerwy na lunch.

- Jest coś w gazetach? - krzyknęła z maleńkiej kuchni.

- Nic. Na razie. Nie musisz dla mnie gotować...

- To nie zabierze mi wiele czasu, a jedząc możemy porozmawiać.

Seidler rzucił okiem na leżące na stole gazety. "Berner Zeitung", najważniejszy dziennik zuryski, "Journal de Geneve" i miejscowa prasa. Podniósł jedną z nich - pod spodem leżała walizeczka. Już podjął decyzję.

Od wczesnej młodości Seidler zajmował się nieczystymi sprawkami, zawsze w celu zarobienia pieniędzy. Wychowała go ciotka Jil.. W Wiedniu, bo matkę zabili mu Rosjanie, a ojciec zginął na froncie wschodnim. Od tamtego czasu tułał się po świecie. A teraz, kiedy i(.,;Już miał pieniądze, kiedy chętnie by się ustatkował, machina, w którą się zaplątał, zaczynała działać przeciwko niemu i musiał się przed nią kryć. Bardzo lubił Erykę - była taką dobrą dziewczyną. Sprzątnął stół i w czasie lunchu słuchał jej pełnej ożywienia paplaniny.

Dopiero przy kawie poruszył interesujący go temat.

- Eryko, gdyby coś mi się stało, chciałbym, żebyś to miała...

Mówiąc to otworzył walizeczkę, w której leżały równiutko ułożone paczki szwajcarskich banknotów. Na jej twarzy, zawsze lekko zaróżowionej, jak to Seidler widywał u kobiet w ciąży, pojawiło się zakłopotanie. Wstała. Swymi zręcznymi palcami przetasowała kilka paczek i odłożyła je na miejsce. Uważnie wpatrywała się w Manfreda.

- Manfredzie, tu jest jakieś pół miliona franków...

- Prawie zgadłaś. Weź je i zdeponuj w banku, ale nie w tym, w którym pracujesz. I pojedź taksówką. Nie chodź z tym po ulicach, nawet tu, w Bazylei...

- Nie mogę tego przyjąć. - Ujęła jego dłoń i Seidler zobaczył, że jest bliska łez. - Nie obchodzą mnie pieniądze, tylko ty.

- Więc zdeponuj je dla nas. Ale na swoje nazwisko. Pod żadnym pozorem nie podawaj mojego - ostrzegł.

- Manfredzie... - Usiadła mu na kolanach. - Kogo się

obawiasz? Ukradłeś te pieniądze?

- Nie! - Za wszelką cenę chciał ją o tym przekonać.

- Zapłacili mi za wykonaną pracę. Ale teraz już nie jestem potrzebny.

Być może widzą we mnie zagrożenie, bo za dużo wiem. Nie mogę długo tu zostać...

- Zostań, ile tylko zechcesz. Kim są ci ludzie?

- Chodzi zwłaszcza o jednego. Ma ogromną władzę. I potrafi wykorzystać nawet policję do osiągnięcia swego celu.

- Szwajcarską policję? - spytała niedowierzająco. - Jesteś zmęczony i wyczerpany. Chyba przeceniasz władzę tego kogoś. Ale jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej, to zdeponuję te pieniądze - pod warunkiem, że ty zachowasz klucz.

- W porządku. - Wiedział, że inaczej Eryka nie zrobi tego, o co ją prosił. Później znajdą w mieszkaniu jakąś skrytkę na klucz.

- Lepiej się pośpiesz. Spóźnisz się do pracy - dodał.

Tuliła go tak, jakby nie chciała pozwolić mu odejść. Seidler sam niemal miał łzy w oczach. Była przyzwoitą, miłą dziewczyną.

Szkoda, że nie spotkał jej kilka lat wcześniej...

Siedząc w pokoju hotelu Penta, usytuowanego w pobliżu lotniska Heathrow, Newman ponownie spojrzął na zegarek. Nancy wyszła sama już całe wieki temu - wiedziała, że Bob nienawidzi biegania po sklepach. Wciąż mieli jeszcze sporo czasu do odlotu - samolot szwajcarskich linii Swissair do Genewy, rejs SR 837, startował o siódmej wieczorem, a lądował o dziewiątej trzydzieści czasu miejscowego. W końcu drzwi się otworzyły i Nancy weszła akurat w chwili, gdy Newman patrzył na zegarek.

- Nie było mnie wieki, wiem - powiedziała wesoło. - Bałeś się, że nie zdążymy na samolot? Jak myślisz, dobrze się bawiłam...?

- Wykupiłaś chyba połowę towaru w Fortnumie...

- Prawie. To wspaniały sklep... no i wysyłają zakupy, gdzie tylko się zechce. - Wieszając kożuch w szafie, popatrzyła na niego nieśmiało. - Nie zamierzam pokazywać ci rachunków. O Boże,

uwielbiam Londyn...

- Dlaczegoż więc nie możemy tu zamieszkać?

- Nie zaczynaj, Robercie. O, ty też gdzieś wychodziłeś. Twój płaszcz wisi w innym miejscu...

- Chciałem zaczerpnąć świeżego powietrza, ale pachniało benzyną. Widzę, że z ciebie urodzony detektyw.

- Lekarze muszą być spostrzegawczy, kochanie. - Popatrzyła na łóżko. - Zjemy teraz czy później?

- Później. Mamy jeszcze coś do załatwienia. - Mówiąc to objął ją w tali. - Potem wypijemy jakiegoś drinka. Kolację zjemy w samolocie. Swissair serwuje niezłe posiłki.

Siedzący na pokładzie popołudniowego samolotu Lee Foley patrzył za okno, jak maszyna przebija się przez chmury nad Londynem i wznosi w zalaną słońcem przestrzeń. Miał miejsce w tylnej części kabiny pierwszej klasy.

Foley specjalnie zarezerwował to miejsce, bo pozwalało obserwować pozostałych pasażerów. W przeciwieństwie do nich odmówił zjedzenia, a nawet wypicia czegokolwiek, kiedy steward pojawił się, by przyjąć zamówienie.

- Nic nie chcę - rzucił szorstko.

- Mamy bardzo dobre jedzenie; proszę spojrzeć w menu, sir.

- Niech pan zabiera menu i schowa swoje jedzenie...

- To może coś do picia, sir?

- Powiedziałem, że nic nie chcę.

Słońce jeszcze świeciło, gdy samolot zaczął obniżać lot nad górami Jura, kierując się w stronę lotniska Cointrin. Przechylił się na bok przy zmianie kąta lotu, a Foley, przyglądając się górom, zauważył, że wciśnięte między szczyty jezioro Lac de Joux jest zamarznęte. A przynajmniej tak przypuszczał, bo podobnie jak góry, pokrywał je śniegowy całun. Opuścił samolot jako pierwszy, niosąc w ręku torbę stanowiącą cały bagaż.

Foley nigdy nie zabierał z sobą dużo rzeczy. Gdyby czekał, aż na transporterze pojawi się jego walizka, ewentualny obserwator mógłby go bez trudu zlokalizować. Zawsze uważał

lotniska za niebezpieczne miejsca. Podał paszport szwajcarskiemu urzędnikowi siedzącemu w szklanej kabinie i patrzącemu na niego kątem oka.

Po chwili otrzymał dokument z powrotem i, jak mu się wydawało, jego osoba nie wzbudziła zainteresowania.

Przez zielony korytarz wyszedł na teren hali przylotów. Wyrazny napis wskazywał drogę do postoju taksówek, ale Foley automatycznie skręcił w prawo. Dobrze znał to lotnisko.

Kiedy wysiadał z samolotu, uderzyło go w twarz zimne, ostre jak nóż powietrze. Wyszedł z budynku lotniska i skierował się do pierwszej z brzegu taksówki. Dopiero gdy usiadł wygodnie na tylnym siedzeniu i drzwi były już zamknięte, powiedział kierowcy, dokąd chce jechać.

- Do hotelu des Bergues...

Foley nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo uzasadnione są jego obawy co do lotnisk, gdy szybkim krokiem, nie rozglądając się, przemierzał halę przylotów. Wiedział, że oglądanie się za siebie zwykle zwraca uwagę, zdradza zdenerwowanie. Dlatego też nie widział małego, podobnego do Karła mężczyzny, który stał skulony pod ścianą z nie zapalonym papierosem w zaciśniętych ustach.

Na widok Foleya Julius Nagy wyprostował się na moment, wyjął zapalki i udawał, że zapala papierosa. Nie zrobił tego jednak, bo nie był palaczem. W jego maleńkich ptasich oczkach pojawił się błysk zadowolenia, gdy patrzył na znikającą za automatycznymi drzwiami sylwetkę Amerykanina. Wkrótce pospieszył do najbliższej budki telefonicznej i zamknął za sobą drzwi.

Nagy, który uciekł z Węgier w 1956 roku, kiedy wkroczyły tam wojska sowieckie, miał obecnie pięćdziesiąt dwa lata. Nosił głęboko naciągnięty tyrolski kapelusz, spod którego wystawały ciemne, przetłuszczone kosmyki włosów. Skórę miał pomarszczoną niczym łupina orzecha, a czubek jego długiego nosa wyglądał jakby go ktoś ścisnął.

Nagy wykręcił numer nie zaglądając do notesu. Miał

fenomenalną pamięć do trzech rzeczy: ludzkich twarzy, nazwisk i telefonów.

Gdy tylko zgłosiła się centrala głównej kwatery policji, Nagy przedstawił się i poprosił o natychmiastowe połączenie z nadinspektorem Tripetem. Zapytany odparł, że owszem, Tripet dobrze go zna, a sprawa jest pilna.

- Tripet przy telefonie. Kto mówi? - odezwał się ostrożny, spokojny głos. Człowiek mówił po francusku.

Oczywiście wyobraźni Nagy widział inspektora siedzącego w swoim biurze na drugim piętrze siedmiopiętrowego budynku Surete, mieszczącego się na wprost Biblioteki Publicznej przy 24 Boulevard Carl - Vogt tuż przy Starym Mieście.

- Tu Nagy. Nie powiedzieli panu, że to ja?

- Imię?

- Na miłość boską! Julius. Julius Nagy. Mam informację.

Warta jest sto franków...

- Być może...

- Przed chwilą widziałem na Cointrin kogoś, kto przyleciał z Londynu. Chcę sto franków albo zapominam o tym facecie...

- A ktoś jest taki kosztowny? - spytał Tripet znudzonym głosem.

- Lee Foley z CIA...

- Spotkamy się tam, gdzie zwykle. Dokładnie za godzinę.

O osiemnastej. Chcę z tobą porozmawiać i widzieć twoją twarz, kiedy będziesz mówił. Jeśli kłamiesz, to skreślam cię z listy płac na zawsze.

Nagy usłyszał trzask i zrozumiał, że Tripet przerwał połączenie.

Czuł się zdezorientowany. Czyżby zażądał zbyt mało? Czy ta informacja miała wagę złota? Z drugiej strony wydawało mu się, że I.!

Tripet był z niego niezadowolony. Nagy wzruszył ramionami, wyszedł z budki i dostrzegł, że autobus do centrum rusza, rzucił się więc biegiem w jego stronę.

Tymczasem w budynku Surete mężczyzna o surowym wyglądzie i pociągłej twarzy, który zbliżał się już do czterdziestki i szybko wspinał po szczebelkach kariery w wybranej przez siebie profesji, dzwonił do Berna, mając nadzieję, że udało mu się zmylić Nagyego.

- Proszę z Arturem Beckiem, asystentem szefa policji federalnej - zwrócił się szorstko do telefonistki przy Taubenthalde. - Mówi nadinspektor Tripet z Surete, Genewa.

- Chwileczkę, sir...

Beck, którego biuro mieściło się na dziesiątym piętrze, odebrał telefon zaraz po odprawieniu swej sekretarki, pięćdziesięcioletniej starej panny przypominającej nieco Monikę. Sadowiąc się wygodnie w fotelu, Beck odezwał się pełnym spokojem i uprzejmości głosem.

- Cześć, Leon, co słychać w Genewie? Pada śnieg?

- Niezupełnie. Prosiłeś, Arturze, żebym dał ci znać, gdyby pojawili się w moim rewirze jacyś ciekawi goście. Czy agent CIA, Lee Foley, zalicza się do takich?

- Owszem. - Beck nieco mocniej ścisnął słuchawkę. - A co z nim? - spytał sięgając po długopis i notatnik.

- Możliwe, że właśnie przyleciał z Londynu. Otrzymałem wiadomość z Cointrin...

- Od kogo? - Długopis zawisł w powietrzu.

- To trzeciorzędny informator, nazywamy go Kundel albo Pasożyt. Dla paru franków gotów jest grzebać w każdym świństwie.

Ale można na nim polegać. Jeśli interesuje cię Foley, to wiedz, że mam zaraz spotkanie z Julusem Nagym - Kundlem. Czy mógłbyś podać mi rysopis Foleya, żebym mógł sprawdzić Nagyego?

- Foleya trudno nie zauważyć... - Beck z pamięci podał szczegółową charakterystykę Foleya łącznie z tym, że agent mówił głębokim, szorstkim głosem. - To powinno chyba wystarczyć, co, Leon? Świetnie. Zadzwoń po spotkaniu z Kundlem. Będę czekał w biurze.

Tripet szybko skończył rozmowę, co Beck, który nie cierpiał marnujących czas ludzi, potrafił docenić. Potem usiadł wygodnie i

bawiąc się ołówkiem, zaczął się zastanawiać.

A więc, zgodnie z jego oczekiwaniami, zaczęli się zjeżdżać.

Kryzys zbliżał się coraz bardziej. Beck podejrzewał, że inni są już w drodze. Doniesiono mu o pogłoskach krążących w różnych ambasadach.

W maju Beck skończy czterdzieści lat. Był niskim, krępy męczyzną z gęstą brązową czupryną i małymi wąsikami. W jego szarych oczach czaiła się iskierka świadcząca o poczuciu humoru;

I i, cecha ta niejednokrotnie w sytuacjach kryzysowych ratowała jego zdrowie psychiczne. Uświadomił sobie, że nigdy jeszcze stres nie był tak silny, jak obecnie. Dzięki Bogu, że szef upoważnił go do samodzielnego podejmowania takich działań, jakie uzna za słuszne.

Jeśli to, co podejrzewa, okaże się prawdą, a jako katolik modlił się, aby tak nie było, będzie tego upoważnienia potrzebował. Gdy uświadamiał sobie, do czego może dojść, krzywił się z bólu. Lecz Beck był typem samotnika. Powiedział sobie, że jeśli będzie trzeba, to zmierzy się z całą tą cholerną organizacją. Nie pozwoli, żeby Operacja Terminal pokonała go.

Czekając na telefon od Tripeta, otworzył szufladę i wyjął z niej teczkę z naklejką ŚCIŚLE TAJNE. Spojrzał na pierwszą stronę dokumentów opatrzoną nagłówkiem: SPRAWA HANNY STUART, OBYWATELKI AMERYKAŃSKIEJ. KLINIKA BERNEŃSKA.

Rozdział 9

Genewa, 13 lutego 1984. Minus 18 stopni Celsjusza.

Ponownie objąwszy "dyżur" na Cointrin, Julius Nagy nie wierzył własnym oczom. Miał wyjątkowo szczęśliwy dzień. Po spotkaniu z nadinspektorem Tripetem, który zadawał mnóstwo pytań

na temat wyglądu Lee Foleya i który był na tyle zadowolony z usłyszanych odpowiedzi, że zapłacił za nie sto franków, Julius Nagy wrócił na lotnisko, mimo iż było straszliwie zimno.

Kiedy na sali pojawili się pasażerowie rejsu SR 837, także z Londynu, Nagy dostrzegł wśród nich znaną twarz. Robert Newman z jakąś kobietą. Tym razem Nagy poszedł za swoją ofiarą. Stał tuż za Anglikiem, gdy ten instruował taksówkarza, gdzie ma ich zawieźć.

- Do hotelu des Bergues - powiedział Newman po francusku.

Nagy postanowił zainwestować jakieś dwadzieścia franków z otrzymanej od Tripeta setki w sprawdzenie rzeczywistego celu podróży Newmana. Ci zagraniczni korespondenci lubią bawić się w podstępny. Wcale by się nie dziwił, gdyby zaraz po oddaleniu się od lotniska Newman zmienił kurs. Wzywając taksówkę, Nagy zerknął przez ramię i zobaczył, że Newman, który już miał wsiąść na tylne siedzenie samochodu, przygląda się mu. Zaklął w duchu i wskoczył do taksówki.

- Proszę jechać za moim kolegą w tamtym samochodzie - polecił kierowcy.

- W porządku...

Taksówkarz wykazał sporą dozę dyskrecji, dbał bowiem, żeby od śledzonej taksówki dzielił go jeden samochód. Podróż zajęła im dziesięć minut, łącznie z okrążeniem hotelu, co było konieczne, by jednokierunkową drogą dotrzeć przed główne wejście.

,

,

Nagy zobaczył, że hotelowy portier odbiera bagaż Newmana, i polecił kierowcy, by pojechał za zakręt i tam się zatrzymał.

Zapłaciwszy za kurs, pognał do budki telefonicznej, czując na twarzy ostry, mroźny wiatr hulający nad jeziorem i Renem przepływającym na wprost hotelu des Bergues. Zadzwoił do Pierrea

Jaccarda, starszego reportera w "Journal de Geneve". Dziennikarz przyjął go jeszcze bardziej wrogo niż Tripet.

- Co chcesz mi wcisnąć tym razem, Nagy?

- Coś, co chciałoby dostać mnóstwo ludzi - powiedział Nagy agresywnie, świadomie przyjmując inny ton. Upodobania potencjalnych klientów trzeba rozróżniać. - Pewnie słyszałeś o sprawie Krugera, tego niemieckiego zdrajcy, który włamał się do potężnego komputera w Dusseldorfie?

- Oczywiście, że tak. Ale to było w zeszłym roku.

Nagy natychmiast wyczuł zmianę w głosie reportera - pogarda przerodziła się w maskowane zaciekawienie, które skrywało żądzę wieści. Zaczął bawić się swoją zdobyczą.

- Dwieście franków i umowa stoi. Nie mam zamiaru się targować. Zdażysz jeszcze włączyć to do jutrzejszego wydania.

A w dodatku możesz za pomocą jednego telefonu sprawdzić to, co ci powiem.

- Sprecyzuj, o co chodzi... - Albo o kolejną aferę Krugera, tym razem na naszym gruncie, albo o coś równie wielkiego. Nic więcej nie powiem, dopóki nie przyjmiesz moich warunków. No jak, umowa stoi? Tak, czy nie? Bo i..... za trzydzieści sekund odkładam słuchawkę. Czas start...

- Poczekaj! Ale jeśli mnie nabierasz...

- Do widzenia, Jaccard...

!

!

- Umowa stoi Dwieście franków. Cholera, ryzykuję. Mów.

- Robert Newman - słyszałeś o nim? Myślę, że tak. Właśnie przyleciał z Londynu rejsem SR 837. Myślisz, że on leci gdziekolwiek późnym wieczorem bez ważnego powodu? W dodatku wyglądało na to, że bardzo mu się spieszy.

- Mówiłeś, że mogę to sprawdzić - przypomniał Jaccard.

- Zatrzymał się w hotelu des Bergues. Zadzwoń tam, podaj fałszywe nazwisko i poproś o połączenie z jego pokojem. Zresztą, do licha, Jaccard, chyba znasz swoją robotę.

- Owszem, znam - odparł reporter spokojnie. - Przyjdź do mojego biura. Pieniądze czekają.

Zapomniawszy o zimnej już kawie, Artur Beck siedział przy biurku i studiował opasłą teczkę Lee Foleya. Była tu całkiem niezła kolekcja zdjęć - wszystkie wykonane bez wiedzy zainteresowanego. Do fotografii dołączono długą notę stwierdzającą, że Foley wystąpił z CIA, a obecnie jest współwłaścicielem nowojorskiej firmy KMAD -Kontynentalna Międzynarodowa Agencja Detektywistyczna.

- Ciekawe... - zaczął mówić na głos, gdy zadzwonił telefon.

- Bardzo mi przykro, że nie mogłem zadzwonić wcześniej... odezwał się przepaszając Tripet. - W biurze czekała na mnie sprawa nie cierpiąca zwłoki... zgłoszono porwanie w Cologny... na szczęście okazało się, że to fałszywy alarm...

- Nie przejmuj się. Mam sporo pracy. Ale do rzeczy, co nowego?

- "Kundel", Julius Nagy, dokładnie potwierdził twój opis Foleya. Lee jest teraz gdzieś w Genewie, a przynajmniej był, gdy opuścił lotnisko o piątej po południu.

- Możesz coś dla mnie zrobić? Sprawdź wszystkie hotele, znajdź go, jeśli jeszcze w ogóle jest w Genewie. I posłuchaj mojej rady.

Zacznij od tańszych hoteli, dwu - i trzygwiazdkowych. Są w stylu Foleya.

- Zajmę się tym z przyjemnością. Zaraz zaczynam.

Beck odłożył słuchawkę. Rzadko się mylił, ale tym razem źle ocenił swoją ofiarę.

Zjadłszy najpierw kolację na mieście, Foley podszedł ostrożnie do hotelu des Bergues. Przez obracające się drzwi zerknął do środka. Portier rozmawiał właśnie z recepcjonistą. Nikogo innego nie było w pobliżu.

Pchnął drzwi i wszedł. Patrząc na zegarek skręcił w lewo, w kierunku drzwi prowadzących do jednej z dwu hotelowych restauracji - Pavillon, skąd okna wychodziły na Ren. Przy stoliku pod oknem dostrzegł Newmana i Nancy Kennedy, którzy jedli kolację i byli na etapie picia kawy.

Newman siedział plecami do drzwi, których górna połowa była ze szkła. Nancy widać było prawie całą. Ni stąd, ni zowąd Newman i obejrzał się, więc Foley odszedł czym prędzej, wziął klucz i skierował się do windy. i

W restauracji Pavillon, którą lubili i mieszkańcy Genewy, i goście hotelowi, zajęta była połowa stolików. Newman patrzył za okno na pary, które z pochylonymi głowami, by ochronić się przed mroźnym wiatrem, przemykały ulicą; kobiety miały na sobie futra -sobole, rysie, norki; mężczyźni nosili przeważnie kożuchy.

- To bogate miasto - zauważyła Nancy, podążając za jego wzrokiem. - Kolacja była wspaniała, Bob. Nigdy nie jadłam i równie pysznego kurczaka. Był chyba tak dobry, jak u Bewicka przy Walton Street - dodała przekornie. - O czym myślisz?

- O tym, że musimy zastanowić się nad tym, co dalej. Może niekoniecznie pojedziemy od razu do Berna...

- Dlaczego nie? Myślałam, że jutro wyjeżdżamy...

- Może tak, może nie - odparł stanowczo Newman. - Czy Masz coś przeciwko, żebym po kolacji poszedł na spacer brzegiem jeziora? Sam. Muszę coś przemyśleć.

- Masz jakieś spotkanie? Odkąd podali główne danie, trzy razy zerkałeś na zegarek.

- Powiedziałem, że chcę się przejść. - Uśmiechnął się, by złagodzić szorstkość słów. - Wiesz, że Genewa jest jednym z największych w Europie centrów szpiegostwa? Tu aż się roi od "agentów. Głównie z powodu obecności tych wszystkich przedstawicielstw przy O.N.Z. Połowa mieszkańców tego miasta to cudzoziemcy. Genewczycy już zaczynają mieć tego dosyć. Z powodu obcokrajowców ceny mieszkań rosną - chyba że ktoś jest bardzo bogaty i go to nie obchodzi. Jak ty na przykład...

- Nie psuj takiego cudownego wieczoru. - Spojrzała na zegarek. - Ty idź na ten swój spacer, a ja się rozpakuję. Bez względu na to, czy wyjeżdżamy jutro, czy nie, nie pozwolę, żeby moje suknie się pogniosły. - Ruchem, który Newman dobrze znał, wysunęła lekko podbródek, co oznaczało stanowcze postanowienie. - No idź już. Nie siedź u niej całą noc...

- Zależy, w jakim będzie nastroju - odparł z uśmiechem.

Newman podniósł kołnierz kożucha, wyszedł na zewnątrz i odczuł gwałtowny spadek temperatury. Mroźny wiatr siekł go po twarzy. Po drugiej stronie ulicy, za żelazną barierką, wody Renu pluskały i falowały; domyślił się, że w świetle dziennym mają specyficzny zielony odcień wody powstałej z rozpuszczonego śniegu, pokrywającego szczyty odległych gór Valais.

W nocy woda była czarna. Odbijała światła budynków na przeciwległym brzegu. Dziwne, ale mrugające napisy brzmiały z angielska. Na przykład ogromny zielony neon BRITISH BANK OF THE MIDDLE EAST. Albo niebieski - KLEINWORT BENSON. I czerwony HONGKONG BANK. Lampy uliczne tworzyły na lodowatej wodzie zygakowaty wzór. Włożywszy obie ręce do kieszeni, Newman poszedł w stronę hotelu Hilton.

Za nim z bramy wynurzył się Julius Nagy przemarznięty na kość. Mały człowieczek uważał, żeby dzielił go od Newmana jacyś ludzie. Przynajmniej nie czekał na darmo. Ale gdzie, do diabła, może iść Anglik o tej porze i w taką pogodę?

W zacisznym biurze Pierrea Jaccarda oczekiwała Nagyego przyjemna niespodzianka. Najpierw reporter podsunął mu kopertę i patrzył, jak Nagy ją otwiera. Trzydziestoletni Jaccard, który już zdążył dojść do stanowiska starszego reportera, odbył tę drogę wykorzystując różne okazje i zawsze ufając swej intuicji. Miał pociągłą twarz i oczy o czujnym spojrzeniu, które nigdy się nie śmiały, nawet jeśli robiły to usta. Pił teraz kawę z tekturowego kubka.

- Przelicz, Nagy. Jest dokładnie dwieście. Chciałbyś zarobić więcej?

- W jaki sposób? - spytał z udawaną obojętnością.

- Chodząc za Newmanem niczym jego cień. Będziesz mnie informował gdzie chodzi, co robi, z kim się spotyka. Chcę wiedzieć o nim wszystko, łącznie z kolorem piżamy, w jakiej sypia...

- Takie zadanie sporo kosztuje...

To było jedno z ulubionych słów w słowniku Nagyego. Nigdy nie mówił, że wykonuje robotę, tylko zawsze zadanie. W taki oto drobny sposób próbował wnieść w swoje życie odrobinę godności.

Człowiek musi czuć się ważny. Ale Jaccard był jeszcze zbyt młody, żeby pojąć takie niuanse, i zbyt cyniczny. Gdyby to rozumiał, mógłby kupić Nagyego taniej.

- W tej kopercie jest następne dwieście franków - powiedział popychając ją w stronę Juliusa. - Sto na wydatki i druga setka jako zapłata. Pamiętaj, żeby mieć rachunki na każdy frank, który idzie w poczet kosztów...! Nagy potrząsnął głową i nawet nie dotknął koperty. Pomimo wyrazu znudzenia na twarzy Jaccarda wyczuł, że chodzi o bardzo znaczącą sprawę. Splótł dłonie na kolanach i ściągnął usta.

- Newman mógł pojechać wszędzie - do Zurychu, Bazylei, Lugano. Jeśli mam się dobrze wywiązać z zadania, to potrzebuję pieniędzy, żeby móc go śledzić.

- Ile? Lepiej zastanów się, zanim odpowiesz...

- Pięć setek. Dwie dla mnie - na razie. A trzy na koszt.

Dostaniesz swoje rachunki. Nie wezmę ani franka mniej.

Jaccard westchnął, sięgnął po portfel i odliczył pięćset franków.

Tym sposobem ogołocił się z pieniędzy. Teraz znów zaryzykował stawiając na Newmana, który kiedyś rozwiązał sprawę Krugera.

O Boże, gdyby trafiło mu się coś takiego, to byłby urządzony na całe życie.

Tym sposobem Nagy, drżąc z zimna w zniszczonym paletku i tyrolskim kapeluszu, zaczął śledzić Newmana, który doszedł już

nad brzeg jeziora. Wcześniej, kiedy Anglik przechodził przez ulicę du Mont Blanc, obejrzał się i Nagy zatrwożył się, że został dostrzeżony. Ale Newman szedł dalej, choć z trudem, promenadą, kuląc się przed silnym wiatrem.

Gdy znalazł się już przy Hiltonie, wyrastającym na wprost w jeziora, ulica była tak opustoszała, że pomimo wycia wiatru dobiegł go jakiś dźwięk. Było to skrzywienie parowca zakotwiczonego przy jednym z pomostów - kadłub ocierał się o słup cumowniczy.

Jednokominowy parowiec nie wyruszał w żaden rejs - jeszcze nie sezon na wyprawę. Czekał tu na wiosnę, podobnie jak cała półkula północna. Po drugiej stronie rozszerzającego się w tym miejscu jeziora nie było żadnych neonów, tylko migające, zimne światła odległych uliczek. Newman zatrzymał się przy umieszczonej na zewnątrz windzie Hiltona i wcisnął guzik.

Przyjechała winda, mniejsza od tych, które z zawrotną szybkością jeżdżą po ścianach wielu amerykańskich hoteli. Newman wsiadł i nacisnął przycisk. Przyszło mu wtedy do głowy, że stanowi idealny cel dla snajpera - mała klatka miała szklane drzwi i była l;... wewnątrz oświetlona.

Nagy wybrał odpowiednią chwilę, wbiegł po schodach na pierwsze piętro i widział jeszcze, jak Newman wchodzi do restauracji.

Odczekał moment i poszedł za nim. Przed drzwiami lokalu zdjął zniszczone palto, tyrolski kapelusz wcisnął do kieszeni, wygładził zmierzwione włosy i wszedł. Fala ciepła uderzyła jego zziębniętą, pobladłą twarz.

Sala miała kształt prostokąta, którego dłuższy bok był równoległy do brzegu jeziora. W głębi, przy dwuosobowym stoliku pod oknem, siedział Newman. Towarzyszyła mu kobieta - Nagy wytrzeszczył oczy na jej widok.

Usiadł blisko wyjścia i zamówił kawę u kelnerki, która pojawiła się natychmiast; poznał, że była Angielką - w tym mieście kelnerkami były dziewczyny różnych narodowości. Uważnie,

ale dyskretnie przyjrzał się towarzyszce Newmana. Pomyślał bez zazdrości, że niektórzy ludzie to prawdziwi szczęśliwcy.

Nagy starał się dokładnie zapamiętać wygląd kobiety, żeby móc ją opisać Jaccardowi. Uznał, że zbliża się do trzydziestki. Miała gęste, tyrcjanowskie włosy (Nagy określił je jako rude) z przedziałkiem po środku, płowy, kaszmirowy (tak mu się zdawało) sweter, podkreślający pełne kształty, i obcisłe spodnie z czarnej skóry, które opinały jej wspaniałe nogi. Skóra połyskiwała, sprawiając wrażenie mokrej, zgodnie z najnowszą modą wet-look. Dziewczyna miała wysoko osadzone kości policzkowe i w ogóle rysy jej twarzy były doskonałe.

Kapitałna babka. Z początku Nagy myślał, że jest prostytutką, ale potem zmienił zdanie. Dziewczyna miała klasę, a to mały człowieczek szanował. Mówiła coś bardzo poruszona, ale stopniowo przestawiła się na uważne słuchanie Newmana, który od czasu do czasu popijał kawę.

W pewnej chwili dziewczyna sięgnęła przez stół, by poprawić Newmanowi krawat, co nie uszło uwadze Nagyego. Ten gest zdradzał pewną zażyłość. Zainteresuje to Jaccarda. Nagy miał wrażenie, że Newman udziela dziewczynie jakichś wskazówek, a ona tylko zadaje pytania, by coś uściślić.

Gdy Newman zapłacił rachunek i wstał, by odejść, nieznajoma została przy stoliku. Przez chwilę Nagy nie mógł się zdecydować -kogo teraz śledzić? Wahał się jedynie moment. Newman szedł już do wyjścia, wkładając po drodze kożuch; przeszedł obok Nagyego, nie zerkając nawet w jego stronę. Mały człowieczek, który zapłacił za kawę gdy tylko ją dostał, poszedł za Newmanem.

Tym razem dziennikarz nie miał ochoty na zewnętrzną windę.

Zbiegł po schodach i energicznym krokiem ruszył wzdłuż promenady. Wsunął się w obrotowe drzwi hotelu des Bergues i poszedł prosto do pokoju 406. Nancy, ubrana w przezroczystą nocną koszulkę, uchyliła lekko drzwi, po czym wpuściła go do środka.

- Dobra była w łóżku? - zabrzmiało jej pierwsze pytanie.

- Myślisz, że jestem ogierem? - rzucił wesoło.

- Coś ci powiem - kiedy tu przyjechaliśmy i meldowałeś nas w recepcji, byłam taka zażenowana, że aż drżałam. Pan i pani Newman...

- Szwajcarzy są dyskretni. Mówiłem ci... - Zdjął już krawat.

- Wystarczy im, gdy obejrzą paszport mężczyzny. Chryste, na dworze jest jak w lodowni. Przeszedłem chyba parę kilometrów.

- Podjąłeś jakieś decyzje?

- Zawsze muszę się z nimi przespać i zobaczyć, jak wyglądają w świetle dziennym. Światło dzienne przyniosło szok.

Rozdział 10

Genewa, 14 lutego 1984. Minus 18 stopni Celsjusza.

Gdy Nancy i Newman szli rano do restauracji Pavillon na śniadanie, recepcjonista poprosił go do siebie. Nancy próbowała wcześniej przekonać Boba, by skorzystali z usług służby hotelowej i zamówili posiłek do pokoju, ale zdecydowanie odmówił.

- Wy, Amerykanie, nie wyobrażacie sobie życia bez służby...

Przeprosił Nancy i podszedł do kontuaru. Recepcjonista z szerokim uśmiechem na twarzy rozłożył przed nim "Journal de Geneve". Na pierwszej stronie w rubryce "Sommaire" widniała fotografia Newmana. Pod nią notatka, krótka i rzeczowa.

Robert Newman, znany korespondent zagraniczny (autor bestsellera "Kruger. Komputer, który zawiódł") przyjechał właśnie do Genewy i zatrzymał się w hotelu des Bergues. Nie wiadomo jeszcze, jaki jest cel wizyty pana Newmana, ani nad jaką sprawą obecnie pracuje.

- Dobrze być sławnym - nieprawdaż? - odezwał się recepcjonista.

- Prawda - odparł Newman i dał mu franka za gazetę.

Z ponurą miną wszedł do restauracji. Nancy siedziała przy tym samym stoliku pod oknem co wczoraj. Newman zajął krzesło na wprost niej i skierował wzrok w okno. O ósmej rano genewczycy spieszyli do pracy - wszyscy ciepło ubrani, by ochronić się przed

mrozem.

- Zamówiłam kawę - powiedziała Nancy, przelamując rogalik i przyglądając się Newmanowi. - Bob, co się stało?

Bez słowa podał jej gazetę; splótł palce i dalej patrzył na wezbrane wody Renu. Nancy przeczytała i z promieniejącymi oczyma czekała, aż kelnerka ustawi filiżanki.

- Wygląda na to, że poślubię prawdziwą sławę. Skąd oni wzięli to zdjęcie? Podoba mi się...

- Mieli w dokumentach. Kiedyś publikowano je aż za często.

Nancy, to wszystko zmienia. Teraz może zrobić się niebezpiecznie.

Może będzie lepiej, jak zostawię cię tu na kilka dni. Sam pojedę do Berna. Będę dzwonił codziennie.

- Do jasnej cholery! Przyjechałam tu, żeby zobaczyć się z Jesseem i nie dam się zostawić w Genewie. Dlaczego niby ma być niebezpiecznie?

- intuicja mi to mówi.

Przerwał, widząc jak mały człowieczek w zniszczonym palcie i tyrolskim kapeluszu przechodzi tuż za szybą zerkając do środka.

Napotkawszy wzrok Newmana, szybko odszedł. W tym samym kierunku zmierzała dziewczyna o tycjanowskich włosach. Ubrana była w krótkie futerko z postawionym kołnierzem i niebieskie dżinsy wsunięte w skórzane botki. Newman mrugnął do niej, ale I. szybko odwróciła głowę patrząc prosto przed siebie.

- Wcześniej dziś zaczynasz - skomentowała Nancy. - Widziałam to...

- A zauważyłaś tego małego człowieczka, który szedł przed nią?

- Nie. Dlaczego pytasz?

- To Julius Nagy - dryfująca deska z rozbitego okrętu.

Znany w Europie.

- Nie bardzo rozumiem, - Przegrany człowiek. Zarabia na życie dostarczając informacji swoim kontaktom. Widziałem go wczoraj na lotnisku. Jechał za nami taksówką. Być może ten

artykuł to jego sprawa...

Postukał palcem w swoje zdjęcie, po czym nalał kawy, przełamał chrupiącą bułeczkę i posmarował ją masłem i marmoladą.

Nancy, która czuła się zupełnie zdezorientowana, milczała przez kilka minut, wiedząc, że zwykle po śniadaniu Bob jest w lepszym nastroju.

- Nie pojedziesz sam - orzekła wreszcie. - Co więc zamierzamy zrobić - razem - Skończyć śniadanie. Potem coś postanowię.

Zanim jednak zdążył wlać w siebie cztery filiżanki kawy, sok pomarańczowy i zjeść dwie bułeczki, okoliczności zdecydowały za niego.

Berno. W ogromnej willi w Elfenau, dzielnicy bogaczy, Bruno rozłożył na antycznym stoliku "Journal de Geneve". Uważnie przyjrzał się podobiznie Newmana.

- A więc przyjechali - odezwał się po francusku.

- Wiedzieliśmy, że są w drodze, Bruno. Pytanie brzmi, czy przysporzą nam kłopotów? Jeśli tak, to trzeba będzie coś z nimi zrobić - ty będziesz musiał się nimi zająć.

Stojący w cieniu postawny mężczyzna w przyciemnionych okularach powiedział to miękkim, przekonującym głosem. W ogromnym salonie nawet w dzień było ciemno. Częściowo dlatego, że niebo było zachmurzone, a częściowo z powodu grubych, ciężkich firanek, słabo przepuszczających blade światło dzienne.

Bruno Kobler, czterdziestoletni mężczyzna, metr siedemdziesiąt wzrostu, dobrze zbudowany, o postawie znamionującej nieugiętość, w doskonałej kondycji fizycznej, patrzył na masywną sylwetkę swego szefa. Światło lampki odbijało się w ciemnych okularach.

Zastanawiał się, co dokładnie ma na myśli jego przełożony.

Mężczyzna w cieniu mówił dalej.

- Dobrze pamiętam, Bruno, że kiedy budowałem moją fabrykę chemikaliów, zagrażał mi pewien przeciwnik, który mógł zburzyć wszystkie plany. Ale nie czekałem, żeby się przekonać, co zrobi.

Sam podjąłem odpowiednie działania. Obecnie znajdujemy się w przełomowym momencie prac nad Terminalem. I nie pozwolę, żeby cokolwiek stało mi na drodze. Pamiętaj, że mamy poparcie Złotego Klubu.

- A więc mam śledzić wszystkie posunięcia Newmana i tej kobiety?

- Zawsze w końcu dochodzisz do właściwych wniosków, Bruno. I dlatego tak dobrze ci płacę.

Artur Beck z policji federalnej siedział ze słuchawką przy uchu, czekając aż telefonistka z centrali policji genewskiej połączy go z Tripetem. Przed sobą miał egzemplarz "Journal de Geneve".

Zgodnie z jego przewidywaniami sytuacja rozwijała się coraz szybciej. Zjeżdżali się. Najpierw Lee Foley, rzekomy detektyw z KMAD - u, a teraz Newman. Beck nie wierzył w zbiegi okoliczności, a na pewno nie wtedy, gdy rozwój wydarzeń prowadził do sytuacji kryzysowej. A tego ranka otrzymał od szefa ostrzeżenie.

- Słuchaj, Beck, nie jestem pewien, jak długo jeszcze będę w stanie dawać ci carte blanche. W sprawę zaangażowani są bardzo wpływowi ludzie i z różnych stron odczuwam naciski, żeby odsunąć cię od tego dochodzenia.

- Zamierzam rozgryźć tę sprawę bez względu na wszystko -, odparł Beck.

- Przecież nie możesz walczyć z taką potęgą.

- A chce się pan założyć, sir Usłyszał w słuchawce głos Tripeta; przywitali się. Następnie Beck wytłumaczył szefowi genewskiej policji, czego od niego oczekuje i pouczył, jak delikatnie przeprowadzić tę akcję. W trakcie rozmowy wyczuł w głosie Tripeta niepokój. Domyślił się, że kolega niezbyt pewnie się czuje.

- Mówiąc między nami, Tripet, tego życzy sobie góra. Ale to tylko tak między nami. Mam nadzieję, że zdążysz do niego dotrzeć, zanim wyjedzie z miasta. Wiesz przecież, gdzie się zatrzymał. j;... Zadzwoń, albo wyślij samochód, jeśli tak będzie szybciej.

Jak to zrobisz, to już twoja sprawa, ale zrób to, Tripet.

Beck odłożył słuchawkę i ponownie przyjrzał się fotografii w gazecie. Będzie potrzebował każdej pomocnej dłoni, nawet tej, od której pomocy normalnie by nie przyjął. W razie jakiegoś spięcia prasa zrobi swoje - to była jedyna rzecz, na którą nie mieli żadnego wpływu. Tak, na pewno przydadzą mu się sprzymierzeńcy.

Jego twarz wyrażała napięcie. O Chryste! Nie dopuści, żeby tym skurwielom wszystko uszło płazem dlatego tylko, że mają w swoich rękach połowę pieniędzy całego Zachodu.

Bazylea. Eryka Stahel zamknęła drzwi swego mieszkania i przez moment stała o nie oparta, ściskając plik gazet w rękę. Patrząc na nią Seidler domyślił się, że biegła. Twarz miała bardziej zarumienioną niż zwykle.

- Zdążymy jeszcze wypić po filiżance kawy, zanim będę musiała wyjść do pracy - powiedziała.

- Z przyjemnością.

Ułożone równo jedna na drugiej gazety zostawiła na stole. Jaka z niej staranna, mająca zamiłowanie do porządku dziewczyna, pomyślał Seidler. Byłoby cudownie związać się z taką na całe życie.

A Eryka, szczęśliwa, że znów ma go przy sobie, podążyła lekkim krokiem do kuchni. Nuciała parząc kawę. Rozłożył pierwszą z wierzchu gazetę.

- Widzę, że sprzątnąłeś ze stołu - krzyknęła. - Dziękuję ci, Manfredzie. Całkiem się już zadomowiłeś. Nie chciałbyś, żeby tak już zostało?

- Może weszłoby mi to w nawyk...

- A dlaczegożby nie? - rzuciła wesoło.

W chwili, gdy weszła do salonu, wyczuła, że coś się stało.

Manfred siedział w samej koszuli i wpatrywał się w pierwszą stronę "Journal de Geneve". Eryka postawiła przed nim filiżankę czarnej kawy; nigdy nie dodawał do niej cukru ani mleka, a pił ją całymi litrami, co świadczyło, że żył w ciągłym stresie. Stała tuż za nim, zaglądając mu przez ramię.

- Coś się stało?

- Być może to moje koło ratunkowe.

Wyjął złoty flamaster, który dostał od Eryki, i zakreślił rubrykę "Sommaire". Eryka była niezwykle hojna - Bóg jeden wie, ile wydała na ten flamaster. Bardzo chciałby pójść do sklepu i coś jej kupić. Miał przecież pieniądze. Ale musiałby wyjść z domu...

- Robert Newman - przeczytała Eryka sącząc kawę. - To ten od sprawy Krugera. Odkrył, że Kruger miał konto w Bazylei.

I wciąż nikt nie wie, jak mu się udało to wszystko rozpracować. Ale dlaczego on jest taki ważny?

- Ponieważ, Eryko... - mówiąc to objął ją ramieniem w talii -... on zawsze pracuje na własną rękę. Jeśli już zainteresuje się jakąś zagadką, to nikt, nawet najbardziej wpływowi i bogaty, nie zdoła go kupić. Nikt go nie powstrzyma.

- Znasz tego Newmana?

- Niestety, nie. Ale mogę się z nim skontaktować. Widzisz, tu piszą nawet, gdzie się zatrzymał. Lepiej zadzwonię do niego, ale skorzystam z budki na ulicy.

- Przecież nie chciałeś wychodzić z mieszkania.

- W tym wypadku warto zaryzykować. Muszę coś zrobić.

Możliwe, że Newman pracuje nad sprawą Złotego Klubu i Terminalu...

- Manfredzie! - W jej głosie było zdziwienie i odrobina urazy. - Kiedy ci o tym opowiadałam, sprawiałeś wrażenie, że nigdy nie słyszałeś ani o Złotym Klubie, ani o Terminalu.

Trochę się zmieszał. Wyjął jej z ręki filiżankę i posadził Erykę sobie na kolanach. Prawie nic nie ważyła. Popatrzył jej prosto w oczy.

Bliski był złamania po raz pierwszy swej żelaznej zasady - nie ufać nikomu.

- Zrobiłem tak dla twego dobra, Naprawdę. Nie pytaj o nic, w tę sprawę zamieszani są potężni, bezwzględni ludzie, a wiedza o nich mogłaby narazić cię na śmiertelne niebezpieczeństwo. I pod

żadnym pozorem nie mów nic swemu szefowi, Nagelowi.

- Nawet nie przyszłoby mi to do głowy. Ale czy nie możesz pójść z tym na policję? - spytała po raz trzeci, lecz widząc jego przerażenie, niemal desperację, porzuciła ten temat. Spojrzała na jego zegarek i widząc, która godzina, wstała. - Muszę już iść, Manfredzie. Mam pracę...

- Nie zapomnij zdeponować tej walizeczki. Na swoje własne nazwisko.

- Pod warunkiem, że podpiszesz ten dokument. Wzięłam go wczoraj z banku. I nie sprzeczasz się, Manfredzie, bo nie wezmę tej walizki...

- Co to jest?

- Potwierdzenie otwarcia skrzynki depozytowej. Oboje musimy mieć do niej dostęp. Tylko pod tym warunkiem zrobię to, o co prosisz.

Westchnął i podpisał dokument czytelnym, lecz charakterystycznym dla siebie pismem. Po wyjściu Eryki siedział przez chwilę nieruchomo, zaskoczony własnym postępowaniem. Jeszcze rok temu roześmiałby się prosto w twarz komuś, kto powiedziałby, że pewnego dnia powierzy pół miliona franków młodej dziewczynie.

Ale czuł się bardzo zadowolony, że zdecydował się na podjęcie tego ryzykownego kroku.

Zatelefonowanie do Newmana będzie naprawdę trudnym przedsięwzięciem.

Czekali już, kiedy Newman wychodził z Nancy z restauracji Pavillon. Dwaj mężczyźni w cywilnych ubraniach siedzieli w recepcji.

Na widok Newmana wstali i podeszli do niego. Wyższy miał podłużną twarz, niższy - puciołową i sympatyczną.

- Pan Newman? - spytał wyższy. - Będzie pan uprzejmy pójść z nami. - Brzmiało to zdecydowanie jak polecenie, a nie pytanie. - Jesteśmy z policji.

- Nancy, idź do pokoju, a ja dowiem się, o co tu chodzi

-rzucił ostro i spojrzął na wyższego. - Mam pójść z wami - gdzie i dlaczego?

- Do kwatery głównej policji.

- Adres - syknął Newman.

- Boulevard Carl - Vogt dwadzieścia cztery.

- Do diabła, pokażcie mi legitymacje.

- Oczywiście, sir.

Struś, bo tak Newman nazwał w myśli wyższego, pokazał mu legitymację, którą dziennikarz skrupulatnie obejrzał. Na jego wyczucie była prawdziwa.

- Wiem już, gdzie mam pójść. Nie jeszcze dlaczego.

- Tego dowie się pan na miejscu. - Struś przestał być tak bardzo oficjalny. - Szczerze mówiąc, sir, nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Nie, nie potrzebuje pan płaszcza. Przed hotelem czeka ogrzewany samochód.

- Idę na górę. Muszę powiedzieć żonie, dokąd mnie zabieracie.

Znalazł Nancy przy windzie - nawet nie miała zamiaru do niej wchodzić. Stojąc tyłem do policjantów, którzy poszli za nim aż na koniec korytarza, by móc go dalej obserwować, wyjął notatnik, zapisał szybko adres komendy i podał go Nancy.

- Jeśli nie będzie mnie z powrotem za godzinę, zadzwoń do Genewy pod ten numer i postaw ich na nogi. Te liczby pod adresem to numer rejestracyjny samochodu, którym przyjechali.

- O co chodzi, Bob? Boisz się? Ja tak...

- Nie ma powodu. Nie boję się, tylko jestem wściekły jak jasna cholera. Przetrączę komuś za to kark.

Ukryty w pobliżu drzwi Julius Nagy widział, jak Newman wraz z wyższym mężczyzną zajmują miejsca na tylnym siedzeniu, niższy zaś siada za kierownicą. Potem pobiegł do czekającej taksówki i wsiadł pospiesznie.

- Za tym czarnym saabem - rzucił do kierowcy. - Muszę wiedzieć, gdzie zabierają mego przyjaciela.

Newman uznał, że nadinspektor Leon Tripet, bo tak

przedstawił się człowiek, który go przyjął, jest zbyt młody na zajmowane stanowisko. Usiadł na wskazanym mu krześle i, nie pytając o pozwolenie, zapalił papierosa, rozglądając się po pokoju z miną zdradzającą irytację i zniecierpliwienie. Przez ostrożność nie odzywał się.

Biuro Tripeta z widokiem na Boulevard Carl - Vogt, które mieściło się na drugim piętrze, było posępną norą. Pomieszczenie o bladezielonych ścianach oświetlała prostokątna jarzeniówka o nieprzyjemnym świetle. Było tu pospolicie i brzydko.

- Bardzo pana przepraszam za ewentualne niedogodności, jakie mu sprawiliśmy - zaczął Tripet wyprostowany na krześle jak struna. - Prowadzimy jednak niezwykle poważną sprawę...

- Wy prowadzicie, nie ja - przerwał Newman ostro.

- Wszyscy podziwialiśmy pana za rozpracowanie sprawy Krugera. Rozmawiałem z moimi niemieckimi kolegami - nie szczędzili panu pochwał za zręczność, z jaką zastawił pan pułapkę na Krugera i ujawnił jego powiązania z NRD...

- Ma pan pewnie na myśli okupowane przez Rosjan Niemcy Wschodnie - wtrącił Newman. - Znane także jako Strefa. Ale co to ma wspólnego z wezwaniem mnie tutaj?

- Może kawy, panie Newman? - Tripet spojrzął na dziewczynę, która wniosła właśnie tacę z kubeczkami. - Pije pan z cukrem i mleczkiem?

- W ogóle nie piję z tekturowego kubka. Coś takiego sprzedają i w angielskich bufetach na dworcach kolejowych, ale ja tam nie chadzam.

- Czytałem pańską książkę - kontynuował Tripet odprawivszy dziewczynę, która zostawiła mu jeden z kubków. - Najbardziej chyba zafascynował mnie sposób, w jaki dostał się pan do pamięci tego terminalu...

Przerwał, by napić się kawy, ale Newman miał dziwne wrażenie, że nadinspektor uważnie obserwuje jego reakcję. Ale w związku z czym? Czekał w milczeniu na dalszy ciąg.

- Mówię o tym ogromnym komputerze w Dusseldorfie, dzięki któremu Niemcy wykryli wielu wrogich agentów. Przyjechał pan do Szwajcarii na wakacje, panie Newman? - spytał obojętnie.

W czystej popielniczce Newman zgasił wypalonego do połowy papierosa, patrząc przy tym ponuro na Tripeta. Potem wstał, podszedł do okna i stojąc za plecami policjanta, spoglądał na ulicę w dole. Tripet zapytał, czy coś się stało.

Newman nie odpowiedział. Patrzył w dół uważając, żeby nie poruszyć grubej firanki. Julius Nagy stał w drzwiach budynku po przeciwnej stronie ulicy, na który Newman zwrócił uwagę zaraz po przyjeździe. Była to Biblioteka Publiczna - Biblioteque Municipale.

- Tripet, czy mógłby pan tu podejść?

- Coś pana niepokoi - domyślił się nadinspektor, dołączając do Anglika.

- Ten człowiek, tam w drzwiach. To Julius Nagy. Śledzi mnie, odkąd przyjechałem do Genewy. Może to pański znajomy?

- Polecę, żeby go sprawdzono - rzekł Tripet wychodząc z pokoju. - Zaraz wracam.

- Może pan skorzystać z telefonu na biurku - zauważył Newman.

Nadinspektor jednak wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Newman zapalił kolejnego papierosa i przyglądał się przedstawieniu.

Wkrótce ujrzał dwóch policjantów w popielatych mundurach, z pistoletami w kaburach, przechodzących przez ulicę.

Wyglądało na to, że wywiązała się jakaś sprzeczka, a po chwili policjanci podprowadzili protestującego Nagyego do komendy i zniknęli mu z oczu. Newman uśmiechnął się do siebie i z powrotem usiadł na krześle. Chwilę później Tripet wrócił.

- Właśnie go przesłuchujemy - poinformował Anglika. -Przed wszystkim kazałem moim ludziom wydobyć z niego nazwisko

człowieka, dla którego pracuje.

- Mnie chce pan oszukać?

- Słucham?

- Słuchaj pan - rzucił pochylając się nad biurkiem - mam już

dosyć tego przedstawienia.

- Przedstawienia?

- Tak, przedstawienia, Tripet! Nie tak dawno temu witano

mnie w Szwajcarii z otwartymi ramionami. Pomogłem w rozwiązaniu
pewnej sprawy, ale to nie ma nic wspólnego z panem.

A tym razem od samego początku jestem śledzony i nękanym...

- Nękanym, panie Newman?

- Tripet, bądź uprzejmy słuchać i nie przerywaj!

Powiedziałem - nękanym, i to właśnie miałem na myśli. Ściągnął
mnie pan tu na bezsensowną rozmowę. Posłał po mnie dwóch swoich
parobków, którzy zabrali mnie z hotelu na oczach wszystkich jak
jakiegoś przestępcę. Nie miał pan nawet na tyle przyzwoitości,
żeby uprzedzić mnie telefonicznie....

- Nie mieliśmy pewności, czy pan przyjdzie...

Newman zlekceważył go zupełnie.

- Powiedziałem, nie przerywaj! Potem udał pan, że nie zna

Nagyego. Wyszedł pan z pokoju, zamiast wydać polecenie przez
telefon, a wszystko po to, żebym nie słyszał, jakie to
instrukcje.

"Sprowadźcie tu Nagyego. Postarajcie się, żeby wyglądało
przekonująco - on patrzy przez okno". Tak to się mniej więcej
odbyło, mam rację, czy nie? Tolerowałem takie postępowanie do tej
pory, ale dłużej nie zamierzam. Skontaktuję się z Beckiem z
policji federalnej w Bernie. Z Arturem Beckiem, asystentem szefa
policji federalnej...

- To właśnie Beck polecił mi przywieźć pana tutaj -
spokojnie stwierdził Tripet.

Newman uparł się, że wróci do hotelu taksówką, chociaż
Tripet zapewniał go, że zostanie odwieziony nie oznakowanym
samochodem służbowym. Przez całą powrotną drogę na drugi brzeg

rzeki siedział zamyślony; różne sprzeczne myśli kłębiły mu się w głowie. Nie był mu pisany spokój, nawet gdy już wysiadł z taksówki i poszedł na górę do swego pokoju. Kiedy Nancy otworzyła drzwi, wiedział już, że coś się stało. Dziewczyna chwyciła go za rękę i objęła nią swą talię.

- Bob, myślałam, że już nigdy nie wrócisz. Nic ci się nie stało?

Czego oni chcieli? Gdy ciebie nie było, odebrałam przedziwny telefon, Nic ci nie jest? - zaniepokoiła się. - Może zamówię ci kawę? Po to właśnie jest służba hotelowa. - Wszystkie te słowa wyrzuciła z siebie jednym tchem.

- Zamów trzy litry. Nie, siadaj, sam zamówię, i nic mi nie jest.

Opowiesz mi o tym telefonie, jak tylko załatwię kawę. - Uśmiechnął się. - Najpierw to, co najważniejsze...

Nie pozwolił jej się odezwać, dopóki nie przyniesiono kawy. Do tego czasu opowiedział jej o swojej wizycie na komendzie, choć przedstawił nieco inną od prawdziwej wersję, starając się stworzyć wrażenie, że policja była po prostu zaintrygowana artykułem w gazecie. Chcieli wiedzieć, nad czym Newman obecnie pracuje.

Przyszło mu też na myśl, że taki rzeczywiście mógł być prawdziwy powód wezwania go przez Tripeta.

- A teraz - zaczął, gdy Nancy opróżniła filiżankę do połowy - opowiedz mi własnymi słowami o tym telefonie. - Uśmiechnął się.

- Prawdę mówiąc, nie wiem, czyich też słów mogłabyś użyć...

- Nie wygłupiaj się. Strasznie byłam zdenerwowana. Teraz już mi trochę lepiej. Czy ktoś ci kiedyś mówił, że jesteś świetnym psychologiem?

- Nancy, przejdź do rzeczy - przypomniał delikatnie.

- Zadzwoił telefon i jakiś mężczyzna chciał rozmawiać z tobą.

Mówił po angielsku, ale jestem pewna, że nie był Anglikiem ani Amerykaninem. Miał taki chrypiący, środkowoeuropejski

akcent...

- Licho wie, co to znaczy.

- Bob! Przecież w Stanach mieszkają ludzie różnych narodowości. A ja nieźle odróżniam akcenty. Mogę mówić dalej?

Dobrze.

Powiedziałam mu, że w tej chwili cię nie ma, ale będziesz później, chociaż nie wiem dokładnie kiedy. Bardzo nalegał. Pytał, czy mam telefon, pod którym mógłby cię zastać. Mówił, że to pilne...

- Pilne dla niego - wtrącił Newman cynicznie.

- On mówił tak, jakby chodziło o coś niecierpiącego zwłoki - upierała się Nancy. - Był bliski paniki. Chciałam, żeby podał mi numer telefonu, pod którym możesz go znaleźć, ale nie zgodził się.

W końcu powiedział, że zadzwoni do ciebie później, ale prosił, żebym ci przekazała dziwną wiadomość; kazał mi powtórzyć, by się upewnić, że zapamiętałam...

- Jaką wiadomość?

- Podał swoje nazwisko. Chociaż bardzo niechętnie i tylko dlatego, że zagroziłam odłożeniem słuchawki, mówiąc że nie przyjmuję anonimowych wiadomości. Nazywa się Manfred Seidler.

Prosiłam, żeby przeliterował. I kazał ci powiedzieć, że za hojną opłatę może ci opowiedzieć wszystko o terminalu...

- O czym?

- Nie mówił o jaki terminal chodzi. Upewniłam się.

Powiedział po prostu: terminal...

Newman siedział i patrzył przed siebie. Był sam w pokoju.

Nancy wyszła kupić ciepłe buty. Podejrzewał, że zauważyła, iż eleganckie dziewczyny w Genewie noszą najmodniejszy fason botków, a ona nie zamierzała zostać w tyle.

Terminal.

Newman zaczął się zastanawiać, czy rozmowa z nadinspektorem Tripetem była naprawdę tak bezsensowna, jak mu się początkowo wydawało. Chwileczkę, mała poprawka. To była rozmowa Becka z nim

za pośrednictwem Tripeta. Co on takiego powiedział?

"Najbardziej chyba zafascynował mnie sposób, w jaki dostał się pan do pamięci tego terminalu". Tripet wyraźnie zaakcentował słowo "terminal" i uważnie obserwował wtedy reakcję Newmana.

A teraz ten tajemniczy Manfred Seidler proponuje, że opowie mu wszystko o terminalu. Co, do diabła, oznacza to słowo?

Tripet - Beck łączyli je z wyrafinowanym komputerem. Czy miała z tym coś wspólnego sprawa Krugera?

Kruger odsiadywał obecnie trzydziestoletni wyrok za przekazywanie tajnych informacji wschodnim Niemcom. Ale ta sprawa była zakończona, należała już do historii. Jaki sygnał chciał mu przekazać Beck? Czy w ogóle zamierzał mu coś przekazać? Bardziej prawdopodobne, że po prostu chciał się przekonać, czy jego przyjazd do Szwajcarii ma coś wspólnego z Terminalem. Cóż, nie ma. Może jednak po przyjeździe do Berna dobrze byłoby wstąpić do starego znajomego, Artura Becka, i powiedzieć mu, że wybrał niewłaściwą osobę. Właśnie wtedy, gdy Newman powziął to postanowienie, zadzwonił telefon. Bez namysłu podniósł słuchawkę, zakładając, iż to Nancy zamierza uprzedzić go, że wróci nieco później.

- Pan Robert Newman? Nareszcie. Mówi Manfred Seidler.

Rozdział 11

Bruno Kobler przyjechał do Genewy pociągiem ekspresowym z Berna. Przystanął na chwilę w hallu przy kasach. Kosztowny ciemny garnitur i płaszcz z wielbłądziej wełny rzeczywiście robiły wrażenie. Brązowych, przetykanych siwizną włosów nie nakrywał żaden kapelusz. Był gładko ogolony, miał ostro zarysowany nos i zimne niebieskie oczy, które Lee Foley zidentyfikowałby natychmiast. Były to oczy mordercy.

W prawej dłoni trzymał walizeczkę i czekał właśnie na dwóch ludzi, którzy przyjechali z Berna tym samym pociągiem, lecz w innych wagonach. Pierwszy pojawił się Hugo Munz,

trzydziestodwuletni szczupły mężczyzna, ubrany w dżinsy i kurtkę.

- Hugo - powiedział Kobler - ty obstawiasz Cointrin. Jedź tam od razu i wypatruj Newmana. Obejrzałeś sobie dobrze zdjęcie w gazecie, więc nie będziesz miał problemu z rozpoznaniem go.

Wątpię, żeby chciał gdzieś polecieć, ale gdyby tak było, to leć za nim. I melduj o wszystkim do Thun. - Spojrzał Munzowi w oczy. - I nie zgub go. Proszę.

Kobler patrzył, jak Hugo energicznym krokiem zmierza w stronę postojni taksówek. Chwilę później, przechadzając się, podszedł do niego drugi człowiek, Emil Graf. Graf całkowicie różnił się od Munza. Miał trzydzieści osiem lat, był niski i krępy, ubrany w kozuch. Kapelusz, którego połowa runda zagięta była w dół, prawie całkiem zakrywał jego blond włosy. Usta miał bardzo wąskie i rozmawiał z Koblerem jak równy z równym.

- A więc jesteście. Co mam robić?

- Zostań tutaj - odparł miłym głosem Kobler - i wypatruj Newmana. Jeśli zamierza opuścić Genewę, to, moim zdaniem, wybierze pociąg. Jedź za nim, na wypadek gdybym go nie spotkał.

Gdy się czegoś dowiesz, melduj do Thun.

Graf, niosąc w prawej ręce torbę z karabinem automatycznym -takich używała Armia Szwajcarska - odszedł w głąb dworca. Kobler wydał swe dyspozycje w sposób przemyślany. Graf był bardziej rzetelny i mniej porywczy od Munza. Dla siebie, jak można się było spodziewać, Kobler zachował najbardziej podstępne zadanie. Wyszedł na zewnątrz, złapał taksówkę i szorstkim, pewnym siebie głosem polecił kierowcy:

- Do hotelu des Bergues...

W czasie krótkiej podróży do hotelu Kobler zdążył zapomnieć o swych dwóch współpracownikach. Jak przystało na pierwszej klasy menedżera, skoncentrował się na tym, co miał zrobić. Przebył długą drogę do obecnego stanowiska, ale teraz był jedynym człowiekiem, do którego szef miał bezgraniczne zaufanie i przez którego ręce przechodziły rocznie miliony franków.

Kobler prezentował typ człowieka władczego. Podobał się

kobietom w każdym wieku, bo wyczuwały jego wewnętrzną siłę.

Gdziekolwiek się pojawił: w Klinice, laboratorium czy fabryce chemikaliów, potrafił wydawać polecenia. Słuchali go wszyscy, tak jakby instrukcje pochodziły od samego szefa. Płacono mu za to czterysta tysięcy franków rocznie.

Nigdy się nie ożenił, poświęcając życie pracy. W wielu miastach miał kochanki, które dobierał według dwóch kryteriów: po pierwsze, musiały przekazywać mu poufne informacje na temat firm, dla których pracowały; po drugie, musiały być atrakcyjne w łóżku. Los naprawdę mu sprzyjał - nie zamieniłby się z żadnym człowiekiem.

Kobler odbył obowiązkową służbę zasadniczą w wojsku. Był doświadczonym strzelcem i w razie nadejścia tamtych z północnego wschodu miał być powołany do służby w charakterze snajpera. Właściwie i wcale nie "w razie", ale "gdy tylko" nadejdzie Armia Czerwona.

Już wkrótce Szwajcarzy będą naprawdę gotowi na ich przyjęcie.

Gdy taksówka zatrzymała się przed hotelem des Bergues, Kobler szybko otrząsnął się z zamyślenia i skupił na chwili obecnej.

- Nie znam żadnego Manfreda Seidlera, zakładając oczywiście, że to pańskie prawdziwe nazwisko - burknął Newman do słuchawki. Automatycznie przestawił się na dziennikarski sposób zachowania - by się skutecznie bronić, zawsze podaj coś w wątpliwość.

- Naprawdę nazywam się Seidler - kontynuował głos po niemiecku - a jeśli jest pan zainteresowany, co zawierała specjalna przesyłka zza wschodniej granicy przeznaczona dla KB, to powinniśmy się spotkać. Ta informacja będzie sporo kosztować...

- Nie bawię się w zgaduj-zgadulę, Seidler. Podaj jakieś konkrety.

- To ma związek z Terminalem... daj jakieś

Słowo to zawisło w powietrzu. Newman, sam w pokoju, poczuł ucisk w żołądku. Musi tę sprawę umiejętnie rozegrać.

- Sporo, to znaczy ile? - spytał znudzonym głosem.

- Dziesięć tysięcy franków.

- Rozumiem, że pan żartuje. Nikomu nie płacę takich sum.

- Ludzie umierają, panie Newman - mówił Seidler coraz bardziej porywczo - tu, w Szwajcarii. Mężczyźni i kobiety. Nic to pana nie obchodzi? To, co się dzieje, jest przerażające.

- Skąd pan dzwoni? - spytał Newman po chwili milczenia.

- W ten sposób nic pan ze mnie nie wyciągnie...

- To proszę powiedzieć, czy jest pan teraz w Szwajcarii. Nie zamierzam na razie stąd wyjeżdżać. I raczej niewiele mam czasu.

- Owszem, w Szwajcarii. O cenę możemy się potargować. Ale najważniejsze, żebyśmy spotkali się jak najszybciej. Ja wyznaczę miejsce.

Newman już podjął decyzję, bo w czasie rozmowy cały czas intensywnie rozważał sytuację. Był przekonany, że z jakiegoś powodu Seidlerowi bardzo zależy na spotkaniu z nim. Złamał więc żelazną zasadę, aby nigdy nie zdradzać swoich zamiarów.

- Słuchaj, Seidler, wkrótce jadę do Berna. Zatrzymam się w hotelu Bellevue Palace. Zadzwoń tam do mnie, to porozmawiamy.

- Żebyś miał czas mnie sprawdzić? Zapomnij o tym...

- Jestem pod wrażeniem tego, co powiedziałeś. - Mówił ostro, okazując poirytowanie. - Albo zadzwonisz do Bellevue Palace, albo nic z tego. Chyba że dasz mi swój numer telefonu?

- A więc zadzwonię...

Seidler przerwał połączenie, a Newman powoli odłożył słuchawkę. Jego rozmówca zaniepokoił go wzmianką o dwóch sprawach.

Pierwsza dotyczyła "wschodniej granicy". Której? Jakoś nie wydawało mu się, żeby Seidler miał na myśli granicę szwajcarską.

A to mogło oznaczać, że z Terminalem wiąże się niebezpieczeństwo

na skalę międzynarodową.

No i jeszcze ten skrót, o który Newman celowo nie pytał przez telefon. KB. Klinika Berneńska? Te uwagi o umierających ludziach zignorował zupełnie, traktując je jako podchwytliwy bluff. Słowa te coraz bardziej go niepokoiły.

Początkowo uznał Seidlera za zwykłego handlarza informacjami -reporterzy często mieli z takimi do czynienia - ale stopniowo wyczuł w jego zachowaniu obawę, silny strach i nagłą gotowość uciekiniera.

- W co ja się wpakowałem? - myślał na głos.

- Powiedz mi...

Odwrócił się i zobaczył Nancy opartą o drzwi, które przekroczyła bezszelestnie. Poruszała się jak kot, o czym przekonał się już niejednokrotnie.

- Seidler zadzwonił, gdy ciebie nie było - odparł Newman.

- Widzę, że cię zmartwił. Co się dzieje, Bob?

- Próbował mnie naciągnąć. Zdarza się - powiedział beztrąsko. - Cieszę się, że wróciłaś. Jedziemy do Berna pociągiem o jedenastej pięćdziesiąt sześć. To ekspres, nigdzie się nie zatrzymuje...

- Muszę jeszcze wyskoczyć na chwilę. - Zerknęła na zegarek.

- Zainteresowały mnie pewne perfumy. Jestem już spakowana, mam więc czas. Wracam za dziesięć minut.

- Musisz się pospieszyć. Biegasz jak kot z pęcherzem, w tę i z powrotem. A ja nie chcę się spóźnić na ten pociąg, Nancy.

- Więc wykorzystaj ten czas na uregulowanie rachunku. Zaraz wracam...

- Panie Kobler - recepcjonista przywitał wchodzącego mężczyznę. - Miło znowu pana widzieć w naszym hotelu.

- Wcale mnie tu nie widziałeś. Czy zatrzymał się tu Robert Newman?

- Jest w swoim pokoju. Czy mam do niego zadzwonić?

- Nie w tej chwili.

Kobler omiół wzrokiem wnętrze restauracji Pavillon, zanim

do niej wszedł. Usiadł przy stoliku, skąd bez przeszkód przez oszklone drzwi mógł widzieć recepcję. Zamówił kawę, zapłacił od razu i czekał.

Taksówka, którą przyjechał tu z dworca, wciąż stała przed hotelem. Sowiec opłacił kierowcę i polecił, by na niego czekał. Do restauracji weszła właśnie dziewczyna o tycjanowskich włosach, ubrana w krótkie futerko, dzinsy i długie do kolan botki; Kobler przyglądał się rudej piękności.

Ich spojrzenia spotkały się, a gdy dziewczyna przechodziła obok jego stolika, błysnęła w jej oczach iskierka zainteresowania.

Tycjanowska piękność również usiadła tak, by móc obserwować recepcję.

Miło wiedzieć, pomyślał Kobler, nie wypadłem jeszcze z gry. Tym jednym przeciągłym spojrzeniem oszacowała naturalnie jego dochody. Ale nie było to spojrzenie prostytutki. Po prostu kobiety.

Pół godziny później Kobler dostrzegł wynoszącego bagaż portiera; za nim szła atrakcyjna dziewczyna, a dalej Newman.

Wstał więc, włożył płaszcz, i wyszedł z hotelu akurat w chwili, gdy Newman wsiadał do taksówki. Spojrzał jeszcze w lewo, omiótł wzrokiem chodnik i na moment znieruchomiał. Wsiadając do swojej taksówki, polecił kierowcy jechać za samochodem Newmana.

Nie zauważył jednak wówczas istotnego zdarzenia.

Drzwiami prowadzącymi z restauracji wprost na ulicę wyszła dziewczyna o tycjanowskich włosach, którą Kobler wcześniej podziwiał. Pobiegnęła za róg, wsiadła na zaparkowany tam skuter, kopnęła starter i pognęła za Koblerem.

W lutowe południe we wtorek ruch na Cornavin Gare, głównym dworcu w Genewie, był niewielki. Kobler zapłacił taksówkarzowi, zwolnił go i udał się za Newmanem i ekskluzywnie ubraną kobietą do hali dworcowej. Stanął na boku i patrzył, jak do akcji wkracza Emil Graf, który stanął w kolejce po bilety zaraz za Newmanem.

Przed nimi były jedynie dwie osoby, gdy tylko więc Emil

kupił bilety, podszedł do Koblera.

- Wziął bilet w jedną stronę do Berna, a właściwie dwa bilety.

Ja też kupiłem dwa, na wypadek gdyby pan chciał...

- Chcę. A dokąd?

- Do Zurychu. Ten pociąg jedzie tam.

Kobler w duchu pogratulował sobie wyznaczenia Grafa do akcji na dworcu. Wziął od niego swój bilet i wsunął do portfela z krokodylej skóry.

- Ale dlaczego do Zurychu, Emilu, skoro Newman jedzie do Berna?

- Dziennikarze lubią bawić się w podstępny. Tak naprawdę jego celem może być Zurych.

- Doskonale. Widzisz tego małego faceta w śmiesznym tyrolskim kapeluszu, tam przy kasie? To Nagy. Zalicza się do mętów społecznych.

Kiedyś policja wyrzuciła go z Berna. Śledził Newmana od samego hotelu. - Zerknął na zegarek. - Teraz nim się zajmiesz. Masz być jego cieniem. Zaczekaj na odpowiednią chwilę i dopadnij go gdziekolwiek bądź: w toalecie w pociągu albo w jakiejś uliczce w mieście i dowiedz się, dla kogo pracuje. Jeśli będzie trzeba, możesz mu połamać parę kości. Wystrasż go do nieprzytomności, a potem zwerbuj dla nas.

Niech dalej śledzi Newmana i informuje o wszystkim ciebie.

- W porządku.

Kobler podniósł z ziemi swoją walizeczkę i popatrzył za oddalającym się z torbą na ramieniu Grafem. Zawartość tej torby mogła się okazać przydatna do uzmysłowienia Nagyemu, co mu się bardziej opłaca. Kobler sprawdził tablicę odjazdów i skierował się na peron, z którego za pięć minut odjedzie ekspres do Zurychu.

Siedzący w kącie i osłonięty gazetą Lee Foley z zainteresowaniem przyglądał się poszczególnym wydarzeniom. Wyprowadził się z hotelu des Bergues zaledwie pięć minut przed

Newmanem i Nancy zakładając, że dzięki temu zdąży zająć na dworcu odpowiednie miejsce. Gdy tylko kupił bilet pierwszej klasy do Berna, zajął punkt obserwacyjny, z którego mógł widzieć wszystkie okienka kasowe.

Kiedy Kobler odszedł, Foley zwinął gazetę, wcisnął ją do kieszeni płaszcza i zabrawszy torbę ruszył w kierunku tego samego peronu.

Nikt jednak, łącznie z Foleyem, nie dostrzegł dziewczyny o tycjanowskich włosach. Tragarz wstawił jej skuter do wagonu bagażowego. Ona sama też wsiadła do pociągu, który zaraz ruszył z miejsca.

Rozdział 12

Berno! Miasto jedyne w swoim rodzaju nie tylko w Szwajcarii, ale i w całej Europie Zachodniej. Już sama jego topografia jest przedziwna. Ma kształt skierowanego na wschód długiego półwyspu, otoczonego wijącą się rzeką Aare; na jednym jego krańcu znajdują się dworzec główny i Uniwersytet, a na drugim - przecinający rzekę most Nydegg.

Szerokość obszaru, jaki zajmuje Berno, jest równa zaledwie jednej czwartej jego długości. W wielu punktach miasta można zostawić rzekę za sobą i idąc w poprzek półwyspu po niecałych dziesięciu minutach marszu stwierdzić, że wijąca się Aare znów przecina drogę.

Berno było niegdyś fortecą. Zbudowane na gigantycznej skarpie, wznosi się wysoko nad otaczającą je okolicą. Tuż za Terrasse, za budynkiem Parlamentu zbocze wzgórza opada stromo w dół.

Poniżej przyklasztornego ogrodu Plattform koło Munsteru ogromne wały obronne wznoszą się nad przepaścią o głębokości około pięćdziesięciu metrów, w dole której leży ulica Bad. W dali wije się rzeka Aare, wypływająca z jeziora Thun.

Najwyższą wysokość skarpy osiąga w pobliżu Parlamentu i

dworca kolejowego. Równoległe do siebie uliczki wiodą w kierunku wschodnim i opadają w kierunku Nydeggbucke.

Berno jest bardzo, bardzo stare. Munster sięga początkami roku 1421. A ponieważ od wieków nie dotknęła tego miasta klątwa wojny, trwa w nie zmienionym stanie. Jest wymarzonym miejscem dla ludzi, którzy lubią się kryć jak krety w swych ziemnych korytarzach. Po obu stronach uliczek ciągną się sklepione arkady, stanowiące swego rodzaju kryjówki i tworzące prawdziwy labirynt.

Można pod nimi spacerować w najgorszą nawet pogodę, nie obawiając się śniegu ani deszczu.

Po zapadnięciu zmroku, a nawet w dzień, gdy niebo jest przesłonięte ciemnymi chmurami, miasto wygląda trochę złowieszczo. Niewielu ludzi można wtedy spotkać pod kamiennymi arkadami Munstergasse, która dalej, już jako Junkergasse, ciągnie się aż do Nydeggbucke. Wszystkie zresztą ulice kończą się przy moście.

W poprzek miasta przebiega sieć wąziutkich uliczek, ale tam też rzadko spotyka się spacerujących. A kiedy nad Aare opadnie mgła, pod arkady wciska się zadymione powietrze, co jeszcze wzmaga atmosferę zagrożenia.

A jednak w Bernie, głównie w pobliżu Bellevue Palace, mieszczą się ośrodki władzy, których poglądy niekoniecznie zgadzają się z bankierami. Szwajcarski Wywiad Wojskowy, Policja Federalna, w której znaczące stanowisko zajmuje Artur Beck, mają swoje siedziby w sąsiedztwie lub kilka minut drogi od jednego z największych hoteli w Europie.

Uważny obserwator dostrzeże na dworcu kolejowym, że właśnie w Bernie styka się niemiecka część Szwajcarii z francuską. Dworzec nazywa się Bahnhof/Gare. Przy wejściu na perony wisi tabliczka informująca, że po lewej znajduje się Voie, a po prawej Gleis.

Ekspres z Genewy przyjechał punktualnie o pierwszej pięćdziesiąt osiem.

Newman, siedzący przy oknie na wprost Nancy, przez całą

drogę z Genewy nie ruszał się z miejsca. Patrzył przez szybę pędzącego w kierunku Lozanny ekspresu na pokryte śniegiem pola.

Ostry, odbijający się od śniegu blask słońca raził go w oczy, tak że często musiał odwracać wzrok.

- Nie jedziemy non-stop, tak jak myślałem - powiedział do Nancy. - Zatrzymujemy się w Lozannie, we Fryburgu i dopiero potem w Bernie.

- Masz bardzo poważną minę, pełną skupienia. Czyba w Genewie wydarzyło się zbyt wiele?

- Mów ciszej. - Pochylił się w jej kierunku. - Najpierw wizyta na policji, a potem ten telefon. Sporo jak na jeden rano...

Przezornie nie powiedział Nancy o tym, że widział, jak Julius Nagy wsiada zaraz za nimi do wagonu drugiej klasy. Dla kogo właściwie Nagy pracował? Newmana nurtowało to pytanie. Ale przynajmniej byli już w drodze do Berna. Przy pierwszej sposobności pójdzie do Becka i porozmawia z nim. Jeśli ktokolwiek by mógł, lub choć byłby skłonny powiedzieć mu, co się tu dzieje, to tym kimś z pewnością jest Beck.

Kilka rzędów dalej, twarzą zwróconą do Nancy, siedział Bruno Kobler. Nie chcąc, by ktoś obok niego usiadł, położył na sąsiednim fotelu swą walizeczkę. Kobler też widział, że Nagy wsiada do pociągu. Miał jednak nadzieję, że Grafowi uda się przekonać czy też zmusić małego sługusa, by zmienił pracodawcę.

Kobler wyglądał dokładnie jak typowy szwajcarski businessman, nie zwrócił więc na siebie uwagi ani Newmana, ani Nancy. Był jednak ktoś, kto dostrzegł, że Kobler interesuje się reporterem i jego narzeczoną, choć sam pozostał przez niego nie zauważony.

Lee Foley zajął miejsce w części dla niepalących, oddzielonej od reszty wagonu przeszkłonymi drzwiami. Zanim dojechali do Lozanny, Foley dwukrotnie wstawał i nie spiesząc się wyjmował czasopisma z leżącej na półce torby.

Tylko Foley mógł obserwować wszystkich. Przez szklane drzwi

widział ponury wyraz twarzy Newmana wpatzonego w krajobraz za oknem. Dostrzegł także przelotne spojrzenia mężczyzny wyglądającego na businessmana - były one skierowane na Newmana i siedzącą na wprost Nancy. Foley zapamiętał sobie tę brutalną twarz.

Ale to nie wszystko. W kątku przedziału dla palących pojawiła się postać Nagyego, który zajął do środka. Tylko na chwilę. Tuż za nim stanął niski, krępy mężczyzna. Foley dostrzegł zaskoczenie, jakie odmalowało się wtedy na twarzy Nagyego. Obaj mężczyźni zniknęli w toalecie. Foley podjął natychmiastowe działanie.

Patrząc prosto przed siebie, przemierzył przedział dla palących, wyszedł, poczekał aż automatyczne drzwi zamkną się za nim i stanął przed toaletą nasłuchując. Dobiegały stamtąd zduszone odgłosy. Nacisnął kilkakrotnie klamkę, po czym cofnął dłoń. Nie mógł za bardzo manifestować swojej obecności, wrócił więc na miejsce.

W toalecie tymczasem Graf jednym ramieniem mocno otaczał szyję Nagyego, drugą ręką zaś wyciągał karabin z torby. W końcu przechylił małego człowieczka do tyłu nad umywalką, a pod brodę wcisnął mu lufę. Nagyemu oczy niemal wyszły z orbit, tak był przerażony.

- Możesz zostać wyrzucony z tego pociągu. W końcu ludzie wypadają czasem z ekspresów. Chyba że powiesz mi, ale natychmiast, bo drugiej szansy już ci nie dam, dla kogo pracujesz.

Wiemy, że śledzisz Newmana...

- To ci się nie uda - wycharczał Nagy.

- Powiedziałem, natychmiast...

Nagy usłyszał kliknięcie i domyślił się, że to bezpiecznik karabinu. Niewiele brakowało, a narobiłby w spodnie. Szkliste, bezwzględne oczy napastnika przerażały go jeszcze bardziej niż broń.

- Nie mogę mówić... - Żelazny chwyt na gardle rozluźnił się,

lecz tylko odrobinę. - Tripet - odezwał się Nagy. - Śledzę

Newmana... dla Tripety...

- A kim, do diabła, jest Tripet? - spytał cicho Graf, nie spuszczać wzroku z Nagyego.

- To nadinspektor z Surete W Genewie. Już nie raz dla niego pracowałem. Węszę dla niego.

Nagy, człowiek, którym wszyscy pogardzali, którym się posługiwali, miał jednak swoje zasady. Postanowił nie wydać Pierrea Jaccarda z "Journal de Geneve". Reporter obiecał mu sporo pieniędzy i zawsze dotrzymywał słowa. A dla Nagyego zaufanie było wartością bezcenną.

- A więc - oznajmił Graf - zapomnisz o tym Tripecie. Od tej chwili pracujesz dla mnie. Zamknij się i słuchaj. Będziesz dalej robił to, co do tej pory, czyli śledził Newmana. I będziesz dzwonił do mnie pod ten numer... - Graf wcisnął do kieszeni Nagyego kartkę papieru. - Bez względu na to, kto odbierze, podaj swoje nazwisko i zdaj relację z poczynąń Newmana - gdzie chodzi, z kim się spotyka. Zapłacę ci... - Do tej samej kieszeni wcisnął kilka zwiniętych banknotów. - Najpierw, jak tylko Newman wysiądzie, sprawdź, gdzie się zatrzymał i znajdź sobie jakiś nocleg. Potem zamelduj się pod ten numer, podaj adres i telefon...

- Zrozumiałem... - wychrypiął Nagy przez ściśnięte gardło.

Graf, choć już go puścił, wciąż trzymał na muszce. - Zrobię, co kazałeś...

- Mogłaby ci przyjść ochota zmienić zdanie, gdy sobie wszystko przemyślisz - ciągnął Graf tym samym obojętnym tonem, który działał tak denerwująco na Nagyego. Chryste! Przecież ta świnią prawie go zamordowała. - Ale nie rób tego - ostrzegł Graf. - Jeden z moich ludzi będzie miał cię na oku. Nie zauważysz go. Jest bardzo porywczy i niezbyt delikatny. Gdy tylko zacznie mu się wydawać, że działasz na własną rękę, zniszczy cię. Mam nadzieję, że rozumiesz to, Nagy?

- Rozumiem...

Pogarda dla jego godności osobistej rozdrażniła Nagyego -bądź co bądź napadnięto go w toalecie. Graf, który nie potrafiłby zrozumieć sposobu rozumowania małego człowieczka, znieważył i zastraszył go w inny jeszcze sposób. Przed wyjściem z toalety wepchnął mu do ust mydło.

Za Lozanną pociąg skręcił na północ w kierunku Fryburga, oddalając się od jeziora. Nagy siedział wtedy w wagonie drugiej klasy, a w ustach wciąż czuł smak mydła. Miał zamiar odpłacić pięknym za nadobne tym nowym pracodawcom, wszystko jedno kim są. Zawziął się i zrobi to. Śniegu było tu więcej na polach - jadąc na północ, pociąg przemierzał tereny położone wyżej. Zatrzymał się we Fryburgu, po czym rozpoczął ostatni etap podróży - do Berna. Newman wciąż się nie odzywał. Gdy wjechali na dworzec berneński, reporter wstał, by zdjąć walizki z półki. Kobler zdążył już opuścić wagon i stał przy drzwiach. Chyba jako pierwszy wysiadł z ekspresu.

Z następnego wagonu wysiadł pośpiesznie Nagy. Płaszcz przewiesił przez ramię, kapelusz wcisnął w rękaw. Teraz nie można go było rozpoznać na pierwszy rzut oka. Gdy szedł za Grafem, oczy błyszczały mu nienawiścią. W prawej ręce trzymał mały aparat fotograficzny marki Voigtlander, z którym się nie rozstawał.

Przed Grafem energicznym krokiem szedł wyprostowany Kobler z walizeczką w prawej ręce. Zbiegł po schodach, a za nim pośpieszył Graf. Przed dworcem czekał na niego Mercedes 450 SEL z kierowcą;

Kobler zatrzymał się na chwilę i postawił kotnierz, by ochronić się przed zimnem. Graf dogonił go i stanął tuż obok, udając, że rozgląda się za taksówką.

- Podporządkował się - zameldował Koblerowi. - Jest nasz...

- Jesteś pewien?

- Tak. Był przerażony do nieprzytomności...

Tylko jeden człowiek dostrzegł tę krótką wymianę zdań. Nagy uniósł swój mały aparat i pstryknął w momencie, gdy Kobler odwrócił się do Grafa, by lepiej słyszeć. Potem Kobler podszedł do samochodu, przy którym już czekał szofer, otwierając przed nim

drzwi. Nagy pstryknął ponownie. Następnie zapisał numer rejestracyjny na kawałku papieru, który Graf wetknął mu do kieszeni. Zanim Graf się odwrócił, a mercedes odjechał, Nagy zniknął w budynku dworca.

Dwaj ludzie ubrani po cywilnemu obserwowali wyjście z peronu, na który wjechał ekspres do Zurychu, ale nie zauważyli Lee Foleya. Amerykanin przeszedł tuż obok nich ubrany w typowo angielski kraciasty płaszcz, który kupił w Londynie.

Charakterystyczne siwe włosy skrył pod czapką z daszkiem wciągniętą głęboko na czoło. Okulary w rogowej oprawie - szkła nie były korekcyjne - nadawały mu wygląd naukowca.

Foley opuścił dworzec w tłumie innych pasażerów, którzy wysiedli z tego samego pociągu. Minął postój taksówek i z walizeczką w lewej ręce podążył w dół wąziutką Neuengasse. Po drodze zatrzymał się na chwilę przed wystawą sklepową, wykorzystując szybę jako wsteczne lustro.

Z zadowoleniem stwierdził, że nikt za nim nie idzie, i ruszył w dalszą drogę do pobliskiego hotelu Savoy. Szybko wszedł do środka. Jedno pomieszczenie służyło jako westybul i hall. Gdy recepcjonistka dostrzegła Foleya, on już wypełniał formularz meldunkowy w trzech egzemplarzach; jeden z nich miał później trafić na policję.

- Miał być tu przygotowany dla mnie pokój. Zarezerwowałem go telefonicznie z Genewy.

- Numer 230. Dwuosobowy.

Dziewczyna rozejrzała się, poszukując wzrokiem drugiej osoby.

Foley pokazał swój paszport, po czym wsunął go do kieszeni.

Podniósł z podłogi torbę.

- Zawołam portiera...

- Nie trzeba. Czy jest tu winda?

Wjechał na górę, odnalazł swój pokój, rzucił torbę na łóżko i usiadł przy telefonie, czekając aż zadzwoni.

Siedząc przy biurku Artur Beck jadł ostatnią kanapkę z

szynką, których kilka przygotowała mu na sposób angielski jego sekretarka.

Zdaniem Becka, książkę Sandwich był jedną z najważniejszych postaci historycznych, jakie wydała Brytania. Beck upodobał sobie ten rodzaj kanapek w czasie pobytu w Londynie, gdzie wykonywał pewne zadanie wspólnie ze Scotland Yardem. Pił kawę, kiedy zadzwonił telefon. Odezwiał się człowiek mówiący po niemiecku.

- Mówi Leupin, sir. Jestem na dworcu. Newman przyjechał o pierwszej pięćdziesiąt osiem ekspresem z Genewy. Towarzyszy mu kobieta. Sądząc po ubraniu, jest Amerykanką. Marbot jechał za nimi do Bellevue Palace, gdzie zakwaterowali się przed dziesięcioma minutami.

- A co z Lee Foleyem?

- Nie widzieliśmy nikogo, kto odpowiadałby jego rysopisowi, choć obaj obserwowaliśmy wszystkich pasażerów.

- Dziękuję ci, Leupin. Pilnuj dalej pociągów z Genewy.

- Marbot już do mnie jedzie.

Beck odłożył słuchawkę i kończąc sandwicza pogрузzył się w myślach. Co do jednego miał rację: Newman przyjedzie do Berna.

Martwił go jednak wcześniejszy telefon od nadinspektora Tripeta. Okazało się, że Newman nie zareagował zupełnie na wzmiankę o Terminalu. Czy to możliwe, że pracuje nad czymś całkowicie innym? Beck był przekonany o jednym: zna Newmana. Ten dziennikarz nie przyjechał do Berna na wakacje. Był typem pracoholika i nigdy nie przestawał rozglądać się za ciekawym tematem.

Najbardziej jednak martwił Becka fakt, że w Bernie nie pojawił się Foley. Choć może raczej należałoby powiedzieć, że nikt nie zauważył Foleya. A jeśli ten człowiek rzeczywiście prześliznął się przez zastawioną sieć, znaczy to, że po mieście grasuje niebezpieczny wilk. Beck postanowił zadzwonić do Nowego Jorku.

Lee Foley podniósł słuchawkę po drugim dzwonku. Trzymał ją przy uchu i czekał. W głosie po drugiej stronie brzmiała

niecierpliwość.

- Czy to pan Lee Foley?

- Przy telefonie. Jestem na miejscu. Słuchaj, do ciebie należy pierwszy ruch. Musisz pojechać, wiesz gdzie, i zbadać sytuację.

A potem zamelduj się jak najszybciej. Nie, posłuchaj. Sprawdź, czy to miejsce jest strzeżone. Ważny jest każdy szczegół. Wkroczę do akcji, gdy będę znał wszystkie fakty. Jeśli okaże się to niezbędne, rozpętam piekło. Dobrze wiesz, że mam do tego nieprzeciętne zdolności...

Foley przerwał połączenie i podszedł do okna wychodzącego na mały zaułek. Właśnie na nim zacząłby się doświadczony obserwator, żeby mieć na oku hotel Savoy. Uliczka była pusta.

Newman właśnie odkładał słuchawkę, gdy Nancy weszła do małego przedpokoju. Zamknęła za sobą drzwi i wkroczyła do sypialni. Na jej twarzy malowało się zamyślenie.

- Bob, do kogo dzwoniłeś?

- Do twojej ukochanej służby hotelowej; chciałem zamówić butelkę wody mineralnej. Wiesz, że dużo piję, szczególnie w nocy. Ale chyba są bardzo zajęci i będę musiał zadzwonić jeszcze raz za chwilę. Przypomniało mi się, że nie pokazałaś mi jeszcze tych perfum od Gucciego, po które wybiegłaś przed wyjazdem z hotelu des Bergues.

- Tioila! - Wyciągnęła buteleczkę z torebki. - Powinieneś być je poczuć już w pociągu. Nie sądzisz, że to piękny pokój?

Dostali pokój numer 428. Do łazienki wchodziło się z przedpokoju. Toaleta była w osobnym pomieszczeniu. Sam pokój był prawdziwie wytworny - ogromny, z dwoma wygodnymi fotelami i biurkiem przy wielkim oknie, gdzie Newman mógł pracować.

Dwa duże łóżka były zestawione, tworząc łożo małżeńskie. Nancy rzuciła się na jedno z nich.

- Bob, ono jest cudowne. Moglibyśmy mieszkać tu całymi miesiącami...

- Może będziemy. Chodź, zobacz jaki stąd widok. Numerowy

niebawem się nim zachwycił i miał rację.

Stali przy oknie; Newman obejmował ją w talii, a Nancy mruzczyła zadowolona. Otworzył okno. Do pokoju, w którym było gorąco jak w saunie, wdarło się chłodne powietrze.

- To wzgórze pokryte śniegiem, tam za rzeką, to Bantiger - wyjaśnił. - Jeśli chmury przesuną się w lewo, to odsłonią najpiękniejszą panoramę łańcucha Bernese Oberland. Słuchaj - zaczął rzeczowym tonem - zaraz wynajmę samochód od Hertza. To tuż obok. Pojedziemy do Kliniki Berneńskiej w Thun.

- Tak po prostu? - lekarskie zwyczaje wzięły w niej górę. - Chyba powinniśmy zadzwonić i umówić się na odwiedzin u Jessea.

- Nic z tych rzeczy. Pojedziemy bez zapowiedzi. Jesteś nie tylko krewną, lecz także lekarką. Razem możemy ich zastraszyć i dostaniemy się do środka. Może przyłapiemy kogoś w akcji...

- Naprawdę uważasz, że to dobry pomysł?

- Dokładnie tak zrobimy. Ale najpierw zjemy szybki lunch.

- Bob, tu są trzy restauracje. Jedna to przepiękna sala z widokiem na taras, tam w dole. Jest też grill room i kawiarnia.

- Pójdziemy do kawiarni. Tam zjemy szybko. Musimy działać zanim wszyscy dowiedzą się o naszym przyjeździe. Nie zapominaj o tym przeklętym artykule.

- Muszę poprawić swoją urodę - powiedziała siadając przed toaletką. - Widziałeś tego Anglika w recepcji, który meldował się przed tobą? Siedziałam wtedy na sofie i zauważyłam, że obejrzał się na ciebie.

- Pewnie widział moje zdjęcie w gazecie...

Newman mówił obojętnym tonem, by Nancy zapomniała o tym zdarzeniu. Znał człowieka, o którym wspomniała. Wiedział nawet jak się nazywa, ale jego obecności nie przypisywał żadnego znaczenia, dopóki Nancy mu o nim nie przypominała.

Newman czekał cierpliwie aż Anglik, który odrzucił pomoc recepcjonistki przy meldowaniu się, sam wypełni formularz. Był to szczupły mężczyzna z małym wąsikiem ubrany w krótki płaszcz z wielbłądziej wełny. Mógł mieć niewiele ponad trzydzieści lat.

- Portier zanieś pański bagaż do pokoju, panie Mason

- poinformowała recepcjonistka oddając mu paszport.

- Dziękuję - odparł Mason. Wziął paszport, hotelowy folderek

i odszedł w stronę portiera.

Teraz Newman przypomniał sobie, że zanim Mason odszedł od kontuaru, spojrzął na niego przez ramię i obrzucił go krótkim, taksującym spojrzeniem. Na to wspomnienie zmarszczył brwi;

Nancy przypatrywała mu się szczerząc wargi.

III - Znasz tego człowieka, który stał przy ladzie recepcji?

- Nigdy go nie widziałem. Jesteś gotowa? To będzie krótki lunch. Muszę jeszcze wynająć samochód, a jazda do Thun wymaga pół godziny drogi autostradą.

- Skąd wiesz?

- Spytałem recepcjonistę, kiedy oglądałaś tę wielką salę bankietową. Dziś wieczorem będzie tam pokaz mody.

- A za kilka dni bankiet z okazji kongresu medycznego.

- I co z tego? - spytał zauważając drobną zmianę jej tonu.

- Nic - odparła. - Chodźmy coś zjeść.

Siedząc na łóżku w swoim pokoju Mason wykręcał numer, który miał go połączyć bezpośrednio z Tweedem. Wciąż był pod wrażeniem tego, jak znakomicie i szybko działa telekomunikacja na kontynencie, pod warunkiem oczywiście, że dzwoniło się ze Szwecji, Niemiec czy Szwajcarii.

- Słucham - rozległ się głos Tweeda. - Kto mówi?

- Mason. Jaka pogoda w Londynie? Tutaj jest minus trzynaście stopni.

- U nas minus dwanaście...

W ten sposób nie tylko nawzajem potwierdzili swoją tożsamość, ale Mason dowiedział się też, że Tweed jest sam i nie stoi nad nim Howard.

- Właśnie zakwaterowałem się w Bellevue Palace - zameldował krótko. - Po drodze tutaj skoczyłem na trochę do Zurychu, żeby zebrać informacje. O Grangeu. - Bardzo szybko wypowiedział to nazwisko.

- Wyrażaj się poprawnie po angielsku - upomniał go Tweed. -

A więc zatrzymałeś się w Zurychu. Co dalej.

- Sporządziłem małe dossier tego faceta. Nie było łatwo.

Szwajcarscy lekarze mają buzie zamknięte na kłódki, gdy tylko wymieni się jego nazwisko. W Zurychu znalazłem amerykańskiego lekarza, który puścił trochę pary z ust. Do diabła, nasz obiekt to niezła szycha. Ma w tym kraju ogromną władzę. Jest u szczytu kariery. Mam ci wszystko streścić?

- Nie przez telefon - rzucił szybko Tweed, wiedząc, że rozmowę łączy hotelowa centralka. - Niedługo sam tam przyjadę.

Rozglądaj się dyskretnie. I nie pokazuj się w pobliżu Ambasady Brytyjskiej.

- Jeszcze jedno - dodał Mason. - Tylko nie wyobrażaj sobie za dużo. Tuż po mnie meldował się tutaj Robert Newman, ten znany dziennikarz. Jest z nim żona. Nie wiedziałem, że on jest żonaty...

- Bo pewnie nie jest. Przecież wiesz, jakie swobodne życie prowadzą ci dziennikarze - rozmarzył się Tweed. - Szukaj dalej.

I nie ruszaj się z Berna.

Tweed odłożył słuchawkę i spojrzał na Monikę, która układała teczeki.

- Właśnie dzwonił Mason z Bellevue Palace. Ma informacje na temat profesora Armanda Grangea z Kliniki Berneńskiej. Jest coś w komputerze? Zakładając oczywiście, że ta cholerna maszyna działa...

- Działa. Sama sprawdzałam. Ale nic nie ma. Próbowałam znaleźć coś w dziale "medycyna", lecz bez skutku. Potem przejrzałam "przemysł", bo Grange jest właścicielem fabryki chemicznej, ale też nic. Zajrzałam nawet do "bankierów". I znowu nic. Ten człowiek jest owiany tajemnicą. Zastanawiałam się nawet, czy on w ogóle istnieje.

- Cóż, przynajmniej mam decydujący argument. - Tweed znów polerował swe okulary zniszczoną jedwabną chusteczką;

Monika przyglądała mu się spod oka. Szeffel wciąż dotykał

palcami szkieł. - Jadę do Berna - powiedział. - To już tylko kwestia ustalenia właściwego czasu. Zamów mi bezpośrednie loty do Zurychu Swissairem. Jeśli nie polecę najbliższym, zarezerwuj następny. Zdecyduję się pewnie w ostatniej chwili.

- Na co pan czeka? - spytała Monika.

- Na rozwój sytuacji. Na jakiś błąd tamtej strony. Musi się w końcu zdarzyć. Przecież nikt nie jest doskonały. Nawet ktoś tak bardzo owiany tajemnicą...

Rozdział 13

Kawiarnia w Bellevue Palace przypomina wielkie szklane pudełko, zawieszane nad ulicznym chodnikiem na wprost biura wynajmu samochodów Hertza. Nancy zjadła solę z grilla, a Newman zmiotł z talerza swój stek. Kawę połknął w dwóch łykach, otarł usta chusteczką i podpisał rachunek.

- Idziesz teraz wynająć samochód? - spytała Nancy. - Pobiegnę jeszcze do pokoju po rękawiczki. Spotkamy się na dole?

- Dobrze.

Newman zaczekał przy wyjściu, aż Nancy zniknie z pola widzenia, po czym wszedł do budki telefonicznej przy szatni.

Rozmowa zajęła mu tylko minutę i zaraz potem pobiegł z hotelu do biura Hertza. Rzucając na ladę prawo jazdy i paszport wyjaśnił recepcjonistce, czego potrzebuje.

- Mają citroena. Automatycznego - powiedział, gdy Nancy weszła do środka. - Ten facet zaprowadzi nas do samochodu na poziom trzeci.

Po niecałych pięciu minutach, biorąc ostre zakręty, Newman zjeżdżał citroenem do poziomu ulicy. Nancy włożyła wykończone wełną skórzane rękawiczki, zapięła pasy i rozluźniła się. Świetnie prowadziła samochód, ale wolała podróżować jako pasażerka.

Przesłaniające niebo ciężkie chmury zwiisały niemal tuż nad miastem. Newman przejechał przez z most i znalazł się na

czteropasmowej autostradzie prowadzącej do Lucerny przez Thun. Do Kliniki Berneńskiej powinni dojechać w ciągu czterdziestu minut.

Pożyczenie od berneńskiego kontaktu czerwonego porscha kosztowało Lee Foleya sporo szwajcarskich franków. Potrzebował szybkiego samochodu, choć w normalnych okolicznościach niepokoiłby go fakt, że takie auto rzuca się w oczy. Zmusiła go do tego wyjątkowa sytuacja.

Jadąc przedmieściami Berna zachowywał przepisową prędkość, ale gdy tylko wyjechał na autostradę, dodał gazu. Na szosie było spokojnie, bo po południu nie jeździło tu wiele aut. Gdy zwiększał prędkość, spenetrował prawą i lewą stronę zimnymi niebieskimi oczyma.

- Uważaj na autostradzie - ostrzegł go jego kontakt, gdy podprowadził mu samochód pod hotel. - Policja bardzo lubi ustawiać tam radary.

Foleyowi tak bardzo zależało, by dojechać do celu na czas, że wyruszając spod Savoyu po raz pierwszy zapomniał sprawdzić, czy nikt go nie śledzi. Dlatego też nie zauważył postaci w kasku, która wskoczyła na zaparkowany trochę dalej skuter. Kiedy Foley dostrzegł przed sobą citroena, skuter, nie większy we wstecznym lusterku niż kropka, wciąż jechał za nim.

Foley utrzymywał dużą prędkość, aż dogonił citroena na tyle, by móc dostrzec kierowcę i pasażera. Prowadził Newman - kobieta siedziała obok. Foley odetchnął z ulgą i zwolnił, by zwiększyć dystans dzielący oba samochody. Motocyklista, pędzący za nim z maksymalną prędkością, również zwolnił. Foley przejechał pod jedną z ogromnych tablic rozmieszczonych na trasie. Drogowskaz obwieszczał: THUN - NORD.

Włączone w citroenie ogrzewanie ociepliło powietrze wewnątrz samochodu. Nancy zdjęła rękawiczki, położyła je na kolanach i prawą ręką zaczęła się nimi bawić. Nawierzchnia była w doskonałym stanie, odśnieżona do czysta. Gdy jednak opuścili Berno i minęli zjazd do Belp, na polach po obu stronach autostrady leżały głębokie warstwy białego puchu. Tu i ówdzie nagie drzewo wysuwało

sękatę gałązki ku zachmurzonemu niebu. Panowała ponura i nieprzyjemna atmosfera. Newman popatrzył na dłoń Nancy, która nie przestawała bawić się rękawiczką.

- Jesteś zdenerwowana? Teraz, kiedy jesteśmy tak blisko?

- Owszem, Bob. Ciągle myślę o Jessem. I wcale nie jestem pewna, że nas tam wpuszczą - w końcu zjawiamy się tak...

- Pozwól, że ja będę mówił, gdy już dotrzemy do celu. Ty jesteś bliską krewną, a ja znanym dziennikarzem. To niebezpieczne połączenie dla kliniki, która chce zachować dobrą reputację.

Najlepszą reklamą jest zła reklama...

- Co zamierzasz zrobić? - spytała zaniepokojona.

- Zamierzam wejść do tej kliniki. A ty zapal sobie; i tak rzadko to robisz. Tu masz paczkę. I przestań bawić się rękawiczką.

Przejechali pod kolejnym znakiem drogowym wskazującym dwa kierunki - THUN - SUD, THUN - NORD. Na użytek jadącej za nim ciężarówki Newman włączył kierunkowskaz i skręcił na Thun - Nord. Nancy zapaliła papierosa i zaciągnęła się głęboko.

Przejeżdżali teraz nad autostradą i z tej wysokości rozciągał się widok na ponure góry na południu, kształtem przypominające zęby. Przesłonięte mgłą były słabo widoczne i Nancy nie była pewna, czy to nie fatamorgana.

- Są chyba dość wysokie - stwierdziła.

- Wznoszą się z drugiej strony Thun, w kierunku na południe i wschód. Jeden z tych szczytów to Stockhorn. Pewnie to wielkie bydlę górujące nad resztą...

Jechali teraz łagodnym, lecz wciąż wznoszącym się zboczem wśród pól. Tu i ówdzie stały pojedyncze domy; przed oczami przesuwaly się równo ułożone, ogromne bele siana w otwartych stodołach o stromych dachach. Nisko sklepienie niebo sprawiało wrażenie złowieszczej pustki. Od wschodu przycupnęła na górskim zboczach spory zamek, na którego wieżyczkach zgromadziły się wielkie czapy śniegu.

- To sławny zamek Thun Schloss - objaśnił Newman. - Miasto

położone jest niżej - nie widać go stąd.

- Na pewno wiesz, jak jechać?

- Zgodnie ze wskazówkami uprzejmego recepcjonisty, mamy zjechać z tej drogi gdzieś dalej. Sprawdź na mapie, jest w skrytce na rękawiczki. Recepcjonista zaznaczył trasę.

- Czuję się tu nieswojo, Bob...

- Po prostu dzień jest okropny.

Ale uwaga Nancy nie była całkiem pozbawiona słuszności.

Znajdowali się teraz blisko granicy wiecznych śniegów.

Poranne słońce uporało się nieco ze śniegiem na południowych, niżej położonych polach. Poniżej, w pobliżu Thun, zabudowa była już bardziej zwarta. Na górskim grzbiecie, niedaleko wierzchołka wznosiła się gęstwina ciemnozielonych jodeł - przypominało to żołnierzy stojących w gęstym szyku. Powyżej granicy wiecznych śniegów pługi nie oczyszczały już dróg. Newman zwolnił, a gdy zobaczył drogowskaz, jeszcze bardziej zmniejszył prędkość. KLINIK BERN, przeczytał na znaku. Skręcił w prawo w węższą drogę, wyrównał jazdę i parł do przodu.

- Myślisz, że to już tu? - spytała Nancy.

- Tak mi się wydaje...

Na szerokim płaskowyżu, ciągnącym się aż do skupiska domów stojących kilka kilometrów dalej na wschód, wznosił się ogromny, dwupiętrowy budynek z werandą opasującą wokół cały parter. Teren kliniki, dość rozległy, otoczony był siatką z drutu. Tuż przed Newmanem wyrosła wartownia. Za budynkiem była tylko ściana jodeł spowitych śniegiem. Zatrzymał samochód przed kamienną strażnicą, wznoszącą się obok podwójnych wrot. Brama była zamknięta. Nie zdążył jeszcze wysiąść, gdy pojawiły się ogromne czarne psy i zaczęły skakać wspinając się na bramę.

- To dobermany - stwierdził Newman. - Urocze...

Otworzyły się ciężkie drewniane drzwi prowadzące z wartowni wprost na drogę. Szczupły, młody mężczyzna - mógł mieć niewiele ponad trzydzieści lat - ubrany w dżinsy i kurtkę stanął przy citroenie. Obejrzał się do tyłu i krzyknął coś po niemiecku. Psy

przestały ujadać i niechętnie wycofały się, znikając z pola widzenia.

- Ten teren to własność prywatna - powiedział mężczyzna po niemiecku.

- Ale nie tu, gdzie ja stoję - odciął się Newman. - Pod stopami mam szosę do użytku publicznego. Moją pasażerką jest Nancy Kennedy. Przyjechała tu w odwiedziny do swego dziadka, Jessea Kennedy...

?

- A czy jesteście państwo umówieni - Pani przyleciała z Ameryki tylko po to, żeby zobaczyć się i z dziadkiem.

- Nie przyjmujemy gości, którzy nie są umówieni na wizytę.

- Czyżby pan był tu szefem? - Głos Newmana ociekał sarkazmem. - Wygląda pan raczej na płatnego pomocnika.

Proszę natychmiast zadzwonić do Kliniki i oznajmić nasze przybycie. Niech pan też doda, że ja jestem dziennikarzem i chyba znalazłem materiał na niezły reportaż. Wnuczka leci kawał drogi z Ameryki, żeby zobaczyć chorego dziadka, i nie zostaje do niego dopuszczona. Co wy tutaj macie - obóz koncentracyjny? Przynajmniej takie odniosłem wrażenie - ta siatka dokoła i doberman...

- A pan kim jest?

- Nazywam się Robert Newman. I zdążyłem już nieźle zmarznąć wykłócając się z panem na mrozie. Daję panu dwie minuty.

Potem wracam do Berna i przygotowuję reportaż.

- Proszę zaczekać!

- Dwie minuty...

Newman zrobił małe przedstawienie sprawdzając dokładny czas, po czym wrócił do samochodu. Szczupły strażnik zniknął w wartowni, Newman zaś usadowił się za kierownicą i zapalił

papierosa.

Nancy wzięła jego paczkę i również zapaliła.

- Może byłoby lepiej, gdybyśmy wcześniej umówili się na wizytę - stwierdziła.

- Sądząc po tym, jak tu jest, moim zdaniem nie. To miejsce sprawia niepokojące wrażenie. Kiedy rozmawiałem z tym chudzielcem, zauważyłem, że zza uchylonych drzwi wartowni wygląda jakiś człowiek w mundurze bardzo podobnym do tego, jaki nosi Armia Szwajcarska.

- Bob, przecież to idiotyczne! Musiałeś się pomylić.

- Mówię, co widziałem. Zresztą całe to cholerne miejsce przypomina wojskowe koszary. No, ciekawostka - idzie chudzielec; minę ma jeszcze bardziej kwaśną niż przedtem...

- Możecie wejść do Kliniki. Ktoś będzie na was czekał w środku - powiedział oschle i odszedł, zanim zdążyli cokolwiek odpowiedzieć.

Newman domyślił się, że w wartowni wciśnięto jakiś guzik, bo brama otworzyła się automatycznie do wewnątrz. Ze względu na psy zamknął okno i dopiero potem ruszył do przodu długą, krętą drogą prowadzącą do odległego budynku. Nie pojawił się jednak żaden doberman. Zamknęto je w wartowni na czas przejazdu Citroëna.

Newman jechał wolna, przyglądając się otoczeniu, i uświadomił sobie, że teren Kliniki jest znacznie bardziej rozległy, niż mu się to początkowo wydawała. Ogrodzenie z drutu bieгло po zaśnieżonym placu gdzieś w dal i znikalo wraz z opadającym w dół zboczem wzgórza. Był już blisko Kliniki, ale wokoło nie dostrzegł żywej duszy. Widział już przeszkloną werandę i sześć schodków prowadzących do wejścia.

Zaparkował samochód przodem do drogi dojazdowej, zamknął go. Nancy wysiadła i razem weszli po schodkach. Weranda ciągnęła się zarówno w lewo, jak i w prawo; pokryta terakotą podłoga była nieskazitelnie czysta. Gdzieś tam stały rośliny doniczkowe. Wewnętrzne drzwi prowadziły do obszernego, wyłożonego kafelkami hallu. Newman skrzywił się, bo od razu uderzył go zapach środków

dezynfekcyjnych. Nancy zauważyła to i zacisnęła usta.

W głębi hallu stał ciężki, wypolerowany do połysku drewniany kontuar, za którym, na wysokim stołku z regulowanym oparciem, siedziała wielka, tęga kobieta w średnim wieku o ciemnych, upiętych w kok włosach. Jej oczy ciskały błyskawice. Odłożyła pióro, którym pisała coś na formularzu, spłótła pulchne palce i wbiła wzrok w przybyłych.

- Wie pani, kim jesteśmy - zaczął Newman po niemiecku.

-Chciałbym rozmawiać z szefem tej Kliniki...

- Proszę wypełnić formularze - rzekła po angielsku bezbarwnym głosem, przesuając druki w ich stronę.

- Być może to zrobię, ale po rozmowie z pani przełożonym.

Przyjechaliśmy zobaczyć Jessea Kennedyego. Wie pani już o tym od tego sługusa przy bramie...

- Obawiam się, że to niemożliwe, ponieważ nie byliście państwo umówieni - odezwał się spokojnie, lecz stanowczo, płynną angielszczyzną mężczyzna, który właśnie się pojawił. Coś w jego głosie sprawiło, że Newman natychmiast się obejrzał i z uwagą wbił w niego wzrok. Człowiek ten wyglądał na kogoś, kto ma autorytet, dużą pewność siebie i działa energicznie.

- To przez wzgląd na pacjenta - ciągnął dalej. - Poza tym powinniście państwo wiedzieć, że w tej chwili pan Kennedy znajduje się pod wpływem środków nasennych.

Newman ocenił, że ów człowiek jest mniej więcej jego wzrostu, ale potężniejszy. Mógł mieć około czterdziestki - ciemnobrązowe włosy przetykała gdzieś tam siwizna. Jego wzrok skierowany na Newmana wyrażał siłę charakteru. Oczy taksowały gościa i oceniały jego sprawność jako potencjalnego przeciwnika. Newman dostrzegł w nim niezwykle opanowanego i groźnego osobnika.

- Jestem doktor Bruno Kobler - dodał jeszcze.

- A ja jestem doktor Kennedy - wtrąciła Nancy. - Fakt, że mój dziadek śpi, nie ma żadnego znaczenia. Chcę go natychmiast zobaczyć.

- Wizyta bez nadzoru lekarza jest niezgodna z przepisami...

- Przecież pan jest lekarzem - syknął Newman. - Sam pan to przed chwilą powiedział.

- Jestem tu szefem administracyjnym. Nie mam kwalifikacji medycznych.

- Czy to ma znaczyć - naciskał Newman - że w tej chwili nie ma na terenie Kliniki żadnego lekarza? Czy właśnie w taki sposób prowadzi się tu leczenie?

- Tego nie powiedziałem. - Gniew pojawił się w głosie Koblera. - Dałem tylko do zrozumienia, że nikt nie może państwu towarzyszyć w czasie wizyty u pacjenta.

- W takim razie jedziemy do Ambasady Amerykańskiej - zdecydował Bob. - Doktor Kennedy jest obywatelką Stanów Zjednoczonych. Jesse Kennedy także. Panie Kobler, rozpętamy piekło...

- Nie ma powodu, żeby tak się denerwować. Biorąc pod uwagę fakt, że pani jest lekarzem, możemy zrobić wyjątek. Może uda nam się sprowadzić też doktora Novaka - to on opiekuje się Jesseem Kennedym.

Kobler zwrócił się do siedzącej za kontuarem olbrzymki i pstryknął palcami, jakby wzywał kelnera.

- Astrid, spróbuj poszukać doktora Novaka. Poproś, żeby zaraz tu przyszedł.

- Jak się czuje mój dziadek? - spytała Nancy.

Kobler rozłożył ręce, chcąc sprawić wrażenie, że gotów jest poświęcić jej całą swą uwagę. Patrzył Nancy prosto w oczy. Nie zachowywał się już tak wojowniczo, ale zwlekał z odpowiedzią przynajmniej przez minutę. Nancy miała wrażenie, że próbuje przeniknąć jej myśli. Milczała, bo wyczuła, że on chce, by powiedziała coś więcej.

- Obawiam się, że nie mogę odpowiedzieć na pani pytanie, doktor Kennedy. W przeciwieństwie do pani, nie jestem lekarzem.

Moja praca polega na administrowaniu tą Kliniką. Wolałbym, żeby zadała pani to pytanie doktorowi Novakowi. Myślę, że doskonale u. się pani z nim porozumie, bo jesteście rodakami.

- Doktor Novak jest Amerykaninem?

- Właśnie. To bardzo mądry człowiek, dlatego zresztą zaprosiliśmy go tutaj do pracy. Jak pani zapewne wie, nasza Klinika cieszy się doskonałą renomą na całym świecie.

- Chciałabym też zobaczyć się z profesorem Armandem Grangeem.

Kobler z przykrością pokręcił głową.

- Niestety, to nie będzie możliwe. Żeby porozmawiać z profesorem, trzeba wcześniej umówić się na spotkanie.

- A czy jest w tej chwili na terenie Kliniki?

- Naprawdę nie potrafię powiedzieć...

Kobler spojrział przez ramię, gdyż jego uwagę zwrócił dźwięk otwieranych drzwi frontowych. To Newman wyszedł na werandę.

Zamknął za sobą drzwi i udał się w lewo, mijając wiklinowe fotele wyłożone poduszkami; prawdopodobnie siadywali na nich pacjenci, gdy była ładna pogoda. Panował tu zupełny spokój, a ponieważ centralne ogrzewanie nastawione było na cały regulator, reporter czuł się jak w cieplarni.

W wewnętrznej ścianie werandy znajdowały się okna, ale szyby w nich były wykonane z matowego szkła, nie mógł więc zajrzeć do pokoiów znajdujących się za nimi. Przy końcu korytarza były drzwi

- nacisnął klamkę, ale nie ustąpiła. Przez chwilę stał, patrząc na wschodnią część terenów Kliniki. Miały kształt niecki, w której wgłębieniu stał nowoczesny kompleks parterowych budynków o wysokich, wąskich oknach. Przypominały laboratorium chemiczne.

Prowadził tam łącznik pozbawiony okien, ciągnący się od Kliniki.

Gdy wrócił do hallu, Kobler właśnie przedstawiał Nancy Wysokiemu, jasnowłosemu mężczyźnie, który mógł mieć niewiele ponad trzydzieści lat. Ubrany był w biały fartuch, a w lewej dłoni trzymał stetoskop. Kobler zwrócił się do Newmana.

- To jest doktor Novak. Chyba nie będzie miał pan nic przeciwko temu, żeby zaczekać w poczekalni, gdy tymczasem doktor Kennedy pójdzie...

- Bob idzie ze mną - przerwała obcesowo Nancy. - Jest moim narzeczonym...

Novak popatrzył na Koblera, oczekując jego reakcji. Ten jednak skłonił się w stronę Nancy i z uśmiechem na ustach rzekł:

- A kimże ja jestem, żeby sprzeciwiać się życzeniom pięknej kobiety? Naturalnie pan Newman może pani towarzyszyć.

- Waldo Novak - przedstawił się Amerykanin, podając rękę Newmanowi. - Wiele o panu słyszałem. Człowiek od sprawy Krugera. Ależ pan zrobił robotę w Niemczech...

- To tylko reportaż. - Newman zwrócił się do Koblera, wciąż ściskając dłoń Novaka. - Po co tu dobermany? - spytał nagle. - Do tego jeszcze umundurowani strażnicy i ogrodzenie.

Czuję się tu jak w Dartmoor.

Kobler obrócił głowę w stronę Newmana; z twarzy nie zniknął mu uśmiech. Tym razem też nie spieszył się z odpowiedzią, przyglądając się dziennikarzowi. Newman, podobnie jak Nancy, nic nie dodał.

Czekał w milczeniu na odpowiedź, wpatrując się w Koblera.

- Z powodu wandalii - rzekł wreszcie Kobler. - Nawet w Szwajcarii jest młodzież, która ma zbyt wiele energii i równie mało poszanowania dla cudzej własności. Do moich obowiązków należy nie dopuścić, by cokolwiek zakłóciło spokój pacjentów.

A teraz, jeśli państwo pozwolą, powierzę ich opiece doktora Novaka. - A do Novaka dodał jeszcze na boku: - Wyjaśniłem już, że pacjent jest pod wpływem środków nasennych. Do widzenia, panie Newman. Na pewno jeszcze się kiedyś spotkamy.

- Może pan na to liczyć.

- Doktor Kennedy... - Kobler skłonił się przed Nancy i zniknął za bocznymi drzwiami.

Newman usłyszał kliknięcie automatycznego zamka. Novak wyjął kartę magnetyczną i poprowadził Nancy do drzwi w głębi hallu.

Wsunął kartę do otworu i drzwi rozsunęły się. Bob ocenił, że miały jakieś dwa i pół centymetra grubości, i wykonano je ze stali.

Zamknęły się za Astrid, która szła na końcu.

- Mówi pan płynnie po niemiecku, panie Newman? - spytała grubym, gardłowym głosem.

- Nie, niestety - skłamał. - Kiedy ktoś mówi szybko, gubię się.

Nie odzywając się więcej, szedł za Nancy i Novakiem szerokim korytarzem, który był nieskazitelnie czysty, ale i całkiem pusty.

Minęli jakieś zamknięte drzwi z małymi, okrągłymi okienkami.

Szyby w nich też były matowe, nie dało się więc zajrzeć do środka.

Bob zauważył, że w pewnym miejscu podłoga zaczęła przechodzić w łagodnie spadzistą, a w końcu korytarz gdzieś skręcał. Atmosfera była tu przesycona charakterystyczną dla szpitali wonią środków dezynfekcyjnych, której tak nie lubił.

Novak zatrzymał się przed drzwiami po prawej stronie; te również miały okrągłą szybkę z matowego szkła. Lekarz wyjął z kieszonki kolejną kartę magnetyczną.

- Doktor Kennedy, pani naturalnie jest przyzwyczajona do widoku pacjentów - rzekł. - Ale z doświadczenia wiem, że trochę inaczej się to odbiera, jeśli pacjentem jest ktoś z rodziny. On nie będzie mógł z panią rozmawiać.

- Rozumiem.

Wsunąwszy kartę do szczeliny, Novak poczekał, aż drzwi się otworzą, po czym gestem zaprosił gości do środka. Newman wszedł za Nancy, która zatrzymała się nagle, gdy dołączyli do nich Novak z Astrid i drzwi zamknęły się z powrotem. Bob ujął Nancy pod ramię.

- Spokojnie, dziecinko...

- To nie o to chodzi - szepnęła. - On nie śpi!

W łóżku dotykającym zagłówkiem ściany i ustawionym w połowie jej długości leżał wychudzony mężczyzna o orlim nosie, przerzedzonych białych włosach, wysokim czole, pełnych ustach i wydatnej szczęce. Cerę miał zaróżowioną. Gdy Nancy ukazała się w drzwiach na ułamek sekundy otworzył oczy, lecz zaraz opuścił

powieki tak szybko, jak opada migawka w aparacie fotograficznym.

Newman wątpił, czy Novak i Astrid zauważyli to mrugnięcie, bo przesłaniał im widok własnym ciałem.

- Jak państwo widzicie, śpi spokojnie - odezwał się Novak łagodnie. Pan Kennedy jest dzielnym mężczyzną, ma silny organizm.

Jak na jego wiek, oczywiście, ale niewielu jest takich ludzi...

- A więc myśli pan, że przeżyje? - spytała cicho Nancy.

- Jest bardzo chory - wtrąciła Astrid.

Newman stał nieco z tyłu, trzymając ręce w kieszeniach. Miał osobliwe wrażenie, że Novak jest zadowolony z wizyty gości.

Zadowolony? Nie, on odczuwał ulgę! I to wcale nie dlatego, że spotkał rodaczkę w osobie Nancy. Astrid stała z zaciśniętymi ustami i patrzyła na zegarek.

- Tylko pięć minut. Tyle trwa wizyta. I ani chwili dłużej...

Newman przemówił podniesionym głosem.

- Doktorze Novak, nie życzę sobie obecności tej kobiety w tym pokoju. Kim ona jest, u diabła, żeby wyznaczać długość wizyty? Przecież to pan opiekuje się Jesseem Kennedym - tak powiedział doktor Kobler. Proszę więc z łaski swojej pokazać tej kobiecie, gdzie jej miejsce.

- Ma pan dopilnować, żeby ta wizyta trwała jedynie pięć minut i ani sekundy dłużej. - Głos Astrid mówiącej po niemiecku zabrzmiał jak seria z karabinu maszynowego. - Jeśli nie zrobi pan, jak każę, to doniosę profesorowi Grangeowi o pańskiej samowoli...

- Niech pan powie, żeby ta stara, tłusta torba się odpieprzyła - krzyknął Newman. Jest pan czy nie lekarzem prowadzącym tego pacjenta?

Waldo Novak zarumienił się. Obejrzał się na Astrid przez ramię i szybko powiedział po niemiecku:

- Myślę, że ostatnią rzeczą, jaką Grange chciałby usłyszeć, jest to, że pani sprowokowała tu taką scenę. Czy nie przyszło pani do głowy, jakie mogą być konsekwencje, jeśli ci ludzie

narobią szumu? Na miłość boską, przecież Newman jest dziennikarzem o międzynarodowej sławie. Proszę więc zostawić nas samych.

Astrid protestowała jeszcze pod nosem, gdy Novak ponownie wyjął z kieszonki kartę i wsunął ją do szczeliny. Drzwi otworzyły się. Zagryzła wargi i pełna wściekłości, z ociąganiem wyszła z pokoju.

Novak pojednawczo popatrzył na Boba i Nancy.

- W każdej instytucji znajdzie się ktoś taki. Typowy wierny sługa tolerowany jedynie dlatego, że pracuje tu od czasów, kiedy żyły dinozaury.

- Sama przypomina trochę dinozaura - skomentowała Nancy.

Miała otwartą torebkę, bo właśnie wyjęła z niej chusteczkę, którą ocierała łzy. Newman zauważył, że wykrzywiona artretyzmem dłoń Jessea leży teraz na pościeli. Gdy wchodzili do pokoju, na pewno przykrywało ją prześcieradło. Oczy chorego wciąż były zamknięte. Nancy podsunęła krzesło do łóżka, usiadła i wzięła dłoń dziadka w swoje ręce.

- On nie wie, że pani tu jest - rzekł Novak.

,

- Jaki środek pan stosuje, doktorze? - spytała.

Zawahał się.

- Zwykle nie omawiamy sposobu leczenia... - zaczął i urwał.

Newman zauważył, że lekarz zerknął w stronę okrągłego lusterka na bocznej ścianie. Nad zwierciadłem znajdował się wieszak na płaszcz. Ależ tak! Przecież każdy szpital czy klinika musi mieć jakiś sposób obserwowania ciężko chorych pacjentów, a okienko w drzwiach miało matową szybkę.

Newman gotów był się założyć, iż sąsiedni pokój jest pusty, i że ta gruba, stara świnia stoi teraz po drugiej stronie tego niby - lusterka.

I to pewnie niepokoi Novaka. Newman podszedł do lustra, zdjął marynarkę, i powiesił ją na haczyku.

- Doktorze Novak...! - Rzuciła ostro Nancy.

- Mów cicho, Nancy - szepnął jej Bob. - Cały czas.

Rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu ukrytego mikrofonu.

Potem postawił obok Nancy drugie krzesło i wskazał je lekarzowi.

" Amerykanin usiadł i utkwiał wzrok w Nancy, która tym razem odezwała się bardzo cicho.

- Jestem lekarką. Mam prawo znać sposób leczenia. - To amytał sodu - odparł szybko Novak. - Pacjent jest bardzo energicznym człowiekiem, a musi leżeć w łóżku.

Obejrzał się na Newmana, który położył mu rękę na ramieniu.

Wtedy Jesse otworzył oczy, zerknął na dziennikarza i ruchem głowy dał mu znak: "Zabierz stąd Novaka".

- Doktorze - zaczął - zostawmy Nancy samą przy łóżku.

To jej dziadek. Chodźmy do okna...

Począł, aż Novak do niego dołączy. Ponieważ przez okno prześwitywało światło dzienne, można się było domyślić, że wychodzi na zewnątrz. Te matowe okienka były zresztą jedną z dziwacznych i niepokojących cech Kliniki.

- O co chodzi? - spytał Novak stając tyłem do łóżka.

- Musimy się spotkać poza Kliniką. I to wkrótce. Mieszka pan tutaj?

- Tak. A dlaczego pan pyta?

- Domyśliłem się. Wygląda na to, że to miejsce jest zamkniętą społecznością, i że ci ludzie są odgradzeni od normalnego świata.

Ale chyba pozwalają wam stąd wychodzić - dodał z nutką sarkazmu w głosie.

- Po pracy robię, co mi się żywnie podoba...

- Niech pan nie będzie taki oburzony. Jak dotąd, nie pozwolono nam czuć się tu mile widzianymi gośćmi. I jeszcze raz powtarzam - chcę się z panem spotkać, więc proszę zaproponować

jakieś miejsce. Może w Thun, bo to najbliżej?

,

- Chyba tak - odparł niepewnie Novak. - Ale nie widzę powodu, dla którego w ogóle miałbym się z panem spotykać.

- Naprawdę? - Widząc, co się dzieje za plecami Novaka, Bob wciąż mówił. - Owszem, pan nie ma takiego obowiązku, ale ja mógłbym na przykład zacząć pisać artykuły na temat tej Kliniki, podając pańskie nazwisko jako źródło moich informacji.

- Na miłość boską, nie...

- Nawet najlepszy prawnik nie zdoła oskarżyć mnie o zniesławienie. Jestem ekspertem w czynieniu rozmaitych aluzji i wiem, jak daleko mogę się posunąć. Niech pan będzie szczery wobec samego siebie, Novak - przecież pan nie może się doczekać, żeby z kimś porozmawiać. Wyczułem to już w pierwszej chwili...

- W hotelu Freienhof... - wykrztusił. - To w Thun przy Freienhofgasse... na wprost Inner Aare... to odnoga rzeki płynąca z jeziora... w tej tańszej restauracji.... zna pan to miejsce?

- Znajdę. Jutro panu pasuje?

- Pojutrze. W czwartek. O siódmej wieczorem. Będzie już ciemno...

W czasie gdy Newman odciągał uwagę Novaka, Nancy rozmawiała z dziadkiem, który nagle się obudził. W jego oczach pojawiła się czujność i gwałtowność. Dziewczyna pochyliła się, żeby mogli szeptać; po dziadku nie było znać najmniejszego wpływu środków nasennych.

- Co oni ci tu robią, Jesse?

- Chodzi o to, co robią innym. Nie chciałem tu przyjechać.

Ten sukinsyn, Chase, nafaszerował mnie jakimś narkotykiem po upadku z konia. Czym prędzej załadowano mnie do prywatnego odrzutowca i przywieziono tutaj...

- Co to znaczy: "Co robią innym"?

- Chodzi o pacjentów. Przeprowadzają tu jakieś eksperymenty.

Słucham uważnie, a oni mówią otwarcie, kiedy myślą, że jestem pod wpływem narkotyku. Żaden z pacjentów nie przeżył eksperymentu. Wielu z nich jest skazanych na śmierć, ale to nie powód, żeby ich mordować.

- Jesteś pewien, Jesse? Jak się czujesz?

- W porządku. Dopóki jestem w Klinice, macie tu wejście. Nie trapiecie się o mnie.

- Ale ja się martwię - szepnęła.

- Nancy - Newman odszedł już od okna i zbliżał się do łóżka.

- Może lepiej przyjdziemy innego dnia, kiedy twój dziadek nie będzie spał...

Nagle zobaczyła, że ni stąd, ni zowąd się zatrzymał.

Spojrzała zaniepokojona i zaintrygowana, gdyż Newman położył palec na ustach, by uciszyć Novaka i Nancy. Jesse leżał nieruchomo i miał zamknięte oczy. Bob pochylił się przy wezgielciu łóżka i nasłuchiwał.

Nie, nie pomylił się. Jego uszu dobiegł cichy warkot - pracowało jakieś urządzenie.

Lee Foley jechał za Newmanem w dyskretnej odległości aż do chwili, gdy po zakręcie na ośnieżonym wzgórzu dostrzegł, że Citroen skręca w wąską drogę prowadzącą do Kliniki. Minął wtedy zakręt, kierując się w górę stoku do jodłowego lasu.

Gdy wjeżdżał coraz wyżej, lepiej widział z góry budynki Kliniki. Kontynuował samochodową wspinaczkę aż dotarł do lasu; tam zjechał z drogi, wpadając w dość niebezpieczny poślizg, i skierował się w wąski odstęp między dwoma czarnymi pniami wysokich jodeł. Zawsze należy wybierać punkt wysoko położony.

Obrócił jeszcze Porsche o sto osiemdziesiąt stopni, by móc w każdej chwili odjechać, i wyłączył silnik. Na tylnym siedzeniu samochodu leżała lorneta w skórzanym etui. Wyjął ją, wysiadł z auta i ustawił się za strzelistym pnem niewiarygodnie wysokiego drzewa.

Przyłożył lornetkę do oczu, nastawił ostrość i powoli omiótł

wzrokiem krajobraz w dole. W ciągu pół godziny zdołał dokładnie zapamiętać rozplanowanie budynków Kliniki, laboratorium i dziwny tunel, którym było ono połączone z Kliniką. Następnie, nie zważając na lodowaty wschodni wiatr, łyknął whisky z piersiówki. Spokojnie czekał.

Nie tylko Lee Foley zainteresował się Kliniką Berneńską w to wietrzne lutowe popołudnie. Osoba jadąca na skuterze wciskała gaz do dechy, żeby nie zgubić z oczu Foley'a; wybrała jednak nieco inną trasę.

Skuter wjeżdżał po zboczu do miejsca, w którym stał znak drogowy wskazujący zakręt do Kliniki. Pojazd skręcił w prawo, podobnie jak wcześniej zrobił to Citroën Newmana. Zamiast jednak zatrzymać się przed bramą, kierowca minął ją na pełnym gazie, a zrobił to tak szybko, że psy, ponownie spuszczone, nie zdążyły podbiec do bramy.

Skuter jechał dalej w kierunku Thun, po czym skręcił w boczną drogę biegnącą w górę płaskowyżu. Dróżka była straszliwie nierówna i śliska, lecz kierowca z wielką wprawą wjeżdżał pod górę, dopóki pokryty śniegiem pagórek po lewej stronie nie przesłonił widoku na Klinikę. Wtedy zatrzymał maszynę, oparł ją o leżące kłody drewna i obiema rękami zdjął kask.

Na plecy kierowcy rozsypała się kaskada rudych włosów, które szybko porwał wiatr i upodobnił do długiej szarfy rozpościerającej się za głową ich właścicielki. Dziewczyna otworzyła torbę i wyjęła z niej aparat fotograficzny z teleobiektywem. Jej zwinne, odziane w czarne skórzane spodnie nogi przemierzały zbocze pagórka.

Osiągnęła szczyt i rozejrzała się. W dole widać było cały teren.

Kliniki i wszystkie jej budynki.

Przykucnęła. Podniósłszy aparat do oczu, omiotła wzrokiem laboratorium, przypominający igloo tunel i samą Klinikę. Zaczęła wprawnie robić zdjęcia - ustawiała obiektyw i niemal bez przerwy pstrykała.

Newman miał bardzo dobry słuch, przykucnąwszy więc w pokoju Jessea Kennedyego, próbował ustalić skąd dobiega ciągły odgłos pracującej maszyny. W końcu zobaczył wpuszczoną nisko w ścianę metalową kratkę. Przypominała otwór wentylacyjny.

Newman uklęknął na podłodze i przystawił ucho do kratki.

Teraz dźwięk był głośniejszy - nieprzerwany warkot i klikanie w regularnych odstępach. Kładąc palec na ustach, by ponownie ostrzec pozostałych, wstał z podłogi. Gestem wskazał kratkę Nancy i Novakowi, i niemal bezgłośnie wypowiedział jedno słowo: magnetofon.

Odszedł kilka kroków i zaczął mówić podniesionym głosem, adresując agresywny ton do Novaka.

- A teraz niech pan słucha, doktorze Novak, i to uważnie.

Tutejszym lekarzom powierzamy całkowitą odpowiedzialność za losy Jessea Kennedyego. Rozumie pan to wystarczająco jasno? Żądam odpowiedzi!

- Od początku jesteśmy za niego odpowiedzialni - odparł Novak podejmując grę. - Pańska wizyta nic nie zmieni i może pan być pewien, że pacjent dalej będzie miał zapewnioną należytą opiekę...

- Lepiej, żeby tak było - rzekł Newman, wbijając palec w klatkę piersiową Novaka. - Nie jestem pewien, czy wiadomo panu, że za kilka dni odbędzie się wysokiej rangi kongres medyczny i z tej okazji zostanie wydany bankiet w hotelu Bellevue Palace.

Jeśli panu Kennedyemu coś się stanie, to dowiedzą się o tym wszyscy przybyli na bankiet. Tym bardziej, że nie przyjęto nas tu z otwartymi rękami.

- Zapewniam pana... - zaczął Novak.

- Lepiej będzie, jeśli porozmawia pan z Koblerem i Grangeem i uzyska również ich zapewnienia w tej kwestii. Nadałem rozgłos sprawie Krugera, i, jeśli trzeba, potrafię narobić sporo hałasu.

A na razie wychodzimy. Chodź, Nancy...

- Doktorze Novak, my tu jeszcze wrócimy, i to wkrótce - dodała Nancy stanowczo. Novak w tym czasie wyjmował kartę

magnetyczną.

Gdy drzwi się otwierały, Newman stał tuż obok i wzrok miał skierowany na korytarz. Dwaj mężczyźni w białych kitlach pchali przed sobą długi wózek. Leżało na nim coś nakryte prześcieradłem, przy końcu lekko wybruszone, jakby spoczywała tam głowa. To coś było bardzo duże i kształtem przypominało prostokąt. Nagle spod prześcieradła wysunęła się ręka, a dłoń zacisnęła się.

- Przepraszam...

Newman przepchnął się przed Nancy i Novakiem, skręcając w prawo w kierunku przeciwnym do wyjścia. Mężczyzna prowadzący wózek obejrzał się. Dobrze naoliwione kółka wózka zaczęły obracać się szybciej. Newman przyspieszył kroku. Gdy tylko minął pokój, w którym było umocowane lustro w ścianie, drzwi otworzyły się i usłyszał za sobą krzyk Astrid. Nie zwrócił na nią uwagi i jeszcze bardziej przyspieszył kroku. Dwaj mężczyźni z wózkiem teraz już niemal biegli; znaleźli się w miejscu, gdzie korytarz łagodnie opadał. Wózek zwiększył wtedy prędkość i Newman zaczął biec.

Za rogiem dostrzegł otwierające się stalowe drzwi. Gdy wózek znalazł się pod nimi stalowa kurtyna zaczęła osuwać się w dół. Newman dobiegł do drzwi w chwili, gdy warkot automatycznego mechanizmu zwiastował ich zamknięcie. Przedtem zdążył tylko dostrzec zjeżdżającą w dół windę. W ścianie po prawej stronie widniała jedna z tych diabelnych komputerowych szczelin. Usłyszał za sobą szuranie nóg, a gdy odwrócił się, zobaczył Astrid.

- Nie ma pan tutaj nic do roboty, panie Newman. Będę musiała donieść o tym wykroczeniu...

- Proszę bardzo. Co niby chcecie tu ukryć? To pytanie też niech pani powtórzy.

Przeszedł obok Astrid i przyspieszywszy kroku dołączył do czekających na niego Nancy i Novaka. Amerykanin wyglądał na zmartwionego. Zrobił krok naprzód, by zdążyć się odezwać zanim dołączy do nich Astrid.

- Na pana miejscu odjechałbym stąd czym prędzej... - szepnął.

- Z przyjemnością...

- Po pierwsze musi pan wypełnić formularze w recepcji

-zażądała Astrid. - Takie są przepisy...

- Z przyjemnością - powtórzył Newman.

Nad odkrytym płaskowyżem zaczynał zapadać już zmrok.

Gdy stanęli na schodkach prowadzących z oszklonej werandy na dół, powietrze było chłodniejsze. Newman włożył rękawiczki, a stojąca obok Nancy drżała z zimna. Novak nie odprowadził ich do wyjścia, z pewnością chcąc uniknąć podejrzenia o jakieś konszachty.

- Zimno ci? - spytał Newman.

- To miejsce przyprawia mnie o dreszcze. Odniosłam złe wrażenie zaraz na początku naszego pobytu i to było słuszne. Z tą Kliniką jest coś nie w porządku, Bob.

- Porozmawiamy w samochodzie. Przy odrobinie szczęścia powinniśmy zdążyć do Berna przed zmrokiem.

Newman powoli odjeżdżał sprzed Kliniki, rozglądając się dokoła.

Nad potężnymi, ponurymi górami niedaleko od Thun widać było blade światło. Nancy otuliła się płaszczem i włączyła ogrzewanie.

Rozejrzała się na boki, spojrzała też do tyłu.

- Niby nikt się nie kręci w pobliżu, a jednak mam niemiłe wrażenie, że czyjeś niewidzialne oczy obserwują każdy nasz ruch.

A przecież zwykle nie jestem taka przeczulona. Popatrz - to właśnie mam na myśli...

Zbliżali się w tej chwili do bramy i choć nie było przy niej żywego ducha, otworzyła się jak za dotknięciem różdżki. Za bramą Newman skręcił w prawo i wyjechał na wąską drogę prowadzącą (. do szosy, przy której umieszczono znak kierujący do Kliniki.

Nancy przyjrzała się uważnie Bobowi.

- Zmieniłeś się ostatnio - zauważyła. - To znaczy od przyjazdu do Genewy. aG

- Zmieniłem się? W jakim sensie?

- Poprzednio byłeś beztroski, zawsze uśmiechnięty, żartami

sypałeś jak z rękawa. Teraz jesteś szalenie poważny i pełen determinacji. Co cię skłoniło, że pobiegłeś za tym wózkiem, gdy wyszliśmy z pokoju Jessea? Novak myślał, że ci się pomieszało w głowie.

- A jak ci się wydaje, co było pod prześcieradłem?

- Jakiś nieszczęśnik, z którego niedawno uszła dusza...

- Czy trupy poruszają palcami? A to, co było na wózku, zrobiło właśnie coś takiego.

- O Boże! Przecież prześcieradło było naciągnięte na całe ciało.

- A tak się robi tylko w przypadku zmarłych pacjentów. Ten na pewno był żywy. Moim zdaniem usłyszał nas i próbował dać jakiś znak. No to teraz wiesz, dlaczego biegłem za tym człowiekiem z wózkiem. Ale nie udało mi się go dogonić - jakieś drzwi, automatyczne oczywiście, zamknęły się za nimi tuż przed moim nosem. Całe to upiorne miejsce bardziej przypomina gigantyczny komputer niż klinikę.

- Chcesz powiedzieć, że oni przed tobą uciekali? A ja myślałam, że w wózku zepsuły się hamulce i dlatego przyspieszył po pochylni.

Wiesz, dokąd prowadzi ten korytarz?

- Dobre pytanie. Trochę niżej na zboczku stoi zespół nowych budynków. Korytarz prowadzi do tunelu.

- Jakich budynków?

- O to właśnie zamierzam zapytać naszego przyjaciela Novaka, kiedy spotkam się z nim w Thun w czwartek wieczorem.

- Zgodził się z tobą zobaczyć! Dziwne. Gdzie jesteście umówieni? Mogę pójść z tobą, prawda?

- Nie ma znaczenia gdzie. Ale dziwne, że się zgodził. Nie, nie możesz pójść ze mną.

- Małpa! A jak myślisz, dlaczego przystał na twoją propozycję? - spytała, gdy zbliżali się do zjazdu na autostradę.

- Odniosłem wrażenie, że z jakiegoś powodu jest przerażony.

Myślę, że wyczekiwał okazji do spotkania się z kimś spoza

tego klaustrofobicznego więzienia, z kimś, komu może zaufać i
zwierzyć się. A dlaczego tak bardzo niepokoi cię Klinika
Berneńska?

- Czy zauważyłeś, że czegoś brakowało w pokoju Jessea?

- Chyba nie. Byłem zbyt zajęty zagadywaniem Novaka, żeby nie
widział, jak rozmawiasz z Jesseem. A czego nie zauważyłem?

- Powiem ci później, gdy już będziemy w hotelu. Czy twoim
zdaniem Jesse jest bezpieczny?

- Przez następnych kilka dni, tak. Nie rozumiałaś, dlaczego
wykrzykiwałem o tym bankierze w Bellevue Palace? W otworze
wentylacyjnym trzymają magnetofon...

- To naprawdę przyprawia o gęsią skórę...

- Staralem się ich wystraszyć, żeby nie ważyli się
skrzywdzić Jessea - ciągnął. - Dopóki nie skończy się ten
kongres, będą postępować z nim ostrożnie. A do tej pory może
dowiemy się, co naprawdę dzieje się w Klinice Berneńskiej. Na
razie kupiłem trochę czasu...

Mknęli pustą autostradą do Berna. Niebo było tak
zachmurzone, że Newman włączył światła, a w dodatku zbliżali się
do kolejnej bocznej drogi, która tuż za przejazdem łączyła się z
autostradą.

W lusterku wstecznym Newman zauważył zbliżającego się z dużą
prędkością czarnego mercedesa. Kierowca zasygnalizował, że
zamierza wyprzedzić i zjechał na odpowiedni pas. W chwilę potem
na autostradzie rozpętało się piekło.

Za citroenem pojawiła się na skuterze postać w kasku, która
raz za razem wciskała klakson. Newman zmarszczył brwi i zaczął
się rozglądać. Mercedes jeszcze go nie wyprzedzał.

Przed nim na wylocie bocznej szosy dostrzegł pomarańczowy
pług śnieżny, który z wysoko podniesionym ostrzem posuwał się
wolno naprzód. Kierowca skutera wciąż dawał znaki klaksonem.

- O co chodzi temu człowiekowi? - spytała Nancy.

Jeszcze nie skończyła mówić, gdy Newman, dając odpowiedni
sygnał, zjechał na pas wyprzedzania tuż przed mercedesa. Pług

śnieżny wyłonił się z bocznej szosy niczym monstrualny robot i wjeżdżał powoli na pas wolnego ruchu. Newman wcisnął pedał zjeżdżając na lewo. Kierowca mercedesa gorączkowo naciskał klakson, ale Newman zignorował to.

- Trzymaj się - ostrzegł Nancy.

- O Chryste! - jęknęła.

Pług wjeżdżał już prawie na nich. Ogromne stalowe ostrze osuwało się jak gilotyna. Nancy widziała, jak schodzi coraz niżej i zamarła z przerażenia. Wyglądało na to, że przetnie ich samochód na połowę. Jechali teraz z szaloną prędkością, znacznie powyżej dopuszczalnej. Ostrze błysnęło tuż za oknem od strony Nancy - ledwie parę centymetrów od niej. Nancy odchyliła się. Kierowca mercedesa wcisnął hamulce, by uniknąć zderzenia. Na pasie wyprzedzania Newman znów przyspieszył. Skuter przejechał obok mercedesa i jadąc pasem wolnego ruchu wciąż nabierał prędkości, wymijając nieruchomy już pług.

Za kierownicą mercedesa Hugo Munz zaklął siarczyście; jechał z nim Emil Graf. Munz zredukował prędkość, sprawdzając jednocześnie w lusterku, czy przypadkiem nie ma w pobliżu patrolu drogówki. Autostrada była jednak pusta.

- Powinieneś być go walnąć - powiedział Graf.

- Oszalałeś! Mógłbym wpaść w poślizg, uderzyć w stalową barierkę i obaj byśmy się rozbili. Ostrzegł go kierowca tego skutera...

- A więc - stwierdził Graf swym bezbarwnym głosem - on jest lepiej zorganizowany niż przypuszczaliśmy. Będziemy musieli spróbować czegoś innego.

Rozdział 14

Przy narożnym stoliku w barze hotelu Bellevue Palace siedziała Blanche Signer czekając na Newmana, który poszedł po drinki.

Wcześniej wstąpiła na chwilę do toalety, żeby przyczesać

włosy, poprawić biegnący przez środek przedziałek i odświeżyć się po niebezpiecznej jeździe autostradą na skuterze.

Dziewczyna miała trzydzieści lat, była córką pułkownika Armii Szwajcarskiej i ze znakomitym skutkiem zajmowała się odszukiwaniem zaginionych osób w Europie Zachodniej. To ona dyskretnie pomagała Newmanowi odnaleźć Krugera, kiedy Niemiec zszedł do podziemia.

Teraz postanowiła odebrać Newmana Nancy Kennedy.

- Podwójna szkocka - powiedział siadając obok niej. Nie było wiele miejsca, więc ich nogi stykały się pod stolikiem.

-Zasłużyłaś sobie na nią. Twoje zdrowie!

- Wiesz, Blanche - podjął ponownie opróżnioną szklaneczkę do połowy - cholernie ryzykowałam na autostradzie. Bardzo się bałam o siebie...

- To miło z twojej strony, Bob. Czy jest prawdopodobne, że znajdzie nas tu Nancy?

- Leży teraz w wannie. Gdyby tu weszła, to udamy, że próbowałaś mnie poderwać. Mamy jakieś pół godziny.

- Czekałam w Savoyu, tak jak ustaliliśmy. Lee Foley rzeczywiście jechał za tobą aż do Kliniki, potem minął ostatni zakręt i zatrzymał się dopiero wyżej na wzgórzu. Podejrzewam, że robił dokładnie to co ja, to znaczy oglądał teren Kliniki.

Wygląda on dość szczególnie. Mam dla ciebie całą serię zdjęć... -

Ścisnęła przy tym torebkę. - Tu jest film. Dam go do wywołania i zdjęcia będą gotowe na jutro. Znam kogoś, kto zrobi to dla mnie.

Jakoś ci je jutro podrzucę...

- Zostaw je w recepcji w zaadresowanej kopercie. A tak w ogóle, to co się właściwie stało? Chyba uratowałaś mi życie.

- To było bardzo proste, Bob. Zrobiłam zdjęcia, a potem, wsiadłam na skuter i pojechałam do miejsca, gdzie mogłam zaczekać na Foleya, gdyby w powrotnej drodze też cię śledził. Wtedy zauważyłam, że z Kliniki wyjeżdża ten samochód i postanowiłam za nim jechać. Po prostu intuicja. Kierowca, który wyglądał na bandziora pierwszej klasy, dobrze wiedział, co robi. Podjechał do

pługą oczyszczającego zaśnieżoną drogę, wysiadł, podszedł do kierowcy maszyny i prysnął mu czymś w oczy, chyba lakierem do włosów. Ten człowiek zakrył sobie oczy, a ten bandyta go uderzył.

Biedak uderzył głową w stalową barierkę - moim zdaniem ma strzaskaną czaszkę. Następnie kierowca z Kliniki ubrał się w kombinezon tamtego i podjechał pługiem do końca drogi, zatrzymując się tuż przed wylotem na autostradę.

- I tam czekał na mnie - dodał Newman. - Nietrudno było się domyślić, że po opuszczeniu Kliniki wrócę tą samą drogą do Berna. Popełniłem błąd. Myślałem, że ktoś w szpitalu narażony jest na niebezpieczeństwo. Ale postanowiono najpierw pozbyć się mnie, tyle że popełniono błąd. Teraz nabrałem pewności, że coś tam jest nie w porządku. Myślę, że nie powinnaś mi więcej pomagać w tej sprawie.

- Bob... - Ujęła jego dłoń i ścisnęła ją czule. - Tworzymy zgrany zespół, jak przedtem. Nie zapominaj o tym. Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo. Kiedy wreszcie mnie odwiedzisz? Stąd idzie się do mnie zaledwie pięć minut Munstergasse, aż do Junkerngasse...

- Jestem związany z Nancy.

- Formalnie? - naciskała.

- Nie, jeszcze nie.

- Więc przyjdź do mnie...

- Szantażujesz mnie emocjonalnie.

- I nie zamierzam przestać - zapewniła swym miękkim, wibrującym głosem.

Dopijając drinka, przyglądał się jej. Niebieskie oczy dziewczyny wytrzymywały spojrzenie. Newman uświadomił sobie, że Blanche ma piękne rysy i silny charakter, o czym mówił ostro zarysowany podbródek i wysoko osadzone kości policzkowe, nie wspominając już o figurze, która mogła zachwycić każdego mężczyznę.

- Co jeszcze chcesz, żebym dla ciebie zrobiła? - spytała.

- Idź do domu. Odpręż się... - Zrozumiał wyraz jej oczu. -

Do diabła, Blanche, dobrze. Ale i tak idź do domu, odpocznij.

Ubieraj się ciepłej i dalej obserwuj Lee Foleya. - Pochylił się do przodu i dotknął jej ramienia. - Bądź bardzo ostrożna.

Foley jest niebezpieczny.

- Dam sobie z nim radę. Nawiasem mówiąc, przyczał się w Savoyu, a jada parę kroków dalej, w węgierskiej restauracji przy Neuengasse. Wzdłuż całej ulicy przy domach są arkady, łatwo więc mi się ukryć. Jest to też idealne miejsce na zaparkowanie skutera.

Coś jeszcze?

Newman nie mógł się nadziwić, że powiedziała to wszystko tak zwyczajnie, jakby snuła opowieść o codziennych zajęciach. Blanche zawsze była bardzo opanowana. Przyglądała mu się znad brzożka swej szklanki, nie mogąc oderwać od niego oczu.

- Może znajdzie się coś jeszcze - uznał w końcu. -

Sporządziłaś rejestr osób o dość niecodziennych zawodach.

Przejrzyj go i zobacz, czy masz tam Manfreda Seidlera.

- W porządku. Może lepiej pójde, zanim zjawi się tu twoja pseudonarieczona. Jeśli znajdę coś na temat tego Seidlera, spiszę na kartce i włożę do koperty razem ze zdjęciami. Opatrzę ją nagłówkiem MS. W razie jakiejś wyjątkowej sytuacji zadzwonię do ciebie i rozłączę się po trzech dzwonekach. Zatelefonujesz do mnie, jak tylko będziesz mógł. Dobrze, panie Newman?

- Dobrze, panno Signer...

Pochyliła się do przodu, pocałowała go w usta, po czym wstała i odeszła. Torebkę przewiesiła przez ramię. Podobnie jak w wielu amerykańskich barach, w barku hotelu Bellevue Palace również panował półmrok. Gdy jednak Blanche przechodziła przez salę, mężczyźni odwracali za nią głowy. Patrzyła prosto przed siebie, pozornie nieświadoma wrażenia, jakie wywierała. W drzwiach minęła się z Nancy Kennedy, która właśnie wchodziła do baru.

Gdy Newman został sam, przestawił ubrudzoną szminką szklankę Blanche na sąsiedni stół. Wstał, gdy zbliżyła się Nancy. Wyraz

jej twarzy mówił, że coś się stało.

- Ten mężczyzna znowu dzwonił - powiedziała siadając na ławeczce. - Ten sam, co wtedy w Genewie. Nazywa się Seidler, tak? Poinformowałam go, że wrócisz późnym wieczorem. Odniosłam wrażenie, że jest bardzo roztrzęsiony. Gdy spytałam, czy mam ci coś przekazać, odłożył słuchawkę.

- Taką właśnie przyjąłem strategię, Nancy. Rozstrajać nerwowo. I to cały czas. Kiedy już w końcu dodzwoni się do mnie, będzie w stanie skrajnego wyczerpania i przyjmie każde warunki.

Tak samo z Kliniką. Wykończę ich nerwowo. Tylko, że oni - dodał ponuro - najwyraźniej postanowili się zemścić. Na tej autostradzie próbowali nas zabić...

- Nas?

- Ciebie i mnie, tak przynajmniej mi się wydaje - powiedział ostrzegawczo. - Mówię ci o tym wprost, żebyś była ostrożna. Bezemnie nie rób żadnych wycieczek do Thun. Wracając do tego, co mówiłaś w samochodzie, czego brakowało w pokoju Jessea?

- Dobrą masz pamięć...

- To mój główny atut. Ale, do cholery, odpowiedz na pytanie.

- Nienajlepiej masz humor. Chodzi o jakikolwiek czasomierz.

Nie było tam zegara na stoliku, ani nawet zegarka na rękę.

Jesse w żaden sposób nie może określić upływu czasu. W ten sposób wprowadza się dezorientację. Uczyłam się o tym na zajęciach z psychiatrii.

- Zawodowe sztuczki...

- Jesteś nastawiony wrogo do wszystkiego, co ma związek z medycyną - wybuchnęła. - W Klinice zauważyłam, że krzywiłeś się czując szpitalny zapach. A przecież w takich miejscach trzeba zachować higienę i po to używa się środków dezynfekcyjnych.

- Okay - odparł poirytowany. - Nie było zegara. Dotarło do mnie. Zgadzam się, że to dziwne.

- Novak mówił prawdę, twierdząc, że stosują amytał sodu do usypiania Jessea. - Sięgnęła do torebki i z zamkniętej na suwak kieszonki wyjęła niebieską kapsułkę. Podała ją Bobowi. -

Wprawdzie nie widać tego na pierwszy rzut oka, ale znajduje się tu sześćdziesiąt miligramowa dawka oznaczona kodem F23. Jesse wsunął mi ją do ręki, gdy ty rozmawiałeś z Novakiem. Dlatego właśnie był przytomny.

- Może jestem tępą, ale nie bardzo rozumiem, o czym mówisz.

- Jesse wyspecjalizował się w manipulowaniu kapsułką, którą mu podają. Udaje, że połyka, a naprawdę chowa ją w zagłębieniu dłoni.

- A jak się jej pozbywa?

- Wrzuca w metalową kratkę, za którą ukryty jest magnetofon.

- Zabawne - uznał Newman. - I sprytne. Nie wpadłby na to chory człowiek, któremu szwankuje umysł. Jeszcze czegoś mi tam brakowało. Zauważ, że nie padła najmniejsza wzmianka o tym, że Jesse cierpi na białaczkę.

- Niedługo będziesz równie dobry jak ja - stwierdziła Nancy z zadowoloną miną. Po chwili jednak straciła humor. - Podają mu strasznie dużo środków nasennych. Jesse pokazał mi rękę - cała była pokłuta igłą. Dranie, szpikują go tym świństwem podskórnym!

Mieliśmy szczęście, że trafiliśmy na dzień kapsułkowy. Czy nie mógłbyś się dowiedzieć, co naprawdę dzieje się w tej Klinice, gdy w czwartek spotkasz się z Novakiem w Thun?

- Mam taki zamiar. Jeżeli się zjawi. Novaka ponoszą nerwy w związku z sytuacją w szpitalu, miejmy więc nadzieję, że Kobler i spółka niczego nie zauważą. Pamiętaj, kiedy pojedę do Thun, masz nie wychodzić z hotelu. Gdyby wtedy ktoś dzwonił, powiedzmy, że miałem wypadek, zignoruj to. Zlekceważ wszystko, co mogłoby cię wyciągnąć z hotelu. Zrobisz tak, prawda? . Mówisz jak szef...

- Ja cię nie proszę, ja ci rozkazuję - rzekł ponuro. - Nie mogę ciągle być skrępowany w swoich działaniach i zastanawiać się, co robisz.

- Mógłbyś mnie poprosić w przyjemniejszy sposób...

Przerwała, gdyż do stolika podszedł kelner i podał Newmanowi złożoną kartkę. W środku była zaklejona koperta. Biorąc ją do ręki, Newman spojrzał na kelnera.

- Kto panu to dał?

- Jakiś nędznie ubrany mężczyzna, sir. Wskazał na pana i poprosił, żebym na pewno doręczył to osobiście. Nigdy przedtem go nie widziałem.

- Dziękuję.

Newman otworzył kopertę i wyjął z niej kolejną złożoną kartkę, ale nie było tam nic, co wskazywałoby na tożsamość autora.

Wiadomość była bardzo krótka: "Czy mógłbyś spotkać się ze mną ! dziś o siódmej. Sytuacja kryzysowa. Beck".

Newman spojrział na zegarek. Była szósta piętnaście. Wsunął kartkę z powrotem do koperty, a tę do portfela. Nancy poruszyła się niespokojnie.

- Co to?

- Robi się gorąco. Muszę wyjść. Nie wiem, kiedy wrócę. Jeśli jesteś głodna, zacznij beze mnie. Wybierz restaurację, którą chcesz.

- Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

- Tak. Tylko tyle. I pamiętaj - nie ruszaj się z hotelu.

Zapaść zmrok i uliczki Berna opustoszały. Robotnicy siedzieli już w domach, a eleganckie lekkoduchy nie wyruszyły jeszcze na wieczorne eskapady. Newman minął kasyno i wszedł pod arkady wieńczące prawą stronę Munstergasse. Kamienny tunel był wybrukowany, a wystawy zamkniętych sklepów jasno oświetlone.

Zastanawiał się, dlaczego był wobec Nancy niezbyt uprzejmy.

Mężczyźni zwykle porównują jedną kobietę z drugą. Czy na taki sposób traktowania Nancy wpłynął fakt, że wcześniej rozmawiał tak przyjacielsko z Blanche? Wniosek nie nastrajał optymistycznie, wezwanie Becka przesądziło jednak sprawę. Tak rozmyślając uświadomił sobie, że z tyłu słyszy odgłos kroków - były zsynchronizowane z jego własnymi. Nie oglądając się za siebie przeszedł na drugą stronę ulicy, również pod arkadę.

Tak, podjął już decyzję. Postanowił, że przed spotkaniem z Beckiem pójdzie do Blanche i powie jej, by wycofała się z tej

sprawy. Beck użył słowa "kryzys", a on nigdy nie nadużywał tego typu określeń. Zamierzał więc odsunąć Blanche od ryzyka.

Kroki z tyłu, wciąż zsynchronizowane z jego własnymi, stąpały za nim. Słyszał je podążając już drugą stroną ulicy, ale nie obejrzał się. Ten ktoś zastosował stary trik: żeby zamaskować odgłos własnych kroków, starał się zgrać je z krokami śledzonego.

Newman był już w połowie drogi do Munsterplatz, gdy mijął wąską uliczkę prowadzącą do równoległej Finstergasschen. Mroczną alejkę z jedną lampą, która tylko podkreślała panującą w niej ciemność. Newman kroczył dalej w kierunku Munsteru, przygotowując prawą rękę do zadania ciosu.

- Newman! Wracaj! Szybko...!

Usłyszał chrapliwe, ciche wołanie. Obrócił się na pięcie. Jakieżś dwa indywidua walczyły z sobą przy zakręcie. Jedna postać była wysoka, potężnie zbudowana, miała czapkę na głowie, druga wyglądała na o wiele mniejszą. Wielkimi krokami Newman podążył z powrotem - dwie postacie zniknęły już w ciemnej uliczce. Na zakręcie nieco zwolnił i zajrzał w mrok.

Lee Foley ścisnął ramieniem szyję niższego mężczyzny. Ubrany był w angielski garnitur w kratę i taką czapkę. Cały jego ekwipunek stanowiła laska. Trzymał w żelaznym uścisku maleńkiego człowieczka. To był Julius Nagy.

- Ta gnida łąziła za tobą po całym mieście - rzekł Foley.

- Chyba czas dowiedzieć się, dla kogo pracuje, nie sądzisz?

Zanim Newman zdążył zareagować, Foley pchnął Nagyego w zagłębienie. Dociskając go do ciężkiej, drewnianej płyty drzwi, podniósł laskę i trzymając ją poziomo przycisnął do szyi Nagyego.

Oczy małego człowieczka wyszły niemal z orbit. Był przerażony.

- Kto ci płaci? - spytał chrapliwym głosem.

- Tripet... - wydusił Nagy, gdy Foley rozluźnił nieco ucisk.

- Kto? - powtórzył Foley.

- Nadinspektor Tripet. Surete. Genewa...

- Za szybko się przyznałeś - mruknął Foley. - Z Genewy?

Tak się składa, że jesteśmy w Bernie. Kłamiesz. Ale dam ci jeszcze jedną szansę. Najpierw jednak trochę perswazji...

- Uważaj - ostrzegł Newman. - Zmiażdżysz mu jabłko Adama.

- Właśnie to zamierzam zrobić, jeśli nie powie prawdy.

Nagy zaczął się straszliwie dusić. Małymi zaciśniętymi pięściami okładał Foleya, równie dobrze jednak mógł walić stonia. Newman omiótł wzrokiem alejkę - wciąż była pusta. W świetle lampy dostrzegł, że twarz Nagyego robi się purpurowa. Foley jeszcze mocniej docisnął laskę. Stopy małego człowieczka zastukały słabo o próg, ale nie uczyniły więcej hałasu niż biegnąca mysz. Newmanowi zbierało się na mdłości.

W końcu Foley poluzował nieco ucisk. Przybliżył się do poszarzałej twarzy Nagyego i patrzył na niego lodowatymi, niebieskimi oczami, w których nie było ani cienia litości. Nie było w nich właściwie żadnego wyrazu. Poczekał, aż Nagy wciągnie kilka głębokich łyków zimnego powietrza. Tylko jego głośny oddech zakłócał nocną ciszę.

- Zaczniemy od początku - zaproponował Foley. - Masz kolejną szansę - ja po prostu nie mam czasu na kłamstwa. Dla kogo pracujesz?

- Kieszeń... telefon... rejestracja... dworzec...

- O czymże, do diabła, opowiada ta gnida? - powiedział Foley, jakby myślał na głos.

- Zaczekaj! - naciskał Newman.

Włożył rękę do kieszeni zniszczonego płaszcza Nagyego i pogrzebał w niej. Palcami wyczuł skrawek papieru. Wyciągnął go czym prędzej, bo Foley nie miał zwyczaju blefować. Zrobił kilka kroków i w świetle latarni obejrzał kartkę.

- Jest tu numer telefonu - powiedział do Foleya. - I coś, co wygląda na numer rejestracyjny samochodu. Tak, to jest rejestracja... - Newman rozpoznał ten numer. Te cyfry wryły mu się w pamięć. Litery też. - Daj mu mówić - rzucił do Foleya.

-Popuść trochę. O co chodzi z tym dworcem?

- Dla kogo pracujesz? - powtórzył Foley. - Tym razem masz

mówić prawdę, a nie jakieś bzdury o genewskiej policji...

- W drugiej kieszeni.... - Nagy patrzył na Newmana. - Jest tam aparat fotograficzny. Zrobiłem zdjęcie mężczyzny wsiadającego do mercedesa... przed dworcem. Przyjechał ekspresem o pierwszej pięćdziesiąt osiem z Genewy...

Amerikanin trzymał laskę ledwie dwa centymetry od szyi Nagyego, gdy Newman przeszukiwał drugą kieszeń. Znalazł mały, poręczny aparat fotograficzny marki Voigtlander. Zrobiono nim trzy zdjęcia. Podniósł głowę i uchwycił spojrzenie małego człowieczka, który patrzył na niego znad laski.

- Zrobiłem tylko dwa zdjęcia - wykrztusił Nagy. - Faceta, który wsiadał do mercedesa, i sam samochód. - Przeniósł wzrok na Foleya. - Myślę, że ten facet jest szefem, że to on mi płaci. To chyba ktoś ważny. W samochodzie czekał szofer.

- Mogę zabrać film? - spytał Newman. - Zapłacę ci za niego...

- Chryste! - wybuchł Foley. - Zabieraj film. Po cóż płacić tej gnidzie?

Newman przewinął film i otworzył aparat. Wyjąwszy rolkę, wrzucił ją do kieszeni. Zamknął aparat i wraz z banknotem wsunął do płaszcza Nagyego.

- Wywołam zdjęcia - rzekł do Foleya. - Puść go...

- Złamię mu rękę - to go oduczyci od łażenia za ludźmi.

- Nie! - krzyknął Newman z uporem i podszedł do Amerykanina.

- To mnie śledził, więc ja decyduję. Powiedziałem, żebyś go puścił.

Z wyrazem obrzydzenia na twarzy Amerykanin cofnął ręce od Nagyego, który obmacał sobie obolałą szyję, przełknął ślinę i poprawił zgnieciony krawat. Dziwne było, że jakoś ociąga się z odejściem i wciąż zerka na Newmana, jakby chciał mu przekazać jakąś wiadomość. Foley popchnął go, poczłapał więc w dół alejki, raz po raz oglądając się na Newmana.

- Musimy porozmawiać - oświadczył zdecydowanie Foley. - Chcę wiedzieć, co jest na tych zdjęciach i na tej kartce...

- Nie teraz. Mam spotkanie i już jestem spóźniony. Dzięki,
że zauważyłaś mój ogon, ale muszę przyznać, że dość ostro sobie
poczynasz. Czasem więcej można osiągnąć łagodniejszymi metodami.

- Łagodnie to ja się obchodzę z beczką prochu, Newman.

Zadzwoń do ciebie do Bellevue. Spotkamy się w ciągu
najbliższych dwudziestu czterech godzin. Jesteś mi to winien.

- W porządku.

Newman poszedł dalej Munstergasse i prosto zaułkiem Junkern
którego obie strony wieńczyły arkady, lecz w ich głębi nie było
sklepów. Przechodząc na drugą stronę wybrukowanej ulicy, której
poziom stopniowo się obniżał, spojrzął za siebie. Nie dostrzegł
nigdzie Foleya, ale wcale się tym nie dziwił. Amerykanin był
zbyt sprytny, żeby go śledzić. Newman zatrzymał się przed
drzwiami z trzema przyciskami i małymi wizytówkami obok każdego z
nich - niedawno zainstalowano tu domofon. Nacisnął guzik oznaczony
nazwiskiem B. SIGNER.

Blanche albo posłuchała jego rady, albo - jak na kobietę
przystało - miała nadzieję czy też oczekiwała, że Newman się
zjawi. Gdy się przedstawił, usłyszał w mikrofonie jej spokojny
głos.

- Tak myślałam, że to ty, Bob. Pchnij drzwi, gdy usłyszysz
brzęczyk.

Ciężkie, drewniane drzwi umocowane na wielkich sprężynowych
zawiasach zamknęły się automatycznie. Słabo oświetlone,
staroświeckie schody z kamienia, mocno już wyłobione pośrodku,
prowadziły na pierwsze piętro. Newman zauważył kolejny nowy
element - w drzwiach do mieszkania Blanche był judasz. Otworzyły
się do środka. Ujrzał Blanche ubraną wyłącznie w biały płaszcz
kąpielowy.

Newman zorientował się, że pod nim dziewczyna nie ma nic, bo
gdy zrobiła krok, luźno zawiązany w talii szlafrok rozchylił się,
ukazując zgrabną, nagą nogę aż po biodro. Blanche zamknęła drzwi,
zablokowała specjalny zamek i założyła gruby łańcuch.

- Mam dla ciebie jeszcze jeden film do wywołania, Blanche

-powiedział podając jej rolkę. - Tylko trzy zdjęcia i to trzecie interesuje mnie najbardziej. Ten, kto mi to dał, mówił, że są jedynie dwa.

- Pewnie był przy tym ktoś jeszcze. Jutro dostaniesz zdjęcia i negatywy - te i moje własne. Nie, nie tutaj. Usiądź tam...

"Tam" oznaczało ładnie umeblowaną sypialnię z pojedynczym, lecz dużym łóżkiem. Newman zatrzymał się na chwilę i obejrzał na I: Blanche. Odeszła od drzwi i wpatrywała się w niego, powoli przeczesując palcami gęszcz tyrcjanowskich włosów. Jej twarz nie wyrażała żadnych nadzwyczajnych emocji.

- Nie, Blanche - powiedział. - Przyszedłem, bo zdecydowałem, że nie powinnaś więcej angażować się w sprawę Kliniki Berneńskiej. Kręci się koło niej sporo paskudnych typów. Mogłoby I cię spotkać coś niemiłego, a ja nie chcę narażać cię na takie ryzyko.

- Bardzo mnie zranisz, jeśli nie...

Popchnęła go mocno. Miękki brzeg łóżka podciął mu nogi i Newman znalazł się rozplaszczony na białej kołdrze. Blanche rozwiązała pasek szlafroka i potwierdziło się podejrzenie Boba, że pod spodem dziewczyna jest naga. Zanim zdążył się poruszyć, już go przykrywała swym ciałem. i

- Nie jestem wolny - protestował Newman, gdy Blanche tuliła się do niego.

- Oczywiście - jesteś zajęty walką... Śmiała się, szybko przesuwając palcami po jego ubraniu i odpinając najpierw guziki płaszcza, potem marynarki, odwiązując krawat, rozpinając koszulę. Newman nigdy nie przypuszczał, że kobieca ręka jest tak zwinna i sprawna. Westchnął. Skoro to nieuniknione... trzeba się zrelaksować... cieszyć chwilą...

Julius Nagy był wściekły i pełen odrazy. Wlókł się z powrotem pustą ulicą. Nikt nie będzie się spodziewał, że wróci tą samą drogą.

Już dwa razy stał się ofiarą brutalnej przemocy. Najpierw upokorzył go ten ohydny bandzior w toalecie ekspresu do Zurychu,

a teraz przeżył podobną napaść w tej uliczce.

Duma Nagyego ucierpiała znacznie bardziej niż jego szyja.

Tylko ten Anglik, Newman, potraktował go jak ludzką istotę.

Przyjdzie czas na zemstę. U wylotu z alejki na Munstergasse Nagy rozejrzał się uważnie w obie strony. Droga wolna. Postawił więc kołnierz zniszczonego palta, by ochronić się przed zimnem, i ruszył w lewo w stronę Munsteru.

- Przetnę ci kark, jeśli piśniesz choć słowo...

Wypowiedzianej po niemiecku brutalnej groźbie towarzyszyło równie bezpardonowe pchnięcie w plecy czymś twardym. Pomyślał, że to lufa pistoletu. Przerażliwy strach zmroził Nagyego. Stał bez ruchu.

- Idź dalej - polecił głos. - Nie rozglądaj się. To byłby twój ostatni błąd. Przejdź na drugą stronę ulicy. Idź w kierunku Munsterplatz.

Wciąż nie było nikogo w pobliżu. Nocne eskapady jeszcze się nie rozpoczęły, a robotnicy ściągnęli już do swoich domów. Nagy przemierzył ulicę i idąc pod arkadami czuł na plecach lufę pistoletu.

Cały czas modlił się, żeby nadjechał patrol policyjny.

- Teraz obejdź dookoła Munsterplatz - trzymaj się chodnika!

Z rosnącym przerażeniem Nagy zdał sobie sprawę, że napastnik doskonale wie, co robi. Idąc tą trasą, ani na chwilę nie wychodzili z cienia. Po przeciwnej stronie placu wznosiła się masywna fasada Munsteru. Wielką wieżę oplatały rusztowania przypominające amfiteatr. Ponad nimi strzelała w niebo wieżyczka najeżona kolcami i pokryta wypukłościami.

Nagy zaczął się domyślać, jaki jest cel tej wędrówki:

Plattform.

Był to ogromny, o kształcie kwadratu ogród koło Munsteru z widokiem na rzekę Aare. Napastnik popchnął Nagyego i skierował w stronę bramy, a stamtąd dalej pod przeciwny mur.

Bezlistne drzewa wyglądały jak ledwo zarysowane szkielety, a jedynym dźwiękiem w ogrodzie był chrzęst towarzyszący krokom na

żwirze. Nagy, któremu mimo zimna pot spływał po twarzy, patrzył prosto przed siebie, próbując przewidzieć zamiary napastnika.

Jego mózg nie chciał jednak pracować.

- Potrzebuję informacji - warknął nieznajomy. - Tutaj możemy spokojnie porozmawiać.

A więc o to chodziło. Lodowaty wiatr hulał po położonym na wzgórzu ogrodzie i chłostał w twarz Nagyego. Napastnik świetnie to zaplanował - w taką noc nikt tutaj nie zajrzy. I to był ten trzeci raz! Na moment wezbrała w małym człowieczku wściekłość, lecz szybko ustąpiła miejsca strachowi. Nogi Nagyego były jakby z ołowiu. Dotarli do muru w pobliżu narożnika, daleko od windy zjeżdżającej do Badgasse. Nagy został przyparty do muru.

- Teraz powiem ci, co chcemy wiedzieć. Potem odpowiesz na moje pytania.

Stojąc przy sięgającym do bioder murze, Nagy patrzył na migające w ciemnościach światła domów na Bantiger - wzgórzu wznoszącym się na przeciwległym brzegu Aare. Napastnik nie wciskał mu już w plecy lufy pistoletu. Nagle poczuł uchwyt dłoni, które niczym stalowe kajdanki chwyciły go za kostki. Został podniesiony i wystawiony za mur. Krzyknął, rękoma uderzając pustkę wokół siebie. Ziemia, pięćdziesiąt metrów poniżej, zdawała się pędzić mu na spotkanie. Krzyk zmienił się w jęk. Potem ucichł zupełnie. Rozległo się głucho uderzenie. Żwir zachrzęścił pod zawracającym człowiekiem.

Rozdział 15

Newman wybrał okrężną drogę do Taubenhalde, gdzie mieściła się siedziba Policji Federalnej.

Niemal chorobliwie zaczął się obawiać cienia i to nie tylko tego, jaki dawały arkady. Wprawdzie słyszał wcześniej kroki

Nagyego, ale jego słuch nie zarejestrował zupełnie kociego chodu Lee Foleya.

Dlatego gdy wracał Munstergasse od Blanche, przyspieszył kroku i poszedł obok kasyna, a potem dostał się na Kochergasse. Minął fronton hotelu Bellevue Palace, zatrzymał się na chwilę, i zapalając papierosa omiół wzrokiem przeciwległy chodnik oraz ulicę za sobą; potem ruszył w dół do Terrasse przed Parlamentem. O tej porze deptak był zupełnie opustoszały. Na poboczu ścieżki teren opadał stromo ku brzegom Aare. Przed sobą miał stację kolejki linowej Marzilibahn, kursującej w dół zbocza niemal do poziomu rzeki. W miejscu, gdzie zaczynały się pochyłe tory, zatrzymał się mały czerwony wagonik. Newman przyspieszył kroku.

W budynku stacji kupił bilet za sześćdziesiąt centymów.

Nowiutki, przypominający zabawkę wagonik był pusty i drzwi zasunęły się, gdy tylko Newman wszedł do środka. Kolejka rozpoczęła stromy zjazd po prostych jak linijka torach.

Newman stał z przodu wagonika trzymając się poręczy; miał widok z okien na wszystkie strony. Na tle nocy światła po drugiej stronie rzeki mieniły się blaskiem jak diamenty. W zjeżdżającym oświetlonym wagoniku czuł się wystawiony na cel. Uświadomił sobie, że kurczowo ściska poręcz.

W przodzie pojawiła się końcowa stacyjka. Wagon zwolnił, wjechał pod zadaszenie i zatrzymał się. Gdy tylko drzwi się otworzyły, Newman wyszedł na zewnątrz i opuścił stację. Nad rzeką hulał wiatr i ostro chłostał mu twarz. Postawił kołnierz płaszcza i szedł dalej. W pobliżu nie było nikogo.

Minął stary drewniany wagonik, umieszczony na małym wzgórku w charakterze okazu muzealnego. Od Taubenthalde dzieliła go jeszcze spora odległość. Wszedł do nowoczesnego budynku i pokazał recepcjoniście swój paszport.

- Jestem umówiony z Arturem Beckiem - oznajmił. -O siódmej.

Mężczyzna za kontuarem obejrzał paszport, popatrzył na Newmana i z powrotem na zdjęcie. Otworzył teczkę i wyjął z niej błyszczącą fotografię, na której Newman rozpoznał siebie -

zdjęcie zrobiono przed rokiem, gdy zajmował się sprawą Krugera.

Tak, tutaj zachowywano ostrożność.

- Zna pan drogę do Taubenthalde, panie Newman? - upewnił się recepcjonista, oddając mu paszport. - To nie jest duży teren...

- Tak, znam drogę. Już tu kiedyś byłem.

Z recepcji prowadził podziemny korytarz. Newman ruszył do przodu, gdy tymczasem recepcjonista wykonał szybki telefon. Na końcu przejścia zaczynał się osiemdziesięcio-metrowy ruchomy chodnik, wznoszący się w górę aż do wejścia do Taubenthalde.

Czekając, aż wjedzie na górę, Newman stał spokojnie i zastanawiał się, co powie Beckowi. Żeby tu dotrzeć wybrał okrężną drogę, ale dzięki temu uniknął rozpoznania przez ewentualnego obserwatora, który mógł stać przy głównym wejściu. Gdy tylko znalazł się w hallu, zrozumiał, że coś się stało. Artur Beck czekał w recepcji przy kontuarze, gdzie każdy interesant zwykle wypełnia szczegółowy formularz.

- Sam zajmę się formalnościami - rzucił Beck do recepcjonisty zabierając bloczek druków.

Skierował się prosto do windy, nie witając się nawet z Newmanem. Wcisnął guzik na dziesiąte piętro i milczał w czasie jazdy.

Na wskazanym piętrze winda zatrzymała się, ale drzwi pozostały zamknięte aż do chwili, gdy Beck otworzył je kluczykiem. Dziennikarz pamiętał, że w tym budynku przestrzega się skomplikowanych zasad bezpieczeństwa.

Beck otworzył przed Newmanem drzwi swego biura, lecz wciąż się nie odzywał. To było trochę denerwujące, zwłaszcza ten numer na dole z niewypełnianiem formularza. Beck wyjaśnił, dlaczego tak postąpił, dopiero gdy usiadł za biurkiem; Newmanowi wskazał krzesło przed sobą.

- Być może, oficjalnie wcale cię tu nie ma. To się jeszcze zobaczy...

Beck miał dość pulchną twarz i rumianą cerę. Najbardziej przykuwały wzrok jego czujne, szare oczy i szerokie brwi.

Odnaczał się ustępliwością i spostrzegawczością. Ten policjant o energicznych ruchach był jednym z najinteligentniejszych gliniarzy w Europie Zachodniej.

Ubrany w granatowy garnitur, koszulę w niebieskie paski i także krawat z wyhaftowanym zimorodkiem, bawił się ołówkiem i patrzył na Newmana. Nie powiedział nawet słowa na powitanie, nic, co wskazywałoby, że są starymi przyjaciółmi. Nagle rzucił ołówek.

- Czy mógłbyś mi powiedzieć, co robiłeś dzisiaj między szóstą piętnaście a siódmą? - spytał szorstko.

- Dlaczego pytasz?

- Pytam, czy masz jakieś alibi na te czterdzieści pięć minut.

- Alibi? - Głos Newmana wyrażał zdziwienie i irytację. - O czym ty, do diabła, mówisz?

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Czy to ma coś wspólnego z kryzysem, o którym pisałeś w liściku wzywającym mnie tutaj? - W tej chwili uświadomił sobie błąd. - Nie, to nie to. Kartkę dostałem wcześniej...

- Mam obowiązek ponownie zadać ci to pytanie, ale bardziej oficjalnie. Zastanów się, zanim odpowiesz...

Newman rozważał sytuację. W żadnym wypadku nie mógł powiedzieć Beckowi, gdzie był w tym czasie. Oznaczałoby to wmieszanie do sprawy Blanche, a tego nie miał zamiaru uczynić.

I wcale nie ze względu na zachowanie dyskrecji i nie z powodu Nancy. Chodziło wyłącznie o Blanche. Sam dziwił się, jak bardzo f... jest zdecydowany w tej kwestii.

- Nie jestem gotów udzielić odpowiedzi na takie pytanie, dopóki nie dowiem się, o co tu chodzi.

- Jak chcesz. - Beck wstał i wyprostował się. - Pokażę ci, o co tu chodzi. Ale chyba powinieneś inaczej się ubrać, żeby uniknąć ewentualnego rozpoznania.